

**Drummond June**

**Brzemie winy**

***Ktoś usiłuje odgrzebać starą sprawę. Czy bohaterce uda się uciec od przeszłości? Jakie będą rezultaty prywatnego śledztwa jej sekretarki, Samanty?***

## *Rozdział 1*

- Nie ma pani nikogo w Anglii, pani Cole? Żadnej rodziny, nikogo bliskiego?

- Niezwykłość pytania i towarzyszące mu przenikliwe spojrzenie wywołały u Samanty odruch niechęci. Także miękkie, białe ciało pana Robinsona i jego ruchliwe, niespokojne dłonie budziły w niej odrazę. Typ oślizłej ryby, glisty, pomyślała.

- Jak zaznaczyłam we wniosku - powiedziała - jestem z pochodzenia Amerykanką. Rodzice i moje dwie siostry mieszkają w Maine. Mąż jest Brytyjczykiem, nie ma rodzeństwa, jego rodzice nie żyją. Obecnie przebywa wraz z ekspedycją Stacey na Antarktydzie. Jeśli potrzebowałby pan dodatkowych referencji, jestem w stanie je dostarczyć.

- Nie, nie, wystarczą mi te, które otrzymałem. - Pan Robinson odchylił się w swoim fotelu do tyłu, położył obie dłonie na biurku i marszcząc brwi skierował wzrok na teczkę z aktami, która leżała tuż przed nim. W końcu zamknął ją i odsunął na bok.

- Pani wykształcenie i praktyka zawodowa są bez zarzutu - oświadczył. - Ale posada, o której mówimy, wymaga szczególnych kwalifikacji, wyjątkowych cech charakteru i predyspozycji.

- Czy jedną z wymaganych predyspozycji jest także samotność?

Pan Robinson zerknął na nią z ukosa.

- Umiejętność przetrwania z dala od ludzi to cecha, jaką panna Slevin ceni niezmiernie wysoko. Steeple Tye leży na od-

ludzi, graniczy z krainą bagien, a zimą powódź może odciąć ją od świata na całe tygodnie.

- W Maine grozi nam to samo, tyle że sprawiają to zasy śnieżne.

Pan Robinson prychnął tylko, po czym wrócił do sprawy.

- Praca ta - oznajmił - wymaga skuteczności w działaniu i sporej niezależności.

- Proszę mi podać więcej szczegółów, a wtedy zobaczymy, czy sprostam wymaganiom.

Wydawało się, że takie postawienie sprawy odpowiadało panu Robinsonowi.

- Reflektant, który zostanie przyjęty - oświadczył - będzie osobistym asystentem panny Mary Slevin, założycielki Slevin Trust, instytucji mającej na celu niesienie pomocy pechowcom ciężko doświadczonym przez los. Co pani sądzi o pechowcach, pani Cole? Czy pociąga panią działalność charytatywna?

- Nie jestem Matką Teresą, ale z pewnością nie odtrąciłabym żadnego potrzebującego.

- Muszę tu zaznaczyć, że Slevin Trust opiera się na kapitale prywatnym, a jedna z jego funkcji to zbieranie pieniędzy od ludzi dobrze sytuowanych.

- Nie nadaję się do zbierania datków.

- Nie musiałyby pani tego robić. Tymi sprawami zajmują się zawodowcy. Pani rola polegałaby na wykonywaniu zadań administracyjnych i biurowych oraz niekiedy na występowaniu w imieniu panny Slevin. Ona rzadko opuszcza Steeple Tye i może życzyć sobie, by podróżowała pani jako jej wysłannicz-ka. Czy była pani kiedyś w więzieniu? Sam zaskoczyło to pytanie.

- Nie, nigdy. A dlaczego pan pyta?

- Panna Slevin interesuje się zwłaszcza resocjalizacją przestępców. Decyzja o tym, komu należy pomóc, zapada jeszcze przed wyjściem więźnia na wolność. Należy to skonsultować z odpowiednim strażnikiem, a następnie, po uzyskaniu jego aprobaty, zająć się... eee... daną sprawą.

- Rozumiem.

Pan Robinson dotknął nosa białym palcem.

- Załatwianie pracy dla byłych więźniów nie jest wcale takie proste. Kilku z nich panna Slevin zatrudnia w swojej organizacji.
- Czyżby był pan jednym z nich?
- Nie, moja kartoteka jest tak samo czysta jak pani. Powstaje jednak kwestia, czy czułaby się pani dobrze pracując wśród tego typu ludzi.
- Sądzę, że nie będę w stanie odpowiedzieć na to pytanie, dopóki nie sprawdzę swych sił.
- Woli pani nie wypowiadać się jeszcze w tej sprawie? Mam nadzieję, że wyjątkowo wysoka pensja, jaką oferujemy, ułatwi pani przystosowanie się.
- Pieniądze nie są bez znaczenia - odparła Sam zimnym tonem. - Ale w Stanach mogłabym z pewnością zarobić jeszcze więcej.
- Co w takim razie sprowadza panią do Anglii?
- Przebywając tutaj, jestem bliżej Jamesa. Biuro organizacyjne ekspedycji Stacey'a ma swoją siedzibę w Londynie.
- A dlaczego nie stara się pani znaleźć posady właśnie u nich?
- Zaoferowali mi pracę, ale za śmiesznie niskie wynagrodzenie. Zdecydowaliśmy się z Jamesem na dwuletnią rozłąkę tylko dlatego, że umożliwi to nam zdobycie pewnego kapitału. James chce zająć się potem badaniami nad systemem immunologicznym człowieka, to zaś wymaga pieniędzy.

Pan Robinson siedział przez chwilę nieruchomo, pogrążony w zadumie, wreszcie skinął głową.

- Powinna pani odbyć rozmowę z panną Slevin - powiedział. - Ostateczna decyzja w tej sprawie należy do niej. Czy mogłaby pani pojechać w przyszłym tygodniu do Steeple Tye? Może w poniedziałek?

Wczesnym rankiem Samanta wyjechała z Londynu. Rozpoczął się już upał, dachy na peryferiach miasta błyszczały w promieniach słońca, pociąg mijał zakurzone żywopłoty

i bujne zielone pastwiska. Wreszcie pojawiły się zabudowania Cambridge. Otulały je opalizujące kłęby mgły, które unosiły się nad podmokłymi łąkami. Sam zapragnęła nagle obejrzeć ten krajobraz dokładniej, ale nie było na to czasu. Zdjęła z półki swą torbę, wybiegła na peron i skierowała się w stronę głównego wyjścia z dworca, aby odnaleźć samochód panny Slevin.

Był to srebrzystoszary jaguar, którego kierowca, młody mężczyzna, przedstawił się po prostu jako Torch. Nie posiadał ani uniformu, ani manier szofera wytwornej limuzyny. Wszelkie próby nawiązania konwersacji, podejmowane przez Sam, zbywał wzruszeniem ramion lub mrukliwymi półsłówkami.

Droga wiodła na północ poprzez krainę poprzecinaną strumykami, rzekami i kanałami. W pewnym momencie minęli wiatrak, którego skrzydła pozostawały nieruchome w ospałym powietrzu. Pomiędzy zagajnikami przycupnęły niewielkie zagrody wiejskie, a nad tym wszystkim rozciągało się bezkresne, błękitne niebo, wolne od chmur.

W południe dotarli do Market Tye. Torch przejeżdżał ostrożnie przez średniowieczne, zatłoczone uliczki, kiedy zaś minął nowoczesną dzielnicę przemysłową i odrestaurowaną część miasteczka, zatrzymał jaguara i wskazał przed siebie ruchem głowy.

- Tam oto mamy Steeple.

Przed nimi złociły się łany pszenicy. Jakieś pół mili dalej rząd drzew wyznaczał bieg płynącej na zachód rzeki, za którą na lekko wznoszącym się stoku widniała sporych rozmiarów wioska. W jej centrum sterczała imponującej wysokości wieża kościelna.

- Nie będzie już stała długo, to pewne - oświadczył Torch z satysfakcją. - To przegniłe próchno. Trzeszczy jak kości staruszki.

Zapuścił silnik. Ruszyli przez pole pszenicy, po kamiennym moście przedostali się na przeciwległy brzeg rzeki i wkrótce wjechali do Steeple Tye.

\* \* \*

Marksholm, dom Mary Slevin, stał na zachodnim krańcu wioski. Murowany, wzniesiony w stylu georgiańskim, z eleganckimi nadświetlami i solidnym, krytym łupkiem dachem. Resztę gospodarstwa stanowiły stajnia, porządnie ułożone drewno na opał, krzewy, trawnik i klomby z kwiatami. Nieco dalej z lewej strony mieściły się dwie drewniane stodoły.

Torch zatrzymał samochód przed frontowym wejściem, wyniósł bagaż Sam i zadzwonił do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast, a w progu stanęła kobieta.

Była młodsza, niż spodziewała się Sam. Miała około czterdziestu pięciu lat, szczupłą sylwetkę, średni wzrost. Orli nos, pełne usta i wydatne kości policzkowe czyniły jej twarz wyrazistą i niepospolitą. Włosy o barwie złocistej pszenicy, tu i ówdzie poprządkane siwymi pasmami, zaczesane były do tyłu i wetknięte za uszy. Gładka, jasna skóra i duże, błyszczące oczy dopełniały wizerunku. Ta twarz musiała często wyrażać żywe emocje i niewątpliwie przyciągała uwagę. Jednakże w tej chwili przywodziła raczej na myśl nieruchome oblicze pokerzysty lub sędziego. Kobieta wyciągnęła do Samanty szczupłą dłoń.

- Jestem Mary Slevin, pani Cole. Obawiam się, że miała pani długą i niewygodną podróż. Powinnam była wysłać po panią samochód do Londynu.

- Ależ nie, podróż pociągiem sprawiła mi przyjemność. Mary Slevin skinęła głową.

- Tak, to urocze okolice. Proszę zostawić tu bagaż, Torch wniesie go potem do domu. Zechce pani pójść za mną? Sam ruszyła za nią przez chłodny, wyłożony kamienną mozaiką hol, a potem na piętro po pomalowanych na biało schodach. Na górze Mary otworzyła jakieś drzwi i gestem zaprosiła Samantę do środka.

- To mieszkanie sekretarki - wyjaśniła. - Mieści się dokładnie nad biurem Funduszu i łączą je z nim schody. Moja ostatnia asystentka pracowała u mnie cztery i pół roku, ale jej cór-

ka zmarła nieoczekiwanie w Australii i Liz musiała tam pojechać, aby zająć się wnuczkami. Zapewne zechce pani się rozejrzeć. Proszę się nie spieszyć. Potem, kiedy już będzie pani gotowa, zapraszam na dół. Zjemy razem lunch. Odeszła. Sam naprędce obejrzała mieszkanie. Było wspaniałe. Okna dużego, prostokątnego salonu, wychodzące na północ i wschód, otwierały widok na pola i łąki, na zakręt rzeki i pas moczarów. Po obu stronach białego kominka stały na półkach najrozmaitsze książki - powieści, biografie, kolekcje albumów kwiatów i ptaków oraz wielotomowe wydanie encyklopedii.

Ścianę zdobiły dwie wspaniałe akwarele, podłogę zaś prawdziwy Wilton. Wyposażenie pokoju stanowiły nowoczesne fotele i sofa, stolik do gry w karty i zabytkowa szachownica, ustawiony pod przeciwległą ścianą kolorowy telewizor ze zdalnym sterowaniem, magnetowid oraz zestaw stereofoniczny.

Sypialnia została niedawno odnowiona. Mieszkanie obejmowało także gabinet, w pełni wyposażoną kuchnię i łazienkę z jasnożółtą włoską glazurą i połączaną armaturą.

Centralne ogrzewanie i przewodowa klimatyzacja świadczyły o tym, że nie oszczędzono środków. I nigdzie jakiegokolwiek wskazówki, która pozwoliłaby odgadnąć choćby częściowo gust lub osobowość jej poprzedniczki. W progu zjawiał się Torch z walizką, którą opuścił bezceremonialnie na podłogę w salonie. Sam zostawiła ją w tym miejscu, umyła ręce, poprawiła włosy i zeszła na dół.

Lunch okazał się wyśmienity: wędzony łosoś z sałatką ogórkową, dojrzałe truskawki ze śmietaną oraz butelka białego lekkiego wina. Posiłek podała krepa dziewczyna w szarych bawełnianych spodniach i podkoszulku z emblematem organizacji Greenpeace. Sprawiała wrażenie pogodnej i cwanej.

Mary Slevin zachowywała się dość niespokojnie jak na gospodynię. Wyglądała na roztargnioną, często kierowała wzrok na ogród, gdzie pracowali Torch i jakiś starszy mężczyzna. Jak

dotąd nie wspomniała nawet jednym słowem o wniosku dotyczącym posady i Sam zaczęła w końcu wątpić, czy nadeszła już dzisiejsza poczta.

Rozmowa zeszła na temat wyprawy Jamesa na Antarktydę.

- Pani mąż jest naukowcem?

- Jest doktorem medycyny - odparła Sam. - Zajmuje się stanem zdrowia członków ekspedycji, ale bada również zmiany w powłoce ozonowej.

- Czy jest to zagadnienie medyczne?

- Niewątpliwie tak. Redukcja ozonu wpłynęła już na wzrost zachorowań na raka skóry w Afryce Południowej, a to tylko jeden z wielu przykładów.

Mary skinęła głową.

- Pan Robinson wspominał mi, że pani mąż interesuje się systemem immunologicznym człowieka. Sądziłam jednak, że chodzi o geny.

- Wprawdzie kształtują nas cząsteczki DNA, ale i środowisko oddziałuje na człowieka.

- Ale które z nich odpowiadają za rezultat? - Mary zdawała się błądzić myślami gdzieś daleko, dopiero po chwili otrząsnęła się z zadumy. - Czy pan Robinson zapoznał panią wystarczająco dokładnie z charakterem naszej pracy?

- Powiedział, że chodzi o resocjalizację przestępców. Moim zdaniem jest to zajęcie dla wytrawnego socjologa albo może psychologa. A ja nie jestem, niestety, ani jednym, ani drugim.

- Mamy tu ludzi specjalnie szkolonych do takich zadań, ale mój osobisty asystent musi być człowiekiem bardziej dla mnie... dogodnym.

Określenie było dosyć osobliwe, ale Mary nie rozwodziła się nad nim dłużej. Zaczęła wypytywać Samantę o jej dotychczasową pracę.

Po lunchu wybrały się na przechadzkę po ogrodzie. Przystanąły na otwartej przestrzeni pomiędzy dwiema stodołami, gdzie ogród graniczył z drogą i rzeką, a Sam spostrzegła, że chociaż poziom wody jest dosyć niski, brzegi są umocnione, zabezpieczone groblami.



- Słyszałam już, że to teren powodziowy - odezwała się do Mary.
  - Był. W odległej przeszłości, to znaczy w czasach prehistorycznych, Steeple Tye była wyspą. Obecnie większa część bagien została osuszona, uregulowano też bieg rzeki. Sztorm na Morzu Północnym połączony z wiosennym przyptywem może jeszcze oczywiście zagrozić terenom przybrzeżnym, ale sama wioska pozostaje zawsze ponad poziomem wody.
  - Od jak dawna mieszka tutaj pani rodzina?
  - Od ponad czterech stuleci. Mój pradziadek kazał rozebrać dawne zabudowania, aby móc wznieść ten dom. Zachował tylko te stodoły jako świadectwo stylu elżbietańskiego. W jednej z nich urządzono mieszkania dla służby.
  - Mary umilkła na chwilę, utkwiała wzrok w jakimś punkcie po drugiej stronie rzeki. - Ci ludzie to byli więźniowie - dodała.
  - Wiem. Powiedział mi o tym pan Robinson. Mary spojrzała jej prosto w oczy.
  - Była jeszcze trzecia stodoła - powiedziała. - Ale trzeba ją było zburzyć.
  - Szkoda. Są takie piękne!
- Mary potrząsnęła niecierpliwie głową.
- Musiała zostać zburzona ze względu na wiążące się z nią wspomnienia. To ja musiałam ją... rozebrać. - Zdawało się, że szuka odpowiednich słów, milczenie stawało się coraz bardziej kłopotliwe i wreszcie Sam postanowiła je przerwać.
  - Jakież to wspomnienia, panno Slevin? Mary westchnęła ciężko.
  - Morderstwo - szepnęła. - Ja również jestem byłą więźniarką, pani Cole. Siedziałam sześć lat za to, że zastrzeliłam męża mojej siostry.
- Gdy Sam zastanawiała się gorączkowo, co powiedzieć, Mary dodała: - Przepraszam. Wiem, że to musi być dla pani szok.
- Rzeczywiście, zaskoczyła mnie pani - przyznała Sam.
  - Wiem, że Robinson powinien był uprzedzić panią o tym, ale czy gdyby to uczynił, przyjechałaby pani tutaj?
  - Zapewne nie.

Mary pokiwała głową. Wpatrywała się w Samantę tak przenikliwie, jakby zamierzała ją zahipnotyzować.

- Widzi pani, ja musiałam zrobić wszystko, co tylko możliwe, abyśmy się spotkały. Pani oferta odpowiadała dokładnie moim potrzebom i pomyślałam sobie, że gdybym miała okazję wyjaśnić...

A w jaki sposób można wyjaśnić morderstwo, pomyślała Sam. Głośno zaś powiedziała:

- Mogła pani przecież przyjechać do Londynu, zamiast zmuszać mnie do tej podróży!

- Ale to wszystko zdarzyło się właśnie tutaj, tutaj też musiałaby pani zamieszkać - odparła Mary. - I jeśli nie zdecyduje się pani na to, nasza rozmowa nie ma najmniejszego sensu.

Nad ich głowami przeleciało stado gęsi, kierując się nad moczary. Samanta westchnęła cicho.

- Może to niemądre - powiedziała - ale mam wrażenie, że zasługuje pani na taką szansę.

- Dziękuję. - Po raz pierwszy tego dnia twarz Mary rozjaśnił uśmiech. Wyglądała teraz na młodszą i bardziej odprężoną. Również jej głos brzmiał pogodniej. - Wiele na ten temat rozmyślałam i sądzę, że byłoby lepiej, gdyby poznała pani przebieg wydarzeń od kogoś innego, nie ode mnie. Mój adwokat... człowiek, który bronił mnie na rozprawie... to Patrick Quinlan. Mieszka w Market Tye i jest gotów spotkać się z panią jutro z samego rana.

Upoważniam panią do zadawania mu dowolnych pytań. Obiecuję, że uzyska pani na nie szczerze odpowiedzi. Potem proszę podjąć decyzję. Może pani tu wrócić, a jeśli decyzja będzie negatywna, Torch odwiezie panią do Londynu.

## *Rozdział 2*

Patrick Quinlan podszedł do sekretarzyka stojącego w kącie gabinetu, otworzył go i wyjął kilka kartotek, które położył następnie na biurku, po czym stanął przy oknie i wyrzwał na zabytkowy plac; właśnie temu miejscu miasteczko Market Tye zawdzięczało swoją nazwę, a plac stanowił centrum tutejszego życia handlowego po dziś dzień.

Quinlan miał pięćdziesiąt lat, był mężczyzną średniego wzrostu, dość mocno zbudowanym, o okrągłej, dobroduszej twarzy i bystrych, piwnych oczach. Zaczynał już łysieć, ale w peruce i todze nie wyglądał na swój wiek.

Był wziętym adwokatem i odnosił liczne sukcesy, a jego praktyka wykraczała daleko poza granice hrabstwa.

Pomyślny przebieg kariery zawodowej zawdzięczał nie tylko trafnemu podejściu do litery prawa, przenikliwości i inteligencji, ale również władcemu brzmieniu głosu i dobrej prezencji, cechom niezmiernie ważnym dla prawnika występującego na sali sądowej. Drażniło go, że opinia publiczna łączy jego osobę głównie z obroną Mary Slevin i nie cierpiał, gdy przypominano mu tamten okres jego życia. Nie dlatego jednak sprzeciwił się przeprowadzeniu dzisiejszej rozmowy.

Kiedy Mary zatelefonowała do niego poprzedniego wieczoru, skrytykował jej pomysł zatrudnienia osoby zupełnie obcej.

- Liz Bush była pani przyjaciółką - powiedział. - A poza tym pochodzi z tych stron. Zna prawdziwy obraz sytuacji.  
-Przez dłuższą chwilę przedstawiał swój punkt widzenia, ale Mary nie dała za wygraną.

- Chcę, aby spotkał się pan z panią Cole i zapoznał ją z faktami.
- Ze wszystkimi faktami? - Cjuinlan nie krył zaskoczenia.
- Z tymi, które przedstawił pan na moim procesie.
- Mary, to nierozsądne angażować kobietę, którą się zna zaledwie parę godzin...
- Muszę mieć sekretarkę, Pat. Nie dam sobie rady sama. Jeśli Samanta Cole nie przyjmie mojej oferty, będę musiała skorzystać z pomocy kogoś przypadkowego, a to mogłoby się okazać wyjściem jeszcze gorszym. Błagam, niech pan zrobi, o co proszę!

Ustał więc w końcu, choć nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wyświadcza jej w ten sposób niedźwiedzią przysługę. Teraz patrzył, jak jaguar Mary zatrzymuje się przy krawężniku i wysiadają z niego Torch oraz młoda kobieta. Kobieta była niewysoka, dość pulchna, o kręconych, jasnych włosach. Powiedziała coś do Torcha i weszła do domu. Torch podniósł wzrok i gdy zobaczył w oknie twarz adwokata, uśmiechnął się krzywo. Cjuinlan odskoczył od okna. Nie lubił Torcha. Prawdę mówiąc, nie cierpiał żadnego z tych byłych skazańców zatrudnianych przez Mary. W ogóle bardzo niewielu ludzi zyskało jego przychylność.

Z poczekalni dobiegł go głos Samanty Cole. Szybkim krokiem podszedł do drzwi, uśmiechnął się i z wyciągniętą dłonią pośpieszył na powitanie gościa.

\* \* \*

- Panna Slevin określiła pana jako przyjaciela i zarazem swojego obrońcę - zaczęła Samanta siadając na krześle, które przysunął jej Quinlan. - Cieszę się, że mogę z panem porozmawiać.
- Cjuinlan szarmancko skłonił głowę. Jego obawy okazały się uzasadnione: oto siedziała przed nim kobieta, która wie czego chce, typ Amerykanki przekonanej do demokracji i nieskazitelnej higieny. Takiej z pewnością nie zwiedzie się gładkimi słówkami. Postanowił przystąpić od razu do sprawy.

- Zamierza pani przyjąć tę posadę, pani Cole?

- Jeszcze nie podjęłam decyzji. Muszę zebrać więcej informacji.

- O Mary Slevin? -Tak.

- Hmm... No cóż, może powinienem był opowiedzieć na początek coś o rodzinie Slevinów. To nazwisko wiele znaczy w tych stronach. Slevinowie żyją tu od pokoleń. Z małymi wyjątkami byli to ludzie mądrzy i pracowici. Walczyli z najeźdźcami, budowali wioski i kościoły, osuszali bagna, tworzyli prawa i strzegli ich. Byli niczym wielkie ryby w małym stawie. To bardzo religijna rodzina. Jeden ze Slevinów walczył za Cromwella, paru z nich wyjechało w późniejszym okresie do Chin, gdzie działali jako misjonarze. Z pewnością nie brakowało im rozumu ani odwagi, ale nie interesowały ich uciechy życia. Typowi purytanie z Salem: chwalić Boga i palić czarownice. Chyba wie pani, co mam na myśli?

Sam skinęła głową, a Cjuinlan kontynuował:

- Bardzo typowym przedstawicielem tego gatunku był ojciec Mary, John. Wyznawał szczególnie surowe zasady i trzymał się ich niezłomie, bez względu na konsekwencje. Był lekarzem, wolał jednak pracować jako miejscowy internista niż jako specjalista w dużym mieście. Pacjenci uwielbiali go. Znał się na tym, co robił, a wielu chorych leczył bez pieniędzy. Jako lekarz był niezmordowany, niezwykle ofiarny i oddany swoim pacjentom. Zaniedbał nawet własne zdrowie i w wieku czterdziestu siedmiu lat zmarł na wrzód żołądka.

Ożenił się z Roweną Jethro, córką człowieka, który dorobił się fortuny na produkcji tworzyw sztucznych. Rowena była zachwycającą istotą, bardzo ładną i miłą, miała poczucie humoru, którym zaraziła Johna. Kiedy przebywała w pobliżu, on stawał się pogodniejszy. Po ojcu odziedziczyła duży majątek, który w połączeniu ze znacznymi wpływami Slevina uczynił ich ludźmi bogatymi.

Z małżeństwa Johna i Roweny urodziło się troje dzieci. Mary przyszła na świat w 1946 roku, a w 1948 jej braciszek Mi-

chael. Niestety, chłopczyk zmarł w wieku trzech lat na zapalenie opon mózgowych. Dla Slevinów był to straszliwy cios. Mary miała wówczas zaledwie pięć lat. Nie rozumiała, co się stało, i często błąkała się po całym domu i wiosce, szukając Michaela. Była - i jest zresztą nadal - pełna gorących uczuć, tak więc kiedy w 1954 roku urodziła się Lidia, Mary stała się jej niewolnicą, opiekunką i orędowniczką. Dziewczynki przebywały zawsze razem, niczym papużki nierozłączki. Rozumiały się doskonale, nawet bez słów, jednak decyzje podejmowała zawsze Mary.

W 1962 roku Steeple i Market Tye nawiedziła epidemia grypy, która w krótkim czasie przybrała zastraszające rozmiary. Kilka osób zmarło. John Slevin pracował szesnaście godzin na dobę, często rezygnował z posiłków i snu. Napięcie i wysiłek okazały się zabójcze: tuż przed świętami Bożego Narodzenia nastąpiła perforacja wrzodu.

Przewieziono go natychmiast do szpitala w Cambridge, ale było już za późno - zmarł na stole operacyjnym.

Jak gdyby nie dość było nieszczęść, parę tygodni po pogrzebie pani Slevin zachorowała. Okazało się, że cierpi na nowo twór węzłów chłonnych. W maju 1963 roku zmarła. Mary miała wówczas siedemnaście lat, Lidia dziewięć. Po śmierci matki pozostały bez krewnych.

Mój ojciec, bliski przyjaciel Johna i Roweny oraz wykonawca ich testamentów, zaproponował, aby Mary i Lidia zamieszkały razem z nami, ale Mary nie zgodziła się na to. Postanowiła mieszkać nadal w Marksholm. Twierdziła, że dopóki pozostanie z nimi pani Gideon, ich wieloletnia gosposia, wszystko będzie w porządku.

Jej argumenty zwyciężyły. Mój ojciec rozumiał, że dziewczęta po stracie obojga rodziców czują się tym bardziej związane z domem, w którym się wychowały. Wiedział też, jak oddana im jest pani Gideon. Uzgodniono więc, że cała trójka będzie nadal mieszkała w Marksholm - i układ ten funkcjonował do następnego roku, kiedy Mary ukończyła szkołę.

Od dawna chciała studiować prawo i była wystarczająco bystra, aby dostać się na uniwersytet. W sierpniu 1964 roku prze-

prowadziła się wraz z Lidią i panią Gideon do Cambridge. Giddy zajmowała się gospodarstwem, Mary studiowała, a Lidia uczyła do dobrej szkoły dziennej.

Domem w Marksholm zaopiekował się wynajęty w tym celu administrator, a dziewczęta przyjeżdżały tam z Giddy na wakacje. Wydawało się, że wszystko doskonale się układa.

Samanta uniosła głowę.

- Wydawało się?

Quinlan wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem Mary była za młoda, aby poświęcać się w ten sposób.

- Czy to rzeczywiście było poświęcenie?

- Naturalnie! Miała wówczas osiemnaście lat. Była mądrą i atrakcyjną dziewczyną, czekała ją wspaniała przyszłość. Ale wychowanie Lidii, opieka nad nią pochłaniało mnóstwo czasu, a do tego dziewczynka była piekielnie zazdrosna o starszą siostrę. Mary nie mogła nawet marzyć, aby żyć własnym życiem. -W głosie Quinlana zabrzmiał gniew, na blade policzki wystąpiły rumieńce.

Sam spojrzała na niego przenikliwie i zapytała:

- Czy pan się w niej kochał? Zawahał się chwilę.

- Owszem, kochałem ją. Zabierałem ją na przyjęcia, odbywaliśmy wspólnie wycieczki żaglówką. Ale nigdy nie zdołałem jej namówić na dalszą podróż. Lidia trzymała ją tu niczym kotwica. Inni mężczyźni nie mieli więcej szczęścia niż ja. Mary umawiała się z nimi, ale po paru godzinach zawsze wracała pędem do Lidii.

- A kiedy wrócili do Steeple Tye?

- Po ukończeniu przez Mary uczelni. - Quinlan odzyskał już spokój. - To był rok 1968. Mary podjęła pracę w firmie mego ojca, tu, w Market Tye. Spisywała się tak doskonale, że po upływie czterech lat została młodszym wspólnikiem. Oczywiście pomogło jej w tym nazwisko Slevin, ale Mary naprawdę zasłużyła na ten awans. Świetnie sobie radziła i potrafiła zdobyć sympatię otoczenia.

Była to osobliwa opinia, zważywszy, że dotyczyła osoby skazanej niegdyś za zabójstwo. Sam zachowała milczenie. Quinlan natomiast dodał z namysłem:

- Ludzie lubią Mary. Pani też ją polubi, o ile zdecyduje się zostać tu wystarczająco długo, aby poznać ją lepiej.

Zmieniając temat, Sam zapytała:

- A czym zajmowała się Lidia?

- Uczyła się stenotypii i stenografii w szkole w Market Tye. Była za mało zdolna, by rozpocząć studia, ale przy swojej klawiaturze dawała sobie radę. Zdobyła dyplom i znalazła dobrą posadę w firmie mego ojca.

- Domyślam się, że nie pracował pan u ojca?

- Nie. Po ukończeniu uniwersytetu byłem przez dwa lata zatrudniony w Cambridge. Postanowiłem zostać adwokatem, dopiąłem swego i wróciłem tutaj, aby otworzyć praktykę. To było na początku 1972 roku.

Skierował wzrok ku oknu, na panoramę dachów i czystego nieba, jak gdyby pragnął spojrzeć ponownie na minione lata.

- Wszystko potoczyłoby się dobrze - mruknął - gdyby nie Marshall Robarts. - Odwrócił się do Sam. - Bóg jeden wie, po co Mary chce grzebać się w tym starym bagnie!

Ignorując jego protest, Sam zapytała:

- Kim był ten Marshall Robarts?

Quinlan wpatrywał się w nią przez moment ze zdumieniem, po czym machnął ręką.

- Naturalnie, przecież pani nie przebywała wtedy w Anglii.

- Przeczesał sobie dłonią włosy. - Robarts to ofiara zabójstwa

- wyjaśnił. - To właśnie człowiek, którego zastrzeliła Mary.

W tym momencie zadzwonił telefon. Quinlan nie rozmawiał długo, a odkładając słuchawkę uśmiechnął się, jakby chciał przeprosić Sam za przerwę. Widać było, że napięcie, które rosło w nim od paru minut, opadło nieco.

Spokojnym tonem zaproponował:

- Sądzę, że powinienem wreszcie zapoznać panią z podstawowymi elementami tego, co prasa była łaskawa nazwać „sprawą Mary Slevin”. Wtedy zdecyduje pani, czy chce przy-



jąc posiadłość w Fundacji. Jak już powiedziałem, Marshall Robarts stał się źródłem wszelkich kłopotów. Kiedy w 1974 roku wrócił do domu...

- Wrócił do domu? Czy to znaczy, że pochodził stąd?

- Jak najbardziej. Rodzina Robartsów mieszka tu tak długo jak Slevinowie. To średniorolni farmerzy, bez wątpienia sól ziemi, ale z pewnością nie są to ludzie formatu Slevinów ani pod względem społecznym, ani finansowym.

Marshall postanowił zmienić ten stan rzeczy. Natychmiast po ukończeniu szkoły zerwał ze swymi korzeniami. Jego rodzice nie mogli zapewnić mu wykształcenia uniwersyteckiego, ale on zdobył stypendium na politechnice londyńskiej i tam podjął studia na wydziale elektroniki. Przewidział, że światem zawładną niebawem komputery. Z Londynu przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, następnie do Japonii i wreszcie wrócił tutaj, do Market Tye, aby pokierować fabryką urządzeń elektronicznych. W tym okresie fabryka zaczynała się dopiero rozwijać, ale Robarts doskonale dawał sobie radę. Stał się typowym przykładem yuppie, zanim jeszcze narodziło się to określenie.

Obmyślał dokładnie każdy swój krok, pnał się wytrwale na szczyt. Nie wydaje mi się, aby zamierzał pozostać w tym mieście zbyt długo. Traktował raczej tę pracę jako jeden ze schodków wiodących na górę. Chciał zdobyć mocną pozycję, do tego zaś potrzebny był kapitał. W pewnym momencie przyszło mu do głowy, że mogłyby mu się przydać pieniądze Slevinów.

Głównym celem jego zabiegów stała się Mary. Robarts podobał się kobietom. Był przystojny, dobrze zbudowany, wysportowany. Biegał, strzelał do celu, żeglował. Potrafił być duszą towarzystwa, rozmawiać na wiele tematów i nie miał skrupułów. Wkrótce poprosił Mary o rękę, a ona wyraziła zgodę. Zaręczyny nie trwały jednak długo. Mary poznała się na Marshallu, zorientowała się, że to kobieciarz i uwodziciel, w związku z czym odprawiła go z kwitkiem.

Nie zrażony bynajmniej takim obrotem sprawy, Robarts skierował swą uwagę na Lidię Slevin. Było to niezmiernie miłe i ładne stworzenie: blond włosy, niebieskie oczy, świetna figu-

ra i żywy temperament. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, była zupełnie niedoświadczona, a przy tym spragniona miłości. Łatwa zdobycz dla mężczyzny pokroju Robartsa.

Mary robiła, co tylko mogła, aby nie dopuścić do tego związku, ale była bezsilna. Lidia uciekła się do swoich sztuczek, obnosiła się z ogarniającą ją depresją, nie spała, nie jadła, kręciła się po domu jak błędna owca i dosłownie na oczach chudła. W końcu więc Mary zgodziła się na ich ślub.

- Czy w tym okresie Mary była opiekunką Lidii?

- Nie w sensie prawnym, ale właśnie wtedy zmarł mój ojciec i od tej pory Mary wzięła sprawy w swoje ręce.

Marshall i Lidia pobrali się wiosną 1976 roku, zamieszkali w Marksholm, przejmując połowę posiadłości. Jak się potem okazało, był to fatalny błąd.

- Dlaczego Robarts zaakceptował ten pomysł?

- Ze względu na pieniądze. Lidia mogła wejść w posiadanie odziedziczonego majątku po ukończeniu dwudziestu pięciu lat - a więc dopiero za trzy lata. Wykonawcy testamentu byli upoważnieni do kontrolowania jej wydatków, Marshall zaś wolał być na miejscu, aby widzieć, czy wszystko przebiega po jego myśli. Pracował w pobliżu Marksholm, mógł więc cieszyć się do woli pozycją przysługującą Slevinom.

- Nie lubił pan tego człowieka, to oczywiste. Nie uciekał przed jej wzrokiem.

- W moich oczach był zimnym, wyrachowanym, sprytnym łajdakiem - odparł. - Niszczył wszystko, co stało mu na drodze. Nienawidziłem go... Ale nie o nim przecież mieliśmy rozmawiać.

- Słusznie. Przepraszam pana. Proszę kontynuować.

- Ich małżeństwo już od pierwszej chwili okazało się nieudane - podjął opowieść Quinlan. - Lidia była młodsza od męża o trzynaście lat. Oczekiwała romantycznych uniesień, od dziecka była rozpieszczana. Teraz przekonała się, że małżeństwo z Marshalllem oznacza dla niej długie chwile samotności. Często wyjeżdżał gdzieś służbowo i nigdy nie zabierał jej ze sobą. Jediną rozrywką były sporadyczne wizyty w eleganckich

restauracjach w Market Tye lub Cambridge. Przyjaciele Marshalla nie różnili się od niego. Podobnie jak on reprezentowali typ bezwzględny, idącego przebojem Jędrka-mędrka, mówili głównie o pieniądzu.

Quinlan umilkł na moment, zmarszczył brwi.

- Ale główny problem wiązał się z życiem seksualnym tej pary, a raczej z jego brakiem. Marshall uważał się za stuprocentowego samca, cenił kobiety doświadczony. Lidii natomiast w ogóle nie interesował seks. Rozpoczęły się napady złego humoru, bóle głowy, sprzeczki i ciche dni. Co gorsza, Lidia wtajemniczyła Mary w swoje problemy, szukając u niej pomocy i otuchy. Jeszcze przed upływem sześciu miesięcy atmosfera w domu uległa dramatycznemu pogorszeniu-, a w Steeple Tye stało się tajemnicą poliszynela, że nowożeńcom nie układa się współżycie.

Zacząłem błagać Mary, aby pozbyła się ich obojga i pozwoliła im się usamodzielnąć, ale ona oczywiście nie zgodziła się na to. Tak więc cała ta żałobna farsa trwała dalej, a nawet osiągnęła punkt krytyczny. Któregoś dnia przysłała do mnie pani Gideon z wieścią, że Lidii grozi załamanie nerwowe. Od dawna sypiała źle, teraz zaczęła zażywać środki nasenne, ale te tylko nasiliły objawy depresji. Doktor Trevor Soames, lekarz domowy, zalecił kurację amfetaminową.

- A więc raz ją pobudzał, raz uspokajał - wtrąciła Samanta. -Właśnie. Zupełnie idiotyczny pomysł, zważywszy, jakim typem kobiety była Lidia. Tylko dureń pokroju Soamesa mógł zalecić jej tego rodzaju leki.

We wrześniu 1977 Mary wróciła pewnego wieczoru do domu i zastała Lidię leżącą bez przytomności u podnóża głównych schodów. Początkowo myślała, że dziewczyna przewróciła się i straciła chwilowo świadomość, ale potem zorientowała się, że Lidia znajduje się w stanie śpiączki. Przewieziono ją natychmiast do szpitala w Cambridge, gdzie przeprowadzono płukanie żołądka. Odzyskała przytomność. Okazało się, że zażyła za dużo tabletek nasennych, chociaż ona twierdziła, że wzięła tylko dwie. Kiedy człowiek jest senny, zdarza się, że nie pamięta o wziętej już tabletki, w związku z czym zażywa następną. Ma-

ry powtarzała dokoła, że tak się właśnie stało, ale zaczęły już krążyć plotki. Mieszkańcy Market Tye szeptali, że Lidia usiłowała odebrać sobie życie.

Mary zażarcie dementowała te pogłoski, ale w głębi duszy bardzo martwiła się stanem zdrowia siostry. Doktor Soames twierdził wprawdzie, że depresja Lidii niebawem minie, jednak Mary czuła instynktownie niebezpieczeństwo. Chciała zasięgnąć porady psychiatry. Lidia nie zgodziła się na to i nieoczekiwanie zyskała sprzymierzeńca w mężu. Marshall oświadczył, że nie pozwoli, aby jakaś banda pseudolekarzy bogaciła się na jego żonie. Było mu na rękę, że opiekę medyczną nad Lidią sprawuje nadal nieudolny Soames.

- A więc brała narkotyki? - zapytała bez ogródek Sam. Quinlan wzruszył ramionami.

-Zażywała pigułki nasenne, amfetaminę i antyhistaminę na alergię. Każdy z tych środków powoduje uzależnienie i z tego względu jest niebezpieczny dla kobiety tak niezrównoważonej jak Lidia.

- Ale Mary z pewnością zorientowała się...

- Mary kochała Lidię ślepą miłością, nie dostrzegała jej słabych stron. Łatwo osądzać innych, kiedy jest już po szkodzi, ale wtedy nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, na co się zanosi. Staraliśmy się znaleźć normalne rozwiązanie tej nienormalnej sytuacji. Tamtej zimy Mary zrobiła sobie długi urlop i wywiozła Lidię na Wyspy Bahama. Spędziły tam dwie miesiące, po których Lidia wróciła wypoczęta i szczęśliwa. Przez pewien czas wydawało się, że wszystko wróciło do normy. Marshall przestał urządzać sceny. Krążyły jednak plotki, że ma kochankę w Londynie. W Cambridge opowiadano sobie rozmaite wersje tej historii. Ale Lidia zupełnie się tym nie przejmowała. Może nawet była zadowolona, gdyż w tej sytuacji mogła mieć nadzieję, że Marshall nie będzie od niej oczekiwał świadczeń seksualnych. Na zewnątrz sprawiali wrażenie zgodnego małżeństwa. Udzielali się towarzysko i publicznie, zajmowali wspólną sypialnię... ale podpora i ostoja Lidii była Mary, nie Marshall.

Jednak Lidia pozostała tą samą wrażliwą istotą skłoną do depresji. Mary opiekowała się nią z prawdziwym poświęceniem, a kiedy przebywała poza domem, zastępowała ją pani Gideon.

Marshall natomiast przychodził i odchodził, kiedy miał na to ochotę. Coraz więcej czasu spędzał ze swymi kompanami, a coraz mniej w Marksholm. To wszystko stawało się nie do zniesienia, ale Lidia nie dopuszczała w ogóle myśli o ewentualnym rozwodzie. Kiedyś w rozmowie poruszyłem ten temat, ona jednak spojrzała na mnie, jakbym stracił rozum.

- Nie uznaję rozwodów - powiedziała. - To wbrew prawom boskim. Marshall pozostanie moim mężem, dopóki nie rozdzieli nas śmierć.

- W takim razie opuść to miejsce, na miłość boską! - zaklinałem ją. - Wyjedźcie stąd oboje, wyjedźcie daleko stąd, dajcie waszemu małżeństwu jakąś szansę!

- To właśnie zamierzam uczynić - odparła - kiedy ukończę dwadzieścia pięć lat. Kupimy sobie z Marshem dom w Londynie, a Mary i Giddy będą nas odwiedzały, ale to będzie nasz dom i nikt nie będzie już nam mówił, co mamy robić.

Quinlan westchnął i przesunął dłonią po głowie.

- Nie brałem tych słów na serio, myślałem, że Lidia po prostu nie wie, co mówi. Myliłem się. Ubzdurała sobie, że gdy tylko ukończy dwadzieścia pięć lat, wszystko się zmieni jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: Marshall stanie się nagle wzorowym mężem i będą żyli długo i szczęśliwie.

Niewątpliwie to Marshall podsunął jej tę myśl. Zależało mu przecież na pieniądzech żony. Czekał na moment, kiedy Lidia dostanie swoją część spadku, żeby wreszcie wyrwać ją spod wpływu i opieki Mary.

Po twarzy Quinlana przemknął cień. Wydawało się, że zapomniał na moment o obecności Samanty.

- Tak więc nadszedł dzień urodzin - podpowiedziała Sam. -

Kiedy to się stało?

- Co takiego? Ach tak, w październiku. To było dziesiątego października. Ale kryzys miał miejsce dużo wcześniej, latem.

Tak, latem 1979 roku. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Byłem wtedy bardzo zajęty, zaabsorbowany własnymi sprawami, ale powinienem był zrobić coś dla niej. Powinienem był dostrzec tę dokonującą się w niej przemianę.  
- W Lidii?

Ponownie obrzucił ją tym swoim zadumanym spojrzeniem.

- Nie, nie! - zawołał. - W Mary. To w niej dokonywała się zmiana. Zamykała się w sobie. Nadal była miła i uprzejma, jak dawniej, ale przestała mi się zwierzać. Kiedyś poruszyłem ten temat w rozmowie z panią Gideon, a ona powiedziała, że Lidia znowu jest chora, nie sypia, stała się wybuchowa, zażywa zbyt wiele tabletek nasennych i środków uspokajających, a Mary zadręcza się tym. Spotkałem się z Mary i zagadnąłem ją o to wprost. Wtedy skoczyła na mnie, oświadczyła, że to nie mój interes, że nie wolno mi się wtrącać do jej spraw. Nie powinienem był dawać za wygraną, jednak poczułem się zraniony, zirytowany, odniosłem wrażenie, że nie jestem już w Marksholm mile widziany. Nigdy nie lubiłem Marshalla Robartsa, on też nie przepadał za mną, mimo to dopóki byłem przeświadczony, że Slevinowie są moimi przyjaciółmi, chętnie bywałem w tym domu. Dopiero kiedy najpierw Lidia, a potem Mary odtrąciły mnie, postanowiłem nie przychodzić tam więcej. Zostawiłem Mary, aby sama stawiała czoło trudnościom.

Quinlan odchylił się na krześle do tyłu, wyjął z kieszeni chusteczkę i z wolna przycisnął ją najpierw do skroni, potem zaś do ust.

- Mary zaczęła podejrzewać - podjął po chwili opowieść - że Robarts dostarcza jej siostrze narkotyki, że robi z niej nałogową narkomankę. Chciał zdobyć jej pieniądze. Aby osiągnąć ten cel, był gotów nawet zabić Lidie.

### *Rozdział 3*

Quinlan umilkł. Zegar miejski uderzył donośnie cztery razy. Na parapecie okiennym z ciężkim łopotem skrzydeł wylądował gołąb, pokręcił się tam przez chwilę, po czym odleciał. Sam odezwała się nieco głośniej, niż zamierzała:

- A więc twierdzi pan, że Marshall usiłował dokonać zabójstwa? Dlaczego panna Slevin zachowała to w tajemnicy? Nie powiedziała o niczym lekarzowi, policji?

- Nie tak łatwo wysunąć tego typu oskarżenie. - Ton głosu Quinlana nie dopuszczał sprzeciwu. Położył obie dłonie na biurku, przyjmując pozę oficjalnego strażnika prawa. - Mary podejrzewała, że Marshall zdobywa narkotyki w sposób nielegalny, ale nie potrafiła tego udowodnić. Korzystając z nieobecności Lidii i Marshalla w domu, dwukrotnie przeszukała ich pokoje, nie znalazła jednak niczego obciążającego. Następnie zarzuciła Lidii, że zażywa większe dawki, niż przepisał jej doktor Soames. Lidia zalała się łzami, ale zaprzeczyła wszystkiemu i zasypała siostrę wymówkami. Ofiary nałogu to specjaliści w manipulowaniu swoimi bliskimi, jak pani zapewne wie. Wtedy Mary zwróciła się do Soamesa, który jednak nie podzielał jej obaw. Oświadczył, że przyczyną dolegliwości jest wyłącznie „słaby system nerwowy chorej”, jak się wyraził.

W październiku Lidia obchodziła swoje dwudzieste piąte urodziny. Rodzina wydała przyjęcie w Market Tye - obiad proszony dla ponad stu gości, zespół muzyczny z Londynu, krótko mówiąc, wszystko, co tylko może przyjść do głowy. Lidia wyglądała prześlicznie, była radosna, szczęśliwa i triumfująca.

Również Marshall sprawiał wrażenie zadowolonego. Zapytałem go, kiedy zamierza przenieść się do Londynu, i to wytrąciło go z równowagi.

- Kto panu o tym powiedział? - wybuchnął.

- Lidia.

- Rozważamy taką możliwość - odparł. - Otrzymałem kilka ofert od różnych dużych firm. Nadszedł chyba czas, abym wykonał swój ruch.

Powiedział: „swój ruch”, rozumie pani? A więc miał obmyślony plan. Byłem przekonany, że wyjadą tuż po świętach Bożego Narodzenia, zastanawiałem się też, co na to wszystko Mary. Zapytałem ją wprost i byłem zaszokowany jej gwałtowną reakcją.

- Nie dopuszczę do tego! - zawołała. - Nie pozwolę, aby mu się to udało!

- Nie zdoła ich pani zatrzymać tutaj, Mary, jeśli zdecydują się na wyjazd.

- Znajdę jakieś wyjście, muszę je znaleźć! - Jej oczy napęłniły się łzami, przez chwilę wyglądało na to, że wreszcie otworzy się przede mną, ale w tym momencie jej uwagę zajął jeden z gości i ta znakomita okazja do szczerzej rozmowy przeszła nie wykorzystana.

Co do mnie, nie byłem jeszcze we wszystkim zorientowany. Nie wiedziałem nic o problemie z narkotykami, myślałem, że Mary denerwuje się perspektywą rozłąki z Lidia. Miałem jej to za złe, ale współczułem z całego serca i w ciągu najbliższych tygodni usiłowałem kilkakrotnie przeprowadzić z nią poważną rozmowę. Niestety, bezskutecznie. Przestała już darzyć mnie tak bezgranicznym zaufaniem jak dawniej.

Całą swoją energię skierowała teraz na wyperswadowanie Lidii pomysłu opuszczenia Marksholm, ale bez żadnego skutku - Lidia postanowiła zamieszkać w Londynie.

Wprawdzie zmieniła w końcu zdanie, ale nie uczyniła tego pod wpływem rozmów z siostrą, lecz po otrzymaniu anonimowego listu, który donosił, że Marshall ma kochankę i zamierza ją poślubić po przeprowadzeniu rozwodu z Lidia.



List przyszedł do Lidii szóstego grudnia i zamienił dom Slevinów w piekło.

Tego dnia przebywałem w Cambridge, a kiedy około szóstej wróciłem do domu, telefon dzwonił natarczywie. To była pani Gideon, cała roztrzęsiona. Błagała, abym natychmiast przyjechał do Marksholm, gdyż „dom stoi na głowie”.

Udałem się tam niezwłocznie. Giddy czekała na mnie przy furtce i od razu powiadomiła o liście. Zapytałem, gdzie jest teraz Marshall.

- Nie wrócił jeszcze do domu - odparła. - I całe szczęście. Jeśli nie uspokoi pan obu pań, zostanie tu zaraz popełnione morderstwo.

Wszedłem do środka. Wieczór był wyjątkowo zimny, ale w salonie rozpalono w kominku. Mary stała tuż przy nim, Lidia leżała skulona na sofie. Nawet się ze mną nie przywitała, patrzyła na mnie tak, jakbym był ze szkła. Jej oczy płonęły, cała drżała jak w gorączce.

Mary pokazała mi list. Był krótki, bez niedomówień i podpisu. Kiedy przeczytałem go do końca, Mary zabrała go z powrotem i oświadczyła Lidii kategorycznym tonem:

- Musisz teraz przeprowadzić rozwód z tym człowiekiem. Już ja tego dopilnuję.

- Czy ona rzeczywiście pragnie rozwodu? - zapytałem. Wtedy Mary szarpnęła mnie za rękę i obróciła twarz do siostry.

- Niech pan na nią spojrzysz! - zawołała. - Przecież ona sama nie wie, czego chce. Przez niego nie potrafi już zebrać myśli. Zginie marnie, jeśli zostanie przy nim. - Podbiegła do sofy, wzięła Lidię w ramiona i poczęła tulić ją jak małe dziecko.

- Zaraz przyjdzie doktor Soames - powiedziała. - I da ci coś na sen. Jutro porozmawiamy o tym wszystkim.

Odniosłem wrażenie, że Lidia w ogóle jej nie słyszy. Cały czas patrzyła w inną stronę. Po chwili rozległ się warkot silnika, przed domem zatrzymał się samochód, a Marshall wbiegł do środka, wołając głośno Lidię. Próbowwała wstać, ale Mary ją przytrzymała.

Marshall wszedł do salonu, dostrzegł nasze miny i zatrzymał się w pół kroku. Wówczas Mary podeszła do niego i wręczyła ten anonim. Marshall przeczytał go, następnie gwałtownie zgniótł w kulkę i wrzucił w płomień, ale Mary uratowała list, zanim zajął się ogniem.

Marshall skwitował to śmiechem.

- Te paskudne brednie nie są warte tego, aby narażać się dla nich na oparzenie - zawołał. Podeszedł do sofy, usiadł obok Lidii, podobnie jak przedtem Mary objął ją i zaczął coś szeptać do ucha. Przywarła do niego z zamkniętymi oczyma, ale nie sądzę, aby go słuchała. Była w głębokim szoku.

Niebawem zjawił się doktor Soames. Kiedy w holu rozległ się jego głos, Marshall poderwał Lidię na nogi.

- Chodźmy, kochanie, zaprowadzę cię do łóżka i pozostanę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

Niemal przemocą pociągnął ją do wyjścia, a mijając mnie uśmiechnął się.

- Niech pan zaopiekuje się Mary, dobrze, Pat? Zrobi to pan dla mnie? Proszę przemówić jej jakoś do rozsądku!

Odwróciłem się do Mary. Wpatrywała się w Marshalla z taką furią i nienawiścią, że przeszedł mnie zimny dreszcz.

Zanim zdołałem coś odpowiedzieć, zawołała:

- To na nic, Pat. Nie potrzebuję pańskiej pomocy. I byłoby lepiej, gdyby pan już sobie poszedł.

Zorientowałem się, że próba nawiązania z nią normalnej rozmowy nie miałaby żadnego sensu, powiedziałem więc, że spotkamy się nazajutrz w Market Tye, i pożegnałem się.

Quinlan pocił się obficie. Kiedy zdjął ręce z biurka, na blacie pozostał wilgotny ślad.

- A ten list... - powiedziała z namysłem Sam. - Czy nie mogło być tak, że wysłała go panna Slevin, aby skłonić Lidię do rozwodu?

Quinlan potrząsnął głową.

- Nie. Mary nigdy nie była zdolna do podstępów. Jest osobą wyjątkowo prostolinijną, może mi pani wierzyć. Poza tym wiem, że list był autentyczny.

- Skąd pan o tym wie?

- Kilka miesięcy wcześniej, kiedy zaczęły krążyć pogłoski o erotycznych przygodach Marshalla, zacząłem zbierać informacje na jego temat. Okazało się, że ma w Cambridge kochankę. Kiedyś zdobyła tytuł królowej piękności i została modelką, ale gdy poznała Marshalla, uznała, że może dojść dzięki niemu do dużych pieniędzy. No i związała się z nim. Nazywa się Rosa Pierce i w czasie rozprawy przeciw Mary przyznała się do wysłania tego listu.

#### *Rozdział 4*

Czy powiedział pan pannie Slevin, że wie, kto jest autorem listu? - zapytała Sam.

- Owszem. - W głosie Quinlana wyraźnie zabrzmiała gorycz. - Następnego ranka spotkałem się z nią w Market Tye, przekazałem jej dane Rosy Pierce łącznie z adresem i zaproponowałem, że pokręcę się trochę koło niej oraz ostrzeżę, jeśli to będzie konieczne. Mary odrzuciła moją ofertę.

- Dlaczego?

- Złękła się niepotrzebnego rozgłosu. Powiedziała, że kiedy rozpętam polowanie na czarownice, wybuchnie skandal. Była zdania, że Rosa Pierce to osoba zasługująca jedynie na wzgardę i należy ją zignorować. Poza tym chciała jakoś zakończyć sprawę z Marshalllem, ale w taki sposób, aby oszczędzić Lidie.

- A w jaki sposób zamierzała zakończyć tę sprawę?

- Myślę, że chciała go przekupić. Mary to kobieta bardzo majątna. Zapewne miała nadzieję, że pozna cenę Marshalla i wypłaci mu odpowiednią kwotę pod warunkiem, że wyraziłby zgodę na rozwód.

- Miała jakieś szanse?

- Wątpię. Marshall nie pragnął rozwiązania częściowego, wolał zagrać o całą stawkę. Był pewien, że Lidia wybierze jego, nie Mary.

- I w końcu doszło do tego? To znaczy, czy Lidia stanęła przed koniecznością dokonania wyboru?

- Tak. Była niczym kość, o którą walczą zażarcie dwa wygłodniałe psy. Od szóstego grudnia, kiedy nadszedł list, do czter-

nastego pomiędzy Mary i Marshalllem toczyła się walka o zachowanie kontroli nad Lidią. Żaden z przeciwników nie przejmował się tym, w jaki sposób te zmagania odbiją się na psychice Lidii.

Podczas rozprawy pani Gideon zeznała, że w domu odbywały się bezustannie awantury. Mary i Marshall rzadko rozmawiali ze sobą, oboje jednak nie ustawali w wysiłkach, aby nagiąć Lidię do swoich planów, na co ona zareagowała w końcu w sposób łatwy do przewidzenia: zbuntowała się przeciw siostrze i mężowi. Marshallowi oznajmiła, że pragnie rozwodu, Mary - że opuszcza Marksholm. Była wytrącona z równowagi, rozhisteryzowana, a kiedy wezwano do niej doktora Soamesa, kazała mu iść do diabła, ponieważ jego również ma dość i zamierza znaleźć sobie innego lekarza tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Punkt krytyczny nastąpił czternastego grudnia. Tego dnia Mary i Marshall znajdowali się poza domem. Marshall miał ważne spotkanie w Londynie, Mary zaś musiała wyjechać do Cambridge. Lidia pozostała sama ze swoim problemem, gdyż nie chciała nawet rozmawiać z panią Gideon, twierdząc, że „trzymam stronę Mary”.

Przez cały ranek pani Gideon widziała, jak Lidia kręci się w pobliżu tak zwanej środkowej stodoły, przekształconej przez Mary w biuro. Wielu klientów Mary wywodziło się z mieszkańców okolicznych wiosek. Łatwiej było im konsultować się z nią w Steeple, niż odbywać długą podróż do Market Tye, gdzie znajdowała się siedziba firmy.

Kiedy nadeszła pora lunchu, Lidia wróciła do domu, ale nie tknęła nawet posiłku przygotowanego przez panią Gideon. Sprawiała wrażenie chorej i pocila się, chociaż dzień był bardzo chłodny. Oddychała z trudem i była jakaś niespokojna, posłuchała jednak Giddy, która błagała, aby położyła się na trochę.

Udała się do sypialni i zamknęła drzwi. O czwartej pani Gideon wniosła jej herbatę. Miała klucz do skrzydła zajmowanego przez Robartsów. Kiedy weszła do sypialni, zastała Lidię nieprzytomną. Zażyła zbyt dużą dawkę środków nasennych.

Giddy wezwała karetkę i Lidia po raz drugi, odkąd wyszła za męża, znalazła się w szpitalu w Cambridge. Jej życie wisiało na włosku, ale lekarze wyciągnęli ją z tego. Mary uparła się, aby przeprowadzono wszelkie niezbędne testy i wówczas okazało się, że oprócz barbituranu Lidia zażyła również sporą dawkę amfetaminy.

Mary pozostała w szpitalu przy siostrze do rana, potem przyszła do mnie i opowiedziała o wszystkim, co się wydarzyło. Przyznała, że od jakiegoś czasu podejrzewa Lidię o zażywanie narkotyków, a za sprawcę zła uważa Marshalla.

- Nigdy więcej nie pozwolę, aby zbliżył się do Lidii - zapowiedziała. - Jeśli spróbuje, wezwę policję.

- Proszę uważać, Mary - ostrzegłem ją. - Nie ma pani żadnych dowodów.

- Mam to - odparła otwierając torebkę i wyciągając z niej małą butelkę. Na etykietce widniała nazwa DIAZEPAM, a w buteleczce znajdowało się parę tabletek.

- Diazepam to środek uspokajający - wyjaśniła Mary. -Przepisał go Lidii doktor Soames. Pastyłki w butelce wyglądają jak diazepam, ale w rzeczywistości to amfetamina. Marshall musiał faszerować nią moją siostrę od wielu miesięcy.

- Skąd pani wzięła tę butelkę?

- Z nocnej szafki Lidii. Chciałabym pana prosić, Pat, aby przechował ją pan w bezpiecznym miejscu i wystawił mi pokwitowanie.

Uczyniłem to, a potem zapytałem ją, co zamierza teraz zrobić.

- Lidia musi zostać w szpitalu co najmniej przez tydzień -odparła. - Lekarze będą ją odtruwać, a tego nie można zrobić w jeden dzień. Potem odeślą ją na kurację do kliniki specjalistycznej, ale przede wszystkim muszę coś zrobić, aby pozbyć się Marshalla. Nie mogę dopuścić, aby przebywał nadal w Marksholm, kiedy Lidia wróci do domu.

Powiem mu, że ma się natychmiast od nas wyprowadzić. Byłabym zobowiązana, gdyby mógł pan być obecny przy tej rozmowie.

- Oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy.

Ujęła mnie pod ramię i uśmiechnęła się.

- Dzięki Bogu ten koszmar zakończy się wreszcie - powiedziała. - On nie ośmieli się teraz walczyć ze mną.

Nie doceniała, niestety, wytrwałości i pazerności Marshalla. Razem pojechaliśmy do Steeple Tye. Marshall był już w domu, natychmiast też wywiązała się dyskusja, która - jak się pani zapewne domyśla - miała burzliwy przebieg. Marshall zapewniał uroczyście, że nic nie wie o uzależnieniu Lidii od narkotyków, twierdził, że jego żona zażywa jedynie te leki, które przepisał jej doktor Soames, a jeśli bierze zbyt duże dawki, to musi mieć jakiegoś tajnego dostawcę.

- Zapominasz chyba - odparła Mary - że Lidia wie, kto zaopatruje ją w leki. Powiedziała mi rano, że otrzymuje je tylko od ciebie. Wyznała mi wszystko, Marshall, i ma ciebie dosyć. Masz wyprowadzić się z tego domu jeszcze dzisiaj. Twoje rzeczy prześlę potem pod adres, jaki mi podasz, ale nie przyjeżdżaj tu nigdy więcej. Powinieneś być mi wdzięczny, że nie oddaję cię w ręce policji.

Marshall wpadł w furję. Obarczył Mary winą za stan, w jakim znajdowała się Lidia, oskarżył ją, że to ona zniszczyła życie jego żonie, że zrobiła z niej neurotycznego pasożyta.

Mary nie pozostała mu dłużna, wyzwala Marshalla od łowców posagów i morderców, po czym kazała mu się wynosić z domu. Widząc, że sytuacja przybiera niebezpieczny dla niego obrót, Marshall spuścił z tonu i zaczął błagać o jeszcze jedną szansę.

- Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi, Mary - wołał. - Kiedyś znaczyliśmy dla siebie wiele. To nie w porządku, że traktujesz mnie w ten sposób. - Ponieważ nie odpowiadała, zwrócił się do mnie: - Proszę zostawić nas samych - poprosił. - Chciałbym porozmawiać z Mary w cztery oczy.

Jednak Mary kategorycznie odmówiła mu.

- Kiedyś rzeczywiście byliśmy przyjaciółmi - potwierdziła. - Ale to należy już do przeszłości. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Idź już sobie.

Ku memu zaskoczeniu Marshall wyszedł, a zaledwie opuścił dom, Mary oświadczyła mi:

- Pat, muszę się dowiedzieć, gdzie ten łajdak kupuje narkotyki. Proszę, niech pan wynajmie dobrego detektywa, który by się tym zajął. Koszty nie grają tu żadnej roli. Chcę, aby ci handlarze znaleźli się w więzieniu.

Cjuinlan umilkł, Samanta zaś zapytała:

- Chciała wsadzić do więzienia handlarzy narkotykami, a nie Marshalla? Czy to aby logiczne?

- W pewnym sensie tak. Postawienie Marshalla pod pręgierzem opinii publicznej oznaczałoby zarazem wywołanie skandalu wokół osoby Lidii, a Mary chciała ją przecież chronić. Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie. Mary wierzyła święcie, że po wygnaniu Marshalla z domu i ukaraniu dostawców narkotyków uwolni siostrę od wszelkiego niebezpieczeństwa.

- A tymczasem Marshall pojawił się z powrotem, czy tak?

- Tak - odparł Cjuinlan. - Powrócił. I przypłacił to życiem.



## *Rozdział 5*

ochodziła już piąta, plac ożywił się. Quinlan wstał, zamknął okno i włączył klimatyzację. Samanta odniosła wrażenie, że chciał zyskać czas na zebranie myśli. Po chwili powrócił za biurko i usiadł na krześle, po czym zaczął układać ołówki i długopisy w jakieś dziwne wzory.

- Od czternastego do dziewiętnastego grudnia Lidia przebywała w szpitalu w Cambridge - powiedział w końcu. - Wieczorem dwudziestego wróciła do domu, przy czym zadbano o to, aby miała zapewnioną opiekę przez całą dobę. Mary miała urlop, zbliżały się bowiem święta, w ciągu dnia pomagała jej Giddy, dyżury nocne natomiast przejmowała zawodowa pielęgniarka z Market Tye.

Lidia przeżywała piekło, przechodząc kurację odwykową, na domiar złego utraciła Marshalla. Może to wydać się dziwne, ale tęskniła za swoim mężem, chociaż zdawała sobie jednocześnie sprawę, że musi się go pozbyć.

W Marksholm bywałem codziennie. Lidia była wyjątkowo nerwowa i rozdrażniona, wymagała stałej opieki. Z tego względu uzgodniłem z Mary, że i ja będę spędzał przy Lidii godzinę, nieraz dwie dziennie. Czasem czytałem jej coś interesującego, kiedy indziej po prostu gawędziliśmy. Wieczory nie stwarzały żadnego problemu: Lidią opiekował się wówczas jej nowy lekarz, doktor Bell z Market Tye.

Mary w tym czasie zasługiwała na najwyższy podziw. Troszczyła się o siostrę jak matka, czuwała nad jej kuracją, pilnowała, żeby Lidii nie zabrakło niczego. Oznaczało to dla niej

z pewnością spory stres, ale kiedy zwróciłem jej uwagę, że powinna się oszczędzać, odparła:

- To nie potrwa przecież długo, Pat. Tuż po Nowym Roku Lidia zostanie przeniesiona do kliniki w Brighton, nie mogę jednak dopuścić, aby spędziła tam święta Bożego Narodzenia.

W święta złożyłem paniom Slevin wizytę. Przyjęcie było bardzo udane, choć nie obyło się bez małego zgrzytu. Otóż Marshall miał czelność przesłać Lidii prezent. Na szczęście Mary przejęła paczuszkę i odesłała ją nietkniętą na adres jego firmy. Jak się potem okazało, w tym czasie bawił się z Rosą Pierce w Cambridge, co aż nadto wyraźnie świadczy o charakterze tego człowieka.

Mieliśmy wrażenie, że wreszcie pozbyliśmy się diabła, że złe czasy minęły, a sprawy idą teraz ku lepszemu. I tak by rzeczywiście było, gdyby nie czynnik, nad którym nie mieliśmy kontroli: pogoda.

Zima w 1979 była wyjątkowo ostra. W grudniu nastąpiły obfite opady śniegu, a potem ulewne, długotrwałe deszcze, którym towarzyszyły sztormy na morzu. Powódź rozpoczęła się w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia.

Początkowo woda zalała jedynie tereny przybrzeżne, następnie moczary oraz sieć rzek i kanałów.

Dwudziestego dziewiątego grudnia powódź dotarła do Steeple Tye. Cała nizina na północy znalazła się pod wodą: domy, stodoły i szopy, nawet drogi i mosty uległy zniszczeniu. Już w południe ustąpiły tamy wzdłuż Little Tye... rzeki okalającej Steeple Tye... i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów woda zagroziła niżej położonym terenom miejscowości. Do walki z kataklizmem wezwano wszystkich zdolnych do wysiłku ludzi. Trzeba było napędnąć worki piachem, a także zaopiekować się uciekinierami z okolicznych farm.

Ponieważ pielęgniarzka wynajęta do Lidii zatelefonowała informując, że nie może dziś przyjść na noc, Mary i pani Gideon nie pozostało nic innego, jak przejąć nocny dyżur, co Mary wprawilo w rozterkę. Z jednej strony potrzebna była w domu, przy siostrze, z drugiej jednak czuła się w obowiązku przyjść z pomocą ofiarom powodzi.

W końcu sama Lidia przekonała Mary, że powinna iść i pomóc innym, zapewniła też, że wystarczy, jeśli zaopiekuje się nią Giddy. Mary posłuchała jej, poprosiła jedynie o wiadomość, gdyby mimo wszystko okazała się potrzebna.

Lidia obiecała nie ruszać się z łóżka, a pani Gideon miała czuwać w sąsiednim pokoju.

Tuż po czwartej zadzwonił telefon przy łóżku Lidii. Pani Gideon weszła natychmiast do sypialni, ale Lidia podniosła już słuchawkę. Wyglądało na to, że słowa rozmówcy budzą w niej gniew i zarazem lęk, tak więc pani Gideon zapytała: „Kto to?“, a Lidia odparła: „Marshall“.

Mniej więcej po minucie zaczęła krzyczeć, że nie chce dłużej rozmawiać i nie życzy sobie, aby Marshall wydzwaniał do niej. Rzuciła słuchawkę na widełki i wybuchnęła płaczem. Giddy usiadła na brzegu łóżka i usiłowała ją pocieszyć. Kiedy zapytała, czego chciał Marshall, Lidia wyjaśniała, że chciał przyjechać do Marksholm.

- Prosił o jeszcze jedną szansę, a ja nie zamierzam mu jej dawać. Nie chcę, aby tu przychodził! Niech mnie zostawi w spokoju!

Zerwała się z łóżka i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Płakała przy tym i krzyczała, że Marshall usiłował ją zabić.

- On chce, abym umarła, Giddy. Chce się mnie pozbyć, a potem zawładnąć moim majątkiem i ożenić się z tą suką! Gdzie jest Mary? Chcę, aby przyszła Mary! Ona musi zrobić z nim porządek, pozbyć się go raz na zawsze!

Wpadła w taką histerię, że pani Gideon zbiegła na dół, aby z drugiego telefonu skontaktować się z Mary. Niestety, połączenie z ratuszem miejskim nie działało. Giddy zadzwoniła do doktora Bella, on jednak wyszedł do pacjenta.

Zrozpaczona wykręciła numer do doktora Soamesa. Nie chciała sama decydować, jaki lek podać chorej. Pech chciał, że również Soamesa nie zastała w domu.

Podczas gdy stała na parterze, wydzwaniając to tu, to tam, telefon zainstalowany w pokoju Lidii zadzwonił po raz drugi. Czym prędzej pobiegła na górę i ponownie stała się świadkiem burzliwej rozmowy. Usłyszała, jak Lidia krzyczy:

- Kłamiesz! Chcesz skłócić mnie z Mary, a ja wiem dlaczego! Jeśli zatelefonujesz tu jeszcze raz, opowiem wszystko policji!

Pani Gideon wyrwała słuchawkę z rąk Lidii, zamierzając powiedzieć Marshallowi, co o nim myśli, ale gdy tylko zaczęła mówić, połączenie zostało przerwane.

Lidia była w okropnym stanie. Drżała na całym ciele, jakby miała atak, opowiadała potem Giddy. Usiadła przy Lidii, ujęła jej dłonie i chciała ją uspokoić, ta jednak nie przestawała wzywać na pomoc Mary. Bojąc się zostawić ją teraz samą, Giddy ponownie zadzwoniła do doktora Bella i tym razem dopisało jej szczęście. Zastała go w domu.

Wprawdzie nie mógł przyjechać do chorej natychmiast, powiedział jednak, że objawy, o których mówi Giddy, są typowe w sytuacji, kiedy człowiek uzależniony przestaje nagle zażywać narkotyki. Polecił pani Gideon, aby dała Lidii dwie z tabletek nasennych, które przedtem przepisał.

Giddy zastosowała się do jego wskazówek. Niebawem, już po zażyciu tabletek, Lidia uspokoiła się i w końcu usnęła. Wtedy Giddy postanowiła odszukać Mary. Zdecydowała się pójść ścieżką wiodącą przez zagajnik, była bowiem bardziej osłonięta przed deszczem niż droga wzdłuż brzegu rzeki. Kiedy dotarła do ratusza, dowiedziała się, że Mary wypłynęła łodzią po powodziach, czym prędzej więc przeszła na przystań. Tam jednak panował kompletny rozgardiasz, zamieszanie potęgowała zapadająca ciemność. Nie było nikogo, kto by potrafił udzielić jakiegokolwiek informacji o Mary, i wreszcie po godzinie bezowocnego oczekiwania Giddy uznała, że najwyższy czas wracać do Marksholm.

Wyruszyła około wpół do ósmej, a po piętnastu minutach była w domu. Wchodząc do środka natknęła się na Mary, która zbiegała właśnie po schodach, jeszcze w płaszczu nieprzemakalnym, butach i kapeluszu. Była biała jak papier, ale opanowana. Podeszła do Giddy i powiedziała:

- Zdarzyło się coś strasznego! Zjawił się Marshall, zaczął mi grozić i wtedy strzeliłam do niego. On nie żyje. Wezwałam już

policję. Lidia nie wie o niczym, a ja nie chcę jej budzić. Czy mogłabyś posiedzieć przy niej, dopilnować, aby nikt jej nie niepokoił?

Może pani sobie wyobrazić, co Giddy czuła, słuchając tych słów. Zanim jednak zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie, nadjechały radiowozy policyjne z Market Tye. Pani Gideon zostawiła Mary przy drzwiach, sama zaś weszła na górę, do Lidii, która spokojnie spała.

Trzy kwadransy później przyjechał doktor Bell. Oświadczył, że Mary prosiła go, by sprawdził, czy z Lidią wszystko w porządku. Zanim zbadał ją, upewnił się, czy dziewczyna przyjęła tabletki nasenne, a potem stwierdził, że powinna spać całą noc. Obiecał, że wpadnie nazajutrz, pożegnał się i wyszedł.

W tym czasie Mary zaprowadziła policjantów do stodoły, gdzie leżało ciało Marshalla Robartsa.

Quinlan umilkł na moment. Kiedy zaczął mówić o zabójstwie, jego głos uległ zmianie i Sam zorientowała się, że jej rozmówca bezwiednie wpadł już w swój adwokacki styl; relacjonował fakty w sposób niezwykle dramatyczny.

- Mary przyznała się natychmiast do zastrzelenia Robartsa - powiedział. - Opowiem pani teraz jej wersję wydarzeń, którą przedstawiła policji oraz mnie, kiedy o ósmej piętnaście znalazłem się w Marksholm.

Przez całe popołudnie zajmowała się ofiarami powodzi. Za piętnaście siódma była na przystani i w tym samym czasie dotarła tam świeża grupa ratowników z Market Tye. Mary uznała więc, że w tej sytuacji może już wrócić do domu. Zaparkowała samochód przed głównym wejściem, weszła do holu i zaczęła wołać panią Gideon. Ponieważ nie otrzymała żadnej odpowiedzi, wbiegła na górę, do sypialni siostry. Ale Lidia spała głęboko, zaś na stoliku nocnym leżała karteczka z wiadomością, że pani Gideon poszła szukać Mary.

Mary udała się do swego pokoju. Zamierzała wziąć gorącą kąpiel, zanim jednak zdążyła zdjąć wierzchnie ubranie, ujrzała przez okno, że w stodole pali się światło, a nie opodal, w cieniu, stoi jakiś samochód.

Przyszło jej do głowy, że to samochód Robartsa, który posiadał komplet kluczy do wszystkich zabudowań gospodarczych, ale na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że to włamywacz, wzięła ze sobą broń.

- Ta broń należała do niej?

- Nie, do Robartsa. Był to amerykański pistolet półautomatyczny. Mary natknęła się na niego, pakując rzeczy Marshalla, a ponieważ uważała szwagra za człowieka niebezpiecznego, postanowiła nie zwracać mu broni.

Schowała pistolet w szafie i zamierzała przekazać go policji, jednak sprawy związane ze stanem zdrowia siostry oraz z powodzią zaabsorbowały ją na tyle, że zapomniała o tym.

Samanta kiwnęła głową, a Quinlan mówił dalej:

- Mary udała się do stodoły. Oryginalne wrota były zaopatrzone w zamek typu yale, Mary otworzyła je swoim kluczem i weszła do środka, gdzie mieściło się jej biuro.

Składało się z trzech pomieszczeń: poczekalni dla klientów, z której wchodziło się też do toalety, gabinetu Mary oraz czegoś w rodzaju archiwum, gdzie w sejfie przechowywano dokumenty. Drewniane schody prowadziły na górę, do pomieszczenia gospodarczego, pakamery i składu sprzętu ogrodniczego.

W poczekalni i gabinecie paliło się światło. Mary podkrađła się bliżej i zobaczyła w swoim gabinecie Robartsa. Jego ubranie było zakurzone i wymięte. Usiłował właśnie otworzyć drzwi do archiwum, ale odwrócił się błyskawicznie, kiedy wymówiła jego imię. Nie odezwał się nawet jednym słowem, Mary zażądała więc wyjaśnień.

- Przyszedłem po moje obligacje - oświadczył. - Są w sejfie. Wiedziała, że to prawda, gdyż sama wkładała tam trzy obligacje.

- Nie masz przecież klucza - odparła. - Zaraz je wyjmę. Wzięła dokumenty i wróciła z nimi do gabinetu.

- A teraz wynoś się stąd - powiedziała.

- Chcę zobaczyć się z moją żoną. - Marshall nie ruszył się z miejsca. - Ona też tego pragnie. Zadzwoń do niej dwie godziny temu i uzgodnijmy, że porozmawiamy o nas.

- Lidia śpi teraz - odpowiedziała Mary. - Nie pozwolę, abys się z nią spotkał ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości.

Marshall wpadł w furję, obrzucił Mary obelgami, potem zaczął wykrzykiwać, że nigdy nie zrezygnuje z Lidii, a jeśli Mary będzie w dalszym ciągu rozsiewać plotki na jego temat, zamieni jej życie w piekło. Mary ogarnął szal.

Powtórzyła wszystkie oskarżenia pod jego adresem, które wygłosiła w mojej obecności. Powiedziała, że to on, chcąc przejąć majątek Lidii, uzależnił ją od narkotyków, dwukrotnie też stworzył sytuację zagrażającą jej życiu. Wreszcie nazwała go zwykłym mordercą, a wtedy on uderzył ją pięścią.

Przez cały ten czas Mary trzymała pistolet w kieszeni płaszcza, teraz instynktownie wyciągnęła go. Marshall chciał wyrwać jej broń z ręki, wtedy cofnęła się o krok i strzeliła na postrach, celując w bok. Marshall, zamiast dać za wygraną, pchnął ją na ścianę. Mary strzeliła ponownie, tym razem raniąc go w udo. Upadł na podłogę i rozpaczliwie zaczął czołgać się, byle dalej od niej, ale Mary, ogarnięta nienawiścią i strachem, podbiegła do niego i oddała jeszcze dwa strzały. Pierwszy z nich trafił go w pierś. Drugi przeszył ramię i głowę, zabijając na miejscu.

Mary uświadomiła sobie, co zrobiła, odrzuciła pistolet i wybiegła na zewnątrz. Odruchowo skierowała się w stronę domu, aby opowiedzieć o wszystkim Lidii, ale niemal natychmiast zdała sobie sprawę, że nie może tego zrobić.

Weszła do salonu i naląła sobie brandy. Siedziała tak ponad dwadzieścia minut, usiłując zebrać myśli. Wreszcie zatelefonowała na policję w Market Tye, informując, że strzelała do Robartsa i zabiła go. Potem zadzwoniła do mnie i poprosiła, abym przyjechał jak najprędzej.

Ponieważ wiedziała, że upłynie co najmniej kwadrans, zanim policja i ja dotrzemy do niej, weszła ponownie do pokoju Lidii. Dziewczyna była nadal pogrążona w głębokim śnie.

Przez chwilę Mary siedziała przy łóżku siostry, a kiedy usłyszała, że do domu wróciła pani Gideon, zeszła na dół, aby z nią porozmawiać. Wkrótce zjawiała się policja, prawie równocześnie z nimi przyjechałem i ja.

Od samego początku sprawa wydawała się prosta, można też było przewidzieć wynik śledztwa. W konsekwencji Mary została oskarżona o zamordowanie Marshalla Robartsa. W 1980 roku stanęła przed sądem, który uznał, że jest winna zarzucanego jej czynu, dopatrywał się jednak okoliczności łagodzących i skazał ją na osiem lat pozbawienia wolności.

Quinlan odchylił się do tyłu, przeniósł wzrok na Samantę.

- Jeśli ma pani jakieś pytania, pani Cole...

- Twierdzi pan - powiedziała Samanta powoli - że nie ma żadnych wątpliwości, czy tak? Żadnych wątpliwości, że to Mary Slevin zabiła Robartsa?

- Żadnych - odparł Quinlan. - Mary jest kobietą wyjątkowo prawdomówną i przyznała się do morderstwa. Co więcej, o takim a nie innym przebiegu wydarzeń świadczą okoliczności. Czy zna się pani choć trochę na broni palnej?

- Mam broń i wiem, jak należy się z nią obchodzić. Ale oczywiście nie jestem ekspertem.

- Ale zna pani zasadę działania pistoletu półautomatycznego. Nabojów nie ładuje się pojedynczo jak w wypadku rewolweru. Wprowadza się cały magazynek. Odciski palców Mary znaleziono na magazynku, spuście i rękojeści. Testy balistyczne wykazały, że pociski, które zabiły Robartsa, zostały wystrzelone właśnie z tego pistoletu. Policja przeprowadziła również na Mary test wykrywający ślady spalania prochu. Krótko mówiąc, oznacza to, że jej dłonie spryskano pewnym środkiem chemicznym, po czym skierowano na nie promienie ultrafioletowe. Test wykazał, że Mary rzeczywiście wypaliła z pistoletu.

- A co z Lidią? - zapytała Samanta. - Czy test przeprowadzono także na jej dłoniach? - Widząc pełne wyrzutu spojrzenie Cjuinlana, dodała: - Z tego, co pan opowiedział, wynika, że Lidia miałaby wyraźniejszy motyw zabójstwa niż Mary.

- Nie - odparł szorstko Quinlan. - Lidia Robarts nie była ani przez chwilę osobą podejrzaną. Z tego prostego powodu, że fizycznie nie była zdolna pójść do stodoły, a co dopiero wystrzelić z pistoletu i trafić. Pani Gideon zeznała na rozprawie,



że Lidia zażyła tego wieczoru o piątej czterdzieści pięć dwie tabletki nasenne, a kiedy o wpół do siódmej Giddy wychodziła z domu, dziewczyna już spała. Co więcej, gdy Giddy weszła na górę za dziesięć ósma, Lidia spała jak zabita. Potwierdził to doktor Bell, który zbadał ją o wpół do dziewiątej. Powiedział tak: „Pani Robarts spała kamiennym snem. Nie obudziła się, mimo iż zawołałem ją po imieniu, potem zacząłem nią potrząsać, a nawet uderzyłem lekko po twarzy”. Wracając do pani pytania: owszem, mimo wszystko również Lidię poddano testowi na ślady spalania prochu. Wynik był negatywny.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, jak Lidia zareagowała na wiadomość o śmierci męża?

Cjuinlan wykrzywił usta w ironicznym grymasie.

- Tak samo jak zawsze, gdy dowiadywała się o czymś przykrym. Szukała wówczas schronienia w stanach neurotycznych, zmuszając innych do opieki nad sobą. Kiedy Mary przebywała w areszcie, obowiązek ten spoczywał na Giddy, doktorze Bellu i na mnie.

Przez krótki czas Lidia pozostawała w Steeple Tye, potem zaś, zgodnie z zaleceniem Bella, Giddy przewiozła ją do Brighton do prywatnej kliniki. Tam poddano Lidię kuracji odwykowej. Giddy zamieszkała w pobliskim pensjonacie i odwiedzała Lidię tak często, jak pozwalali na to lekarze.

- A więc Mary pozostała w domu zupełnie sama - zauważyła Samanta.

- Wprost przeciwnie. - W głosie Quinlana zabrzmiał ton urazy. - Mary przebywała wśród przyjaciół. Zawsze była lubiana przez sąsiadów i wszyscy pośpieszyli jej z pomocą.

- Czy twierdziła, że działała w obronie własnej?

- Nie. Moim zdaniem taka linia składania zeznań nie miałyby szans powodzenia. Robarts został trafiony trzykrotnie. Dwa razy, gdy leżał już ranny na podłodze. Jako adwokat oskarżonej miałem przekonać sąd, że Mary zabiła w afekcie, powodowana nie tylko gniewem, ale również lękiem o siostrę, której życiu, jej zdaniem, groziło niebezpieczeństwo. Na szczęście zdołałem wówczas wykazać, że moja klientka miała podstawy

ku temu, aby w to wierzyć. Opowiadałem już o tym, że kiedy Mary zastała w swoim gabinecie Marshalla, jego ubranie było zakurzone i wymięte? Policja ustaliła, że taki sam kurz znajdował się na poddaszu w stodole oraz na kartonowym pudełku, które znaleziono w kieszeni płaszcza denata. Pudełko zawierało sto tabletek amfetaminy. Oględziny poddasza wykazały, że Marshall podszedł do starego, stojącego tam w kącie biurka. Odciski jego palców znaleziono na szufladzie, co pozwalało przypuszczać, że tam właśnie Marshall przechowywał narkotyki i co za tym idzie - że Mary słusznie podejrzewała szwagra o dostarczanie ich Lidii. Policja przeprowadziła energiczne dochodzenie i trafiła na ślad handlarza, który przyznał się, że przez dwa lata zaopatrywał Marshalla w amfetaminę. Marshall został uznany przez sąd winnym uzależnienia jego żony od narkotyków oraz stworzenia sytuacji, w której Lidia zostałaby wyrwana spod opieki siostry, co w sumie stanowiło zagrożenie dla jej życia. Okoliczni mieszkańcy zdążyli już sobie wyrobić pogląd na temat Robartsa. Był dla nich człowiekiem całkowicie amoralnym, wyrachowanym intrygantem i potencjalnym mordercą, a pod koniec procesu doszli do przekonania, że otrzymał to, na co zasłużył. Sąd oczywiście musiał ukarać Mary, jednak postępowanie Marshalla niewątpliwie wpłynęło na złagodzenie wyroku.

- Mimo to została skazana na osiem lat pozbawienia wolności.
- Spędziła w więzieniu sześć lat. Reszta kary została umorzona.
- A Lidia? Co się z nią stało? Cjuinlan wzruszył ramionami.
- Po zakończeniu procesu zamieszkała w pobliżu Windsoru wraz z panią Gideon. W 1981 roku wyszła ponownie za mąż za Szkota Aidana Dermotta i wyjechała z nim do Edynburga. Z tego małżeństwa urodziło się dwoje dzieci. Lidia umarła w 1985, jeszcze podczas odsiadki przez Mary kary więzienia.
- Na co umarła?
- Powikłania pogrypowe, a ściślej mówiąc zapalenie płuc.

- A co z panią Gideon?

- Pozostała w Marksholm, doglądała gospodarstwa. Dom jednak bardzo ucierpiał... przez jakiś czas dzierżawili go rozmaici lokatorzy, nie zawsze odpowiedni. Kiedy Mary wyszła na wolność, doprowadziła wszystko do porządku i postanowiła utworzyć Fundację Slevinów. Miała własne pieniądze oraz udział w zyskach z inwestycji Lidii i potrzebowała wypełnić swoje życie nową treścią. W oczach prawa była winna, popełniła morderstwo, w oczach tutejszych mieszkańców natomiast zasługiwała na niewinnienie. Cieszyła się ich uznaniem i sympatią. A teraz, pani Cole, czas podjąć decyzję. Czy chce pani dla niej pracować, czy też nie?

Sprawa miała wrażenie zadowolonego z siebie i Samanta poczuła przypływ irytacji.

- Szkoda, że nie poinformowano mnie o tym wszystkim, zanim tu przyjechałam - powiedziała ostrym tonem.

- Czy wtedy zdecydowałaby się pani na przyjazd?

- Nie wiem. Ale przynajmniej miałabym czas do namysłu.

- A nad czym tu rozmyślać? Nad tym, że Mary Slevin zastrzeliła jakiegoś mężczyznę? Robinson nie może znać wszystkich faktów, z którymi panią zaznajomiłem. Mary została skazana i odsiedziała swój wyrok. Teraz zasługuje na względy, jakimi sama obdarza innych. Jej działalność jest bardzo cenna, ale i ona potrzebuje pomocy. Z akt wynika, że studiowała pani nauki społeczne, interesuje się prawem i radzi sobie doskonale jako sekretarka. Krótko mówiąc, spełnia pani oczekiwania. Może zaciekawi panią to, że na ogłoszenie Mary nadeszło ponad sto ofert, a większość nadawców to ludzie o wysokich kwalifikacjach. Mary umieściła panią na czele listy kandydatów, uznała jednak, że w tej sytuacji powinna pani najpierw poznać jej przeszłość, by podjąć świadomą decyzję. Jeśli dojdzie pani do wniosku, że nie może zaakceptować jej przeszłości, natychmiast odwieziemy panią do Londynu. - Quinlan umilkł, a potem dodał ciszej: - Co by pani zrobiła na jej miejscu? Dała za wygraną? Stała się odludkiem przykutym na stałe do tragicznej przeszłości?

- Myślę, że postąpiłabym podobnie jak ona - przyznała niechętnie Samanta. - Ale to jeszcze nie oznacza, że chcę przyjąć tę posadę. Co do tego mam sprzeczne odczucia. Gdyby był tu James...

Cjuinlan milczał, Samanta zaś dodała po chwili:

- A co z moim mężem? Mam napisać mu, że przyjąłem pracę u kobiety, która popełniła morderstwo? Z pewnością byłby zachwycony, zwłaszcza teraz, gdy tkwi gdzieś na Antarktydzie! A może sądzi pan, że raczej powinnam go okłamać?

- To z pewnością nie miałoby sensu. Myślę, że mogłaby pani po prostu napisać mu, co myśli o tej sprawie... to znaczy, o ile rozważa pani możliwość przyjęcia posady.

- Sama już nie wiem - powtórzyła Sam. Przyglądała sobie włosy. - Czy można podjąć taką decyzję bez zastanowienia?

- Nie sądzę, aby Mary uważała tę decyzję za wiążącą, jeśli w którymś momencie zmieni pani zdanie.

- Ma pan na myśli okres próbny?

- Czemu nie? Powiedzmy... na miesiąc, żeby zorientować się, jak to funkcjonuje i jak ułożą się pani kontakty z Mary.

-Cjuinlan przejrzał szybko kilka kartotek leżących na biurku, wybrał jedną i podał ją Samancie. - Oto pełne sprawozdanie z rozprawy - powiedział. - Zaznania świadków, argumenty oskarżyciela i obrońcy, podsumowanie dokonane przez sędziego, prośba o złagodzenie wyroku. Mary upoważniła mnie do zapoznania pani z tymi aktami. Proszę je przeczytać.

- Chce pan, abym przyjęła posadę u panny Slevin, pracowała razem z nią, mieszkała w jej domu i jednocześnie ustanowiła siebie jej sędzią? W jaki sposób mogłybyśmy tolerować tego typu układ?

- Może pani uważa go za trudny - odparł sucho Cjuinlan -ale zapewniam, że Mary nie podziela pani zdania w tym względzie. To niezwykła kobieta. Przekona się pani o tym, kiedy przyjmie pracę.

Sam wpatrywała się w teczkę z aktami sprawy. Nie, to niemożliwe, nie chciała tu pozostać. Instynkt podpowiadał jej, że powinna zrezygnować, wrócić do Londynu, znaleźć sobie jakąś

spokojną, intratną pracę, którą James mógłby zaaprobować. Nie potrafiła jednak oprzeć się wrażeniu, które urągało zdrowemu rozsądkowi, że ma pewne zobowiązania wobec Mary Sle-vin. Powinna otrzymać szansę rehabilitacji, prawo do ułożenia sobie na nowo zrujnowanego życia. Podniosła teczkę z aktami.

- Zgadzam się na okres próbny, na jeden miesiąc - odparła w końcu.

Kiedy pół godziny później oznajmiła Torchowi, że postanowiła wrócić do Steeple Tye, uśmiechnął się. Nie wiedziała jednak, czy z uznaniem, czy też z ironią. Za to nieco później, gdy dojechali do Marksholm, dostrzegła w oczach Mary, która wyszła im na spotkanie, wyraz niekłamanej radości.

## *Rozdział 6*

We wtorek rano Sam pojechała z Torchem do Londynu po swoje rzeczy, a w środę wieczorem wprowadziła się do apartamentu w Marksholm. Tego samego dnia rozpoczęła pracę w Fundacji Slevinów, a Mary wyjaśniła jej:

- Jeśli zostaniesz, będziemy oczekiwać od ciebie, abyś przeprowadzała wywiady z ludźmi, którzy zwrócili się do Fundacji. Potrzebny też będzie kontakt z instytucjami i firmami gotowymi zatrudnić u siebie byłych więźniów. Na razie jednak musisz poznać przede wszystkim arkana tego zawodu i nauczyć się prowadzić biuro.

Zadanie nie sprawiało wrażenia zbyt trudnego. Wszystkie akta znajdowały się w idealnym porządku. Na wyposażenie biura składały się: elektroniczna maszyna do pisania, duży komputer, telefaks i fotokopiarka, wszystko wysokiej jakości. Maszynistka przychodziła trzy razy w tygodniu, a księgowy raz na tydzień. Głównymi operacjami finansowymi zajmował się w Londynie pan Robinson.

Zwyczaje domowe przypadły Samancie do gustu: śniadanie, a nawet kolację przyrządzała sobie w swoim apartamencie, lunch natomiast podawała wszystkim domownikom kucharka Trudy. W letnie gorące dni posiłek serwowano w patio. Mary poprosiła Samantę, żeby siadała razem z nią do stołu, kiedy tylko będzie miała na to ochotę.

- Moi pracownicy wolą zajmować się wieczorem własnymi sprawami - powiedziała. - Ty też możesz tak robić. Ale gdybyś zatęskniła za towarzystwem, nie siedź tam na górze sama.

W tydzień po przyjeździe Samanty do Marksholm wróciła z urlopu pani Gideon. Była to niska, korpulentna kobieta o okrągłej, pozbawionej wyrazu twarzy i małych, czarnych oczach. Siwiejące, zaczesane do góry włosy upinała w kok. Wyglądała na osobę kompetentną, twardą i rzeczową.

Od Mary Sam wiedziała, że pani Gideon ma siedemdziesiąt jeden lat i służy u Slevinów od piętnastego roku życia; początkowo jako gosposia, potem niańka, wreszcie jako zarządzająca domem. Całkowicie oddana Mary, przyjęła wobec Samanty postawę wyczekującą i ostrożną.

Quinlan nie przesadził, określając Mary jako kobietę niezwykłą. Natura obdarzyła ją rzadką cechą - niemal fizycznym magnetyzmem. Gdziekolwiek się zjawiała, uwaga wszystkich koncentrowała się na niej. Jej sposób poruszania się i głos, a nawet sposób, w jaki milczała, zniewalały otoczenie.

Prowadziła bardzo prosty, skromny tryb życia. Jadła i piła z umiarem, wcześniej wstawała, bardzo dużo czytała.

Ubrania kupowała sobie rzadko i raczej przypadkowo. Nie przywiązywała większej wagi do swego wyglądu. Jednak czerwony żakiet z brokatu, który zakładała na specjalne okazje, jak również upodobanie do włoskich butów świadczyły o jej wyrafinowanym guście.

Była bystra, a przy tym wykształcona, wymagająca i zarazem wielkoduszna. Lubiała inteligentną rozmowę, nie cierpiała za to jałowych dyskusji. O latach spędzonych w więzieniu mówiła otwarcie i bez rozgoryczenia. Ceniła doświadczenie tam zdobyte, które umożliwiło jej obecną działalność.

- Nie zapominaj - powiedziała kiedyś Samancie - że przestępcy uciekają się do najosobliwszych kroków, zmagając się z życiem. Społeczeństwo reaguje na to z kolei w ten sposób, że separuje ich, osadzając w osobliwych i nienormalnych miejscach. Nie można przeprowadzić resocjalizacji ludzi siedzących w więzieniu. Dopiero kiedy już wyjdą na wolność, możemy podjąć starania, by skierować ich na drogę wiodącą do życia bezpieczniejszego i lepszego. - Z figlarnym uśmiechem dodała: - Niektórzy akceptują tę drogę.

Była osobą głęboko wierzącą. Pewnego razu, kiedy Sam zaniósła do miejscowego kościoła kosz kwiatów, zastała tam Mary. Modliła się z uniesioną głową i zamkniętymi oczami klęcząc samotnie przy prezbiterium. Widząc krople potu spływające jej po skroniach, Sam pomyślała mimo woli o Getsemani i duchowych cierpieniach Chrystusa. Wstrząśnięta, dyskretnie odwróciła głowę i wówczas zobaczyła pana Stromnusa, pastora, który właśnie zmierzał w jej kierunku.

Zerknął na nieruchomą sylwetkę Mary i powiedział z troską:

- Próbowałem ją ostrzec, że życie dla innych i poprzez innych wiedzie często na drogę męczeństwa.

Mary z pewnością nie była wyrzutkiem. Okoliczni mieszkańcy odnosili się do niej z głęboką sympatią i szacunkiem.

Mimo iż rzadko opuszczała Steeple Tye, otrzymywała dużo listów, odwiedzało ją też wielu przyjaciół.

Najważniejszym z nich był Patrick Quinlan. Bywał tu na kolacjach przynajmniej dwa razy w tygodniu. Mary nalegała wtedy, żeby Samanta towarzyszyła im przy stole. Sam zazwyczaj odmawiała, wiedząc, że Quinlan wolałby pozostać z Mary sam na sam. Niewątpliwie kochał się w niej. Kiedy patrzył na Mary, jego oczy wyrażały czułość i rozrzewnienie.

Mary natomiast traktowała go jak przyjaciela. Czasem sprawiała nawet wrażenie, jakby jego obecność irytowała ją. Zapewne dzieliły ich wydarzenia z przeszłości, Sam czuła to wyraźnie. Czy jakakolwiek kobieta pragnęłaby bliższego związku z mężczyzną, który pełnił rolę jej obrońcy w sprawie o morderstwo?

Nie można było wymazać z pamięci tej tragedii ani ignorować faktu, że w Marksholm zamordowano człowieka.

Trzeba było pogodzić się z myślą, że kobieta, która popełniła morderstwo, to ta sama osoba, która kierowała organizacją charytatywną, hodowała najpiękniejsze róże w okolicy i ujmowała wszystkich wdziękiem i inteligencją. Marksholm nie było miejscem wyklętym, nie było jednak wolne od przykrych wspomnień. Ci, którzy tu żyli, zbudowali



własny mur obronny, aby się odgradzić od wspomnień, ale kosztowało to ich wiele trudu i wymagało długiego czasu. Samanta nie była pewna, czy wystarczy jej woli i czasu, żeby przystosować się do życia tutaj.

Przeczytała już dossier z procesu, które pożyczył jej Quin-lan, i doszła do wniosku, że adwokat uczciwie zrelacjonował sprawę. Zeznania świadków potwierdzały przebieg wydarzeń przedstawiony przez Mary, a jednocześnie wyłaniał się z nich obraz Marshalla Robartsa jako człowieka z gruntu złego: wyrachowanego, skąpego, niewiernego i bezwzględnego wobec innych. Nie zasługiwał na współczucie, którego nie okazał nawet swojej żonie. Po przeczytaniu dossier schowała je w najniższej szufladzie biurka. Chciała przejrzeć ponownie niektóre fragmenty, zwłaszcza te, które zawierały argumenty obrony, oskarżyciela oraz werdykt sędziego.

Wysłała do Jamesa list, w którym poinformowała go o całej sprawie, a w kilka tygodni później otrzymała odpowiedź. „Nie będę udawał - pisał James - że takiego właśnie zajęcia pragnąłem dla ciebie, ale to ty musisz podjąć decyzję. Obiecuj mi tylko, że jeśli poczujesz się nieszczęśliwa, wyjedziesz stamtąd natychmiast”.

Problem polegał na tym, że nadal nie była pewna, jak powinna postąpić. Pracę miała interesującą i zdążyła już polubić Mary. Zaczynała także uwielbiać Steeple Tye z jego rozległymi widokami i bezkresnym niebem. Mimo to nie wiedziała jeszcze, czy chce zostać tutaj na dłużej.

W podjęciu decyzji pomogła jej rozmowa z doktorem Trevorem Soamesem, którego spotkała na koncercie w Market Tye.

## *Rozdział 7*

*Jak słyszałem, wstąpiła pani do kobiecej wspólnoty świętej Mary?*

Głos był szorstki i zarazem gderliwy. Sam, zapatrzona w plakat zachęcający do wysłuchania koncertu muzyki Deliusa, uniosła głowę i ujrzała niskiego, krępego mężczyznę o pomarszczonej twarzy wiecznego zrędy, siwych przerzedzonych włosach i źle dopasowanej protezie zębowej.

- Pani Cole, czyż nie? Ostatni nabytek Mary Slevin?

- Jestem Samanta Cole - przedstawiła się Sam. - Niestety nie wiem, z kim mam przyjemność.

- Nic dziwnego. Ona by tego pani z pewnością nie powiedziała. - Ujął ją pod ramię i wprowadził do foyer. -

Nazywam się Soames, doktor Trevor Soames. Przyniosę pani filiżankę kawy. Wszystko inne to trucizna, ale kawa jest znośna.

Zanim zdążyła odmówić, wmieszał się w tłum oblegający bar. Sam podeszła do jednego z wysokich okien, z którego roztaczał się widok na plac, a po paru chwilach dołączył do niej doktor Soames. Podał jej filiżankę i błysnął w uśmiechu żółtawymi zębami.

- Proszę mi wybaczyć to natręctwo, pani Cole, ale działałem w obronie własnej.

- W obronie? A przed czym, doktorze Soames?

- Przed potwarzą - odparł, obserwując ją bacznie znad krawędzi filiżanki. - Przed ludźmi, którzy usiłują mnie zniesławić.

- O ile wiem, nikt jeszcze tego nie zrobił.

- Niebawem przyjdzie na to czas. Panuje przekonanie, że

wykonywałem swoje obowiązki w sposób niedbały i niekompetentny, a mianowicie nie przylepiłem Lidii Robarts etykiety „uzależniona od narkotyków”. A przecież wcale nie była narkomanką. W dzisiejszych czasach panuje moda na potępienie wszystkich za zażywanie narkotyków. To typowy przykład stawiania sprawy na głowie.

- Jak podają akta sądowe, Lidia Robarts zażywała regularnie amfetaminę i barbiturany.

- Aha, czytała pani o tym? W takim razie wie pani na pewno i o tym, że przepisałem jej jedną serię amfetaminy, tylko jedną, aby wyciągnąć ją z depresji, w którą Lidia wpadła po przebyciu infekcji grypowej. Z całą pewnością nie zalecałem jej powtórzenia kuracji.

- A co z barbituranami?

Po twarzy doktora Soamesa przemknął cień irytacji i zniecierpliwienia.

- Lidia Slevin od dzieciństwa cierpiała na bezsenność. Kiedy była mała, sypiała zaledwie po trzy, cztery godziny na dobę. I tak już pozostało. Gdyby wychowano ją w przeświadczeniu, że to normalne, wszystko byłoby w porządku, jej jednak zawsze wbijano do głowy, że osiem godzin snu dziennie to obowiązek. W dzieciństwie były kołysanki i szklanka gorącego mleka, kiedy dorosła, zaczęła przyjmować tabletki nasenne. Gdybym jej ich nie przepisał, Mary zaprowadziłaby swoją ukochaną siostrzyczkę do innego lekarza. Prawda jest taka, że to Mary zniszczyła psychikę Lidii. Rozpięła nad nią parasol ochronny, w konsekwencji czego Lidia stała się osobą niezdolną do samodzielności. Uważam, że Mary Slevin ponosi winę za ten stan rzeczy, jak również za to, co wydarzyło się potem.

- Nie chciałabym omawiać teraz z panem charakteru panny Slevin.

- No, no! A więc sprawiedliwość przestała się już liczyć? Otrzymała pani atrakcyjne wynagrodzenie i od razu jest skłonna usprawiedliwić każdy postępek Slevinów? Proszę mi wierzyć - znam tę rodzinę lepiej niż ktokolwiek inny! Przez kilka lat, zanim jeszcze otworzyłem własną praktykę, byłem współ-

nikiem ojca panny Mary. Obie dziewczynki dorastały na moich oczach. Byłem ich lekarzem, opiekowałem się Lidia, kiedy już była żoną Robartsa, i mogę stwierdzić, że był to rozpuszczony bachor. - Uprzedzając protest Samanty, uniósł dłoń gestem ubolewania. - Rozumiem doskonale, że nie podoba się pani ta rozmowa, ale proszę przyjąć do wiadomości, droga pani Cole, że przez całe swoje życie Lidia ulegała nastrojom i kaprysom, które nie przystoją nawet dwuletniemu dziecku. Do lekarstw podchodziła z całkowitym brakiem odpowiedzialności. W 1977 roku omal nie przypłaciła tej lekkomyślności życiem, kiedy beztronsko zażyła zbyt dużą dawkę pigułek nasennych.

- To był przypadek - odparowała Sam. Wiedziała, że powinna zakończyć tę nieprzyjemną rozmowę, ale raptem poczuła pragnienie, aby zbić tego niezdolnego człowieka z tropu.

Soames wzruszył ramionami.

- W sytuacji wątpliwej uznano, że lepiej przechylić szalę na jej korzyść. Ludzie cierpiący na bezsenność przedawkowują czasem środki nasenne. Takie przypadki mają czasami tragiczne konsekwencje. Kiedy Lidia przebywała w szpitalu, skorzystałem z okazji i przeprowadziłem z Mary poważną rozmowę. Powiedziałem jej, że to brak samodzielności uczynił z Lidii istotę neurotyczną.

- Mary chciała, aby Lidia zasięgnęła porady psychiatry. Jak pan na to zareagował?

- Powiedziałem, że to bzdura. Że Lidia powinna stanąć na własnych nogach. Ostatecznie miała męża...

- ...który faszerował ją narkotykami! Na twarz Soamesa wystąpiły rumieńce.

- Wtedy nikt jeszcze o tym nie wiedział. Nawet Mary niczego nie podejrzewała.

- Ale zaczęła podejrzewać, kiedy Lidia po raz drugi straciła przytomność, nieprawdaż? Nalegała na przeprowadzenie testów i udowodniła, że Lidia zażywa środki pobudzające oraz uspokajające.

- To prawda, w 1979 mieliśmy już do czynienia z uzależnieniem od narkotyków...

- Ale pan nie zauważył tego przez dwa lata. W tym czasie wzywano pana do Lidii pięć razy. Zeznał to pan na sali sądowej.
- Dobry Boże, widzę, że odrobiła pani swoją pracę domową na piątkę! Rzeczywiście, przychodziłem nieraz do pani Robarts. Dokuczały jej alergie, miała również skłonność do ataków hysterii. Medycyna nazywa to dolegliwościami psychosomatycznymi.
- I dlatego przepisywał jej pan następne tabletki?
- Środki uspokajające. Antyhistaminę. Lek całkiem nieszkodliwy.
- A kiedy widział pan Lidię rozgorączkowaną, podekscytowaną, rozdrażnioną, oblaną potem... Czy wówczas nie przychodziło panu do głowy, że to nienaturalne? Że ona znajduje się pod działaniem narkotyków? Soames postąpił krok w jej stronę, zaczepnym gestem wysunął podbródek.
- Nie, madame, nie przyszło mi to do głowy! Znałem dobrze swoją pacjentkę. Lidia Slevin mogła wprowadzać w błąd innych, ale nie mnie. Oczywiście Mary musiała znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego, obarczyła więc winą mnie i Marshalla Robart-sa...
- Chce pan powiedzieć, że Lidia nie była narkomanką? Że Robarts nie karmił jej narkotykami?
- Nie, tak rzeczywiście było, ale zaczął to robić dopiero potem, ulegając błaganiom Lidii. Bardzo łatwo oczernić człowieka, który nie żyje, pani Cole. Marshall Robarts nie może już się bronić, ja jednak mogę zaświadczyć, że był mężczyzną bystrym, przedsiębiorczym i wysportowanym. Zaszedłby na sam szczyt, gdyby Mary Slevin nie powstrzymała go dwoma pociskami wystrzelonymi z bliska. To właśnie Mary była przyczyną wszelkiego zła. To sfrustrowana stara panna, która powinna była wyjść za mąż i mieć własne dzieci, zamiast robić małe dziecko ze swojej siostry! Mogła poślubić Quinlana albo na przykład Robartsa, ale uznała, że jest dla nich za dobra. Lepiej pogodzić się z faktem, że tak wygląda prawda o Mary Sle-

vin, moja droga. Ta kobieta jest niczym pajak, tkający olbrzymią pajęczynę. Niech pani uważa, aby w nią nie wpaść! Mówiąc, ciągnął Samantę za rękaw, w kącikach ust zbierała mu się ślina. Sam poczuła obrzydzenie i usiłowała odsunąć się, ale on przytrzymał ją. Oczy iskrzyły mu się złowieszczo.

- Rosa Pierce mogła powiedzieć im, jak było - wyszeptał gorączkowo. - Siedziała obok Marshalla, kiedy po raz ostatni zadzwonił do żony, ale potem była za bardzo wystraszona, aby mówić. Oni to wykorzystali.

- Proszę mnie natychmiast puścić!

Soames uwolnił jej rękę, ale nachylił się ku niej i pogroził palcem.

- Niech pani potem nie mówi, że jej nie ostrzegałem! Oddalił się wolnym krokiem. Foyer już opustoszało, z sali dochodziły głośne dźwięki koncertu skrzypcowego Brucha, jednak Sam postanowiła wrócić do domu. Rozmowa z Soame-sem sprawiła, że opuścił ją nastrój do słuchania muzyki. Czowała się niedobrze. Wyszła na ulicę, stanęła na placu i przez długą chwilę delectowała się świeżym, chłodnym powietrzem, popatrując zarazem na strzępy chmur, w których ginęły kontury kominów.

Kiedy już trochę ochłonęła, wróciła do Steeple Tye. A nazajutrz wieczorem odbyła rozmowę z panią Gideon.

## *Rozdział 8*

- Ach, ten Soames! - zawołała z oburzeniem pani Gideon. -Ma w sobie tyle jadu co grzechotnik! Proszę nie zważać na to, co on mówi! Dobrze pamiętam, co mawiał doktor Slevin: „Trevor Soames nie potrafi postawić diagnozy.” Chciał przez to powiedzieć, że ten człowiek nie zna się na swoim zawodzie. Co gorsza, Soames jest zbyt głupi, aby nauczyć się czegoś od ludzi mądrzejszych od siebie. Jak już coś sobie wbije do głowy, trzyma się tego kurczowo rękami i nogami.

Siedziały obie w saloniku Giddy, który stanowił świadectwo całego jej życia. Stały w nim niezbyt fortunnie dobrane meble i rozmaite staroświeckie rupiecie. Gobeliny na ścianach sąsiadowały z dziecięcymi rysunkami wykonanymi węglem. W kącie pokoju zieleniła się paproć, tuż obok stało akwarium z rybkami, a dwa małe stoliki były zastawione zdjęciami w ozdobnych ramkach. Nad kominkiem zaszczytne miejsce obok miniaturowego modelu Taj Mahalu zajmował francuski zegar w kształcie karety.

- Widać, że mieszka tu pani od dawna - zauważyła Sam, a pani Gideon kiwnęła głową i dodała:

- Od piętnastego roku życia. Myślę, że wyniosą mnie stąd dopiero w trumnie.

- Nigdy nie myślała pani o zamążpójściu? Giddy uśmiechnęła się.

- Byłam mężatką. Ślub odbył się podczas wojny. Wyszłam za mego George'a, który w dwa tygodnie później wypłynął znowu na morze. Kupno własnego domu nie miało w tej sytuacji sen-

su, chociaż mogliśmy sobie na to pozwolić. Niedługo potem George i cała załoga „Hooda” poszli na dno. A ja zostałam tutaj, u Slevinów.

- Chętnie dowiedziałabym się czegoś nowego na ich temat. Pani Gideon zbierała przez chwilę myśli.

- To ich miejsce - odparła wreszcie. - Steeple Tye i Market. Oni pobudowali to wszystko. Może pani sprawdzić w księgach kościelnych albo w ratuszu. Wszędzie widnieje ich nazwisko. Ostatnim z nich był John Slevin, mój doktor Slevin. Braci było czterech, ale trzech z nich zginęło na wojnie.

- A matka Mary Slevin? Czy pochodziła stąd?

- Nie, doktor John przywiózł ją tu z miasta. Była prawdziwą pięknoscią, jej zdjęcia ukazywały się na okładkach wielu magazynów. Ale kiedy wyszła za męża, porzuciła wielki świat, zamieszkała w Steeple Tye, rzadko wyjeżdżała nawet do Londynu. Doktor John nie był typem kobieciarza, należał do ludzi statecznych. Żyłby dłużej, gdyby czasem brał sobie urlop i wypoczywał. Ale to nie było w jego stylu. Pracował jak opętany i nabawił się wrzodu żołądka. I niech pani nie myśli, że harował tak, bo potrzebował pieniędzy, Slevinowie mieli ich mnóstwo, a do tego doszedł jeszcze majątek, który wniosła w posagu matka Mary. Po prostu doktor John był pracoholikiem, jak to mówią. Kiedy wybuchła epidemia grypy, całe noce spędzał przy pacjentach. Ten Soames też zachorował i doktor Slevin musiał przejąć także jego pacjentów. I to go zabiło. Nastąpiła perforacja wrzodu żołądka. John zmarł w szpitalu.

- A jednak Soames pozostał lekarzem rodzinnym. Jak do tego doszło?

Pani Gideon westchnęła ciężko.

- Takie było życzenie pani Slevin. Upłynęło zaledwie sześć tygodni od śmierci doktora Johna, kiedy zachorowała. Chciała, aby zajmował się nią Soames. Z tym że dla stanu jej zdrowia nie miało to już znaczenia. Nowotwór przerzucił się na węzły chłonne i odeszła bardzo szybko. Pod koniec roku przeniosłyśmy się do Cambridge. Kiedy wróciłyśmy tutaj, a Lidia poślubiła Marshalla Robartsa, postanowiono zachować Soamesa ja-



ko lekarza domowego. Mary chciała zaangażować doktora Bella, ale sprzeciwił się temu Marshall. Wydaje mi się, że to mu odpowiadało. Chciał, aby Lidia opiekował się dureń.

- A Lidia nie mogła podjąć w tej sprawie decyzji? Pani Gideon pokręciła powoli głową.

- Ona nigdy nie miała swojego zdania. Była najpiękniejszym dzieckiem pod słońcem, ale nie potrafiła zająć zdecydowanego stanowiska. Miała zmienne nastroje - nieoczekiwanie jej śmiech zamieniał się w płacz.

- Na półpiętrze widziałam jej portret... Czy tak właśnie wyglądała?

- I tak, i nie. Nie lubię takich portretów. Nie oddają prawdy o człowieku.

- O ile wiem, miała brata, który zmarł w dzieciństwie?

- Tak, miał trzy latka, biedne maleństwo! Mary przeżyła to bardzo ciężko. Jej rodzice powiedzieli sobie, że taka była wola Boga, po czym zaczęli szukać pociechy w praktykach religijnych, ale Mary miała wówczas zaledwie pięć lat i śmierć braciszka była dla niej czymś niezrozumiałym. Powiedziałam jej, że Bóg zabrał Michaela do siebie, a ona odparła: „To niech mi go odda, bo to mój braciszek, nie Jego.” Rozpaczała tak głęboko, że krwawiło mi serce. Dopiero gdy sama znalazła się w trudnej sytuacji, zwróciła się znowu ku Bogu.

- Pani Gideon, czy Lidia cierpiała na chroniczną depresję psychiczną?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że Lidia potrzebowała pomocy innych. Szukała jej u Mary i Marshalla. Kochała ich oboje, a gdy jej siostra i mąż zaczęli walczyć ze sobą, straciła orientację. Nie wiedziała, czyją stronę ma teraz trzymać. Dlatego sięgnęła po te diabelskie narkotyki, pani Cole. Po prostu nie wiedziała, co ma robić.

- Mówi pani, że ona kochała Robartsa?

- Tak, na swój sposób kochała go.

- Jakiż to sposób? Jak małe dziecko?

Pani Gideon uniosła głowę wyżej, spojrzała spokojnie na Sam.

- Niech i tak będzie. Marshall postanowił ją zdobyć, a potrafił być czarujący. Był nieuczciwy, jak wszyscy z jego rodziny. Mieli farmę w naszym sąsiedztwie, w stronę Mildenhall. Jeśli komuś zginęła owca albo zwój drutu kolczastego, wszyscy wiedzieli, czyja to sprawa. Żadnemu z Robartsów nie można było ufać. Mimo to Marshall potrafił owinać sobie wokół palca każdą kobietę, na którą zwrócił uwagę.

- Każdą oprócz Mary?

Pytanie najwidoczniej nie spodobało się pani Gideon. Jej twarz pokrył rumieniec, a usta utworzyły cienką linię.

- Mary przejrzała go - odparła.

- Czy ma pani jego zdjęcie?

Pani Gideon wstała, podeszła do biurka, wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej kilka albumów. Wybrała jeden z nich, wróciła z nim do sofy i usiadła obok Samanty, po czym przerzuciła parę kartek.

- To on. Pan Marshall Robarts.

Fotografia, powiększenie jednego z migawkowych zdjęć, zajmowała całą stronę i prezentowała młodego mężczyznę stojącego na jachcie przy sterze. Był w szortach i czapce z daszkiem zsuniętej na tył głowy, miał sylwetkę wyćwiczonego pływaka: bardzo szerokie ramiona i wąskie biodra. Głęboko osadzone oczy o barwie jasnego bursztynu skierował wprost w obiektyw aparatu. Pozę, jaką przyjął, można było określić jako agresywną: jedną rękę miał wysuniętą do przodu, a podbródek uniesiony do góry wyzywająco lub szyderczo.

- Często żeglowali razem - szepnęła Giddy.

- Marshall i Lidia?

- Nie, nie! Marshall i Mary. To było w czasie, gdy studiowała na uniwersytecie.

Samanta obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. Quinlan nie wspomniał nic o przyjaźni łączącej tych dwoje. Ale pani Gideon nie zauważyła jej zaskoczenia.

- Miał jacht. Ludzie powiadali, że dostał go od jakiejś kobiety, ale ja nic nie wiem na ten temat. Może jednak go kupił. Był dobrym żeglarzem, zdobył moc pucharów, ale za mało jak

na jego gust. Na tym właśnie polegał kłopot z Marshalllem: nigdy nie miał niczego dość, zawsze chciał więcej. Umilkła, kręcąc głową.

- Czy starał się zabić Lidię? - zapytała cicho Samanta.

- Doskonale wiedział, co robi - odparła Giddy. - Był człowiekiem bystrym i wykształconym. Kupował te pastylki i podawał je Lidii, chociaż wiedział, że to trucizna. Kiedy zachorowała, nie wezwał do niej dobrego lekarza, tylko tego Soamesa. Założę się, że zamierzał prowadzić tę grę tak długo, aż ją wykończy. Pragnął jej śmierci. Moim zdaniem usiłował ją zabić.

Samanta poczęła przerzucać kolejne kartki albumu. Wszystkie fotografie ukazywały Mary albo Lidię, na wielu z nich były obie razem.

Oto Lidia na polu pokrytym śniegiem, szczelnie opatulona, w czapce i rękawiczkach.

- Zawsze narzekała, że jej zimno - powiedziała Giddy. Mary spina kasztanka do skoku przez przeszkodę; Mary i Lidia odziane w bikini wylegują się w słońcu; Mary w dniu ukończenia szkoły, ubrana uroczyście, pozuje do pamiątkowego zdjęcia; Mary i Lidia wraz z Marshalllem Robartsem. Giddy parsknęła wzgardliwie.

- To było tego dnia, kiedy poprosił Mary o rękę. Marshall stał pomiędzy siostrami, obejmując je obie. Mary uśmiechała się, lekko nachylona do przodu, jakby kokietowała fotografa. Wyglądała na szczęśliwą i zadowoloną. Lidia opierała się o Marshalla, miała spuszczone głowę, on natomiast spoglądał na Mary i ścisnął mocno jej ramię, jakby obawiał się, że dziewczyna może mu uciec.

- Kto robił to zdjęcie? - zapytała Sam.

- Pan Quinlan. On i Mary zaprzyjaźnili się jeszcze w Cambridge. - Giddy przerzuciła parę kartek. - To oni w College Bali.

Mary była ubrana w białą, jedwabną suknię, która uwydatniała doskonałą figurę. Z uśmiechem na twarzy podawała Quinlanowi kieliszek wina. Oboje sprawiali wrażenie, jakby było im ze sobą bardzo dobrze.

- Dlaczego się nie pobrali? - zapytała Sam.
  - Bo Lidia nie mogła znaleźć wspólnego języka z Patem -odparła Giddy. - Walczyli ze sobą jak pies z kotem. Lidia, zawsze tylko Lidia.
  - A kiedy Mary znalazła się w więzieniu... Co robiła wówczas Lidia? - dociekała Samanta.
  - Bez przerwy chorowała - mruknęła pani Gideon. - Pojechałyśmy najpierw do Brighton, a kiedy poczuła się lepiej, przeniosłyśmy się do Datchet. To bardzo ładne miejsce. Tam właśnie Lidia poznała Aidana Dermotta, a w trzy miesiące później odbył się ich ślub.
  - Czy to małżeństwo było bardziej udane niż pierwsze? Pani Gideon nie odpowiedziała od razu.
  - Był dla niej dobry - mruknęła po chwili. - Mieli dwójkę wspaniałych dzieci. Ale ona nigdy nie pogodziła się z utratą Marshalla... ze sposobem, w jaki zginął... ani z faktem, że Mary siedzi w więzieniu. Ciężko to przeżyła. A kiedy przeniosła się do Edynburga, nie widywałam jej często.
  - Utrzymywała jakiś kontakt z Mary?
  - Początkowo tak, przynajmniej próbowała. Odwiedzała ją w dni wizyt, pisała listy. Ale Mary położyła temu kres, powiedziała, że to jest zbyt bolesne dla nich obu i że Lidia musi rozpocząć nowe życie. Lidia była wówczas brzemienna, musiała mieć spokój.
- Zapadło milczenie. Zdawało się, że pani Gideon zapomniała o obecności Samanty.
- Co Marshall powiedział Lidii - przerwała ciszę Sam - kiedy zadzwonił do niej owego wieczoru, gdy został zastrzelony?
- Pani Gideon obróciła się do niej gwałtownym ruchem.
- Nie wiem.
  - Ale przecież słyszała pani ich rozmowę?
  - Wiem tylko tyle, że chciał do niej wrócić. Ona odmówiła, między nimi wszystko było skończone.
- Sam zamknęła album.
- Czy dzieci Lidii przyjeżdżały tu kiedykolwiek z wizytą?
  - Nie, pan Dermott nie życzył sobie tego.

- To okrutne! Giddy skinęła głową.

- Pan Dermott postępuje tak, jak uważa za stosowne, ale dla Mary to okropne, że nie może nawet popatrzeć na dzieci swojej siostry. Mają porządny dom, z gosposią i nianią, ale to i tak nie to samo, co własna rodzina.

Pani Gideon wstała, jakby dając znak, że pora zakończyć tę rozmowę, ale Sam położyła rękę na jej ramieniu.

- Giddy, doktor Soames wspomniał, że kiedy Marshall Ro-barts zadzwonił do Lidii, była przy nim Rosa Pierce... że ona może wiedzieć, dlaczego Marshall przyjechał wtedy do Marksholm.

Pani Gideon strząsnęła z siebie dłoń Samanty.

- Rosa Pierce to dziwka, chciała Marshalla dla siebie! Gdyby zdołała odciągnąć go od jego prawnie zaślubionej małżonki, miałyby bogatego męża. Trudno dać wiarę temu, co ona plecie, a Soames nie miał prawa rozmawiać z panią o tej osobie. Chodzi mu tylko o zasianie niezgody, a pani powinna o tym stale pamiętać, o ile pragnie pozostać tutaj.

Ostrzeżenie zawarte w jej słowach było aż nadto wyraźne. Mieć zaufanie do Soamesa oznaczało tyle, co nie wierzyć Mary. Dla człowieka, który zdecydowałby się na taką postawę, nie było miejsca w Marksholm.

Po wyjściu od Giddy Samanta wspięła się po schodach na półpiętro, gdzie wisiał portret Lidii. Było w nim coś z Botticel-lego i Annigoniego. Uśmiechnięte dziewczę o blond włosach z naręczem kwiatów na kolanach, a w tle kwitnąca grusza. Oczy dziewczyny zwrócone w stronę widza, ale wpatrzone w jakiś odległy, nieokreślony punkt. Sam rozważała zarówno słowa Soamesa, jak i opowieść Giddy. Jednak najlepiej wryły się w jej pamięci fotografie z albumu.

Dzięki nim mogła ujrzeć inną Mary Slevin: młodą, pełną życia i szczęśliwą, jakże inną niż ta, którą poznała. Różnica rzucała się w oczy.

Przy najbliższej okazji, gdy Pat Quinlan przyszedł z wizytą na obiad, poinformowała go, że zdecydowała się przyjąć posadę.

Uśmiechnął się.

- Żadnych skrupułów?

- Żadnych. Przynajmniej takich, z którymi bym sobie nie umiała poradzić.

- To dobrze. Cieszę się.

Następnego dnia zawiadomiła o swojej decyzji Mary, która wyraziła zadowolenie z tego powodu. Nieco później Torch z własnej inicjatywy przyniósł jej z ogrodu bukiet róż, Trudy natomiast przyrządziła na obiad pieczeń z jagnięcia oraz szarlotkę.

Pani Gideon, jak zawsze wstrzemięzliwa w okazywaniu uczuć, ograniczyła się do kiwnięcia głową.

\* \* \*

Lato przeszło w szarą jesień, z pól zebrano plony, niebo wypełnił gwar ptaków ciągnących na południe.

Praca w Fundacji Slevinów była interesująca, dzięki czemu Sam nie odczuwała tak dotkliwie rozłąki z Jamesem.

Pokoje, w których zamieszkała, okazały się przytulne i wygodne, a ludzie, z którymi stykała się w Steeple Tye, nie różnili się wcale od tych, z którymi miała do czynienia dawniej, w rodzinnych stronach.

Tak więc Samanta nie żałowała swojej decyzji, rozkoszowała się spokojem, ale nastrój ten prysnął jak bańka mydlana, kiedy w ich życie wtargnęła Erica Myles.

## *Rozdział 9*

Była połowa grudnia. Owego piątkowego wieczoru, po tygodniu pięknej pogody, rozpętała się nawałnica. Quinlan, Mary i Sam siedzieli w salonie przy kawie, kiedy usłyszeli gwałtowne stukanie do drzwi frontowych oraz głos kobiety, wołającej coś niewyraźnie.

Czym prędzej przeszli do holu i Quinlan otworzył drzwi. Na progu leżała dziewczyna, skulona, jakby z bólu. Quinlan wziął ją na ręce i wniósł do domu.

Nieznajoma była przemoczona do suchej nitki. Wełniana czapka ociekała wodą, włosy zwisały jak strąki, długi płaszcz oklejał nogi. Dłonią odzianą w rękawiczkę raz po raz sięgała do policzka. Kiedy znaleźli się w oświetlonym pomieszczeniu, zobaczyli, że dziewczyna krwawi z nosa, a prawą stronę twarzy ma posiniaczoną i opuchniętą.

Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale tak mocno szczękała zębami, że nie zdołała wykrztusić nawet jednego słowa. Quinlan posadził ją na krześle.

- Proszę się nie śpieszyć - powiedział. - Tylko spokojnie. Sine wargi lekko drgnęły.

- Martin... Mój mąż...

- Gdzie on jest? Gdzie Martin?

- Samochód... - Zatrzepotała rękami. - W rzece. Samochód...

- Gdzie to się stało? - Quinlan mówił powoli i wyraźnie. - Gdzie ten samochód?

Dziewczyna zamknęła oczy. Quinlan pochwycił jej rękę w przegubie.

- Jak się pani nazywa?

- Eri... Erica.

- Gdzie jest samochód, Eriko? Wymamrotała coś i zachwiała się na krześle.

- Wyprowadzę jaguara - zawołała Mary i wybiegła z pokoju. Sam uklękła obok dziewczyny, zdjęła jej z rąk rękawiczki

i roztarta lodowate dłonie.

- Czy to stało się gdzieś w pobliżu mostu? - zapytała. Dziewczyna skinęła głową. Po oczach można było poznać, że jest w głębokim szoku.

Do pokoju weszła pani Gideon, taszcząc koce. Cmoknęła głośno na widok nieznajomej, po czym zaczęła ściągać z niej płaszcz i czapkę, a następnie długie buty. Cjuinlan położył dłoń na ramieniu Samanty.

- Pojadę z Mary - powiedział. - Proszę zatelefonować do sierżanta Forbesa. Numer na posterunek znajdzie pani przy aparacie. Niech wyśle ludzi z linami holowniczymi. Muszą przeszukać cały brzeg. Proszę też wezwać karetkę pogotowia z Market Tye, a potem zadzwonić do doktora Bella i poprosić, aby przyjechał możliwie jak najprędzej. Zdjął z wieszaka płaszcz nieprzemakalny i szybko wybiegł z domu.

Pani Gideon owinęła ręcznikiem głowę dziewczyny.

- Dopóki nie zbada jej lekarz, niech sobie poleży na sofie - zaleciła. Objęła ją ramieniem i gestem poprosiła Samantę o pomoc. Przeprowadziły nieznajomą do salonu i ułożyły na sofie. Erica zdawała się nie wiedzieć, co się z nią dzieje. Znowu dotknęła policzka dłonią o drobnych i cienkich palcach, przywodzących na myśl szpony ptaka.

- Uderzył mnie - wyjąkała. - Martin... Uderzył mnie...

Dwadzieścia minut później zjawił się doktor Bell. Sam wyszła z salonu, zostawiając go wraz z Giddy przy dziewczynie. Narzuciła na siebie płaszcz nieprzemakalny i wyruszyła pieszo w stronę wioski.



Wypadek miał miejsce w odległości około stu jardów od mostu po stronie Marksholm. Samochód zjechał z drogi, stoczył się po nasypie do rzeki i zanurzył się w wodzie aż po dach.

Na skarpie stało kilka pojazdów, wśród nich karetka pogotowia. Zebrała się też grupka gapiów, których nie zdołał zniechęcić deszcz. Policjant w mundurze nie dopuszczał ich bliżej. Po błotnistym brzegu kręcili się mężczyźni w pelerynach, przeciągając linę od zatopionego samochodu do pojazdu holowniczego z dźwigiem.

Quinlan i Mary stali obok jaguara. Sam podeszła do nich.

- Nie ma najmniejszej szansy - mruknął Quinlan w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie. - Byłem tam. Może nawet byłbym w stanie uwolnić tego człowieka z samochodu, ale gdy tylko dotknąłem drzwiczek, wóz zaczął zanurzać się jeszcze głębiej. - Umilkł, a po chwili dodał: - Zresztą to i tak by nic nie dało. On jest pod wodą już od trzech kwadransów.

Czekali w milczeniu na efekt pracy wciągarki. Z odmetów rzeki wyłonił się z wolna tył granatowego mercedesa, a kiedy samochód znalazł się już na stoku brzegu, jeden z policjantów zawołał:

- Drzwi po stronie pasażera nie są zamknięte!

Otworzył je szeroko. Na zewnątrz chlusnęła mulista woda, a wraz z nią wypłynęło ciało mężczyzny - bezwładne, z wybałuszonymi jak u ryby oczami. Jeden z lekarzy nachylił się i przytknął palce do szyi, badając puls. Po chwili potrząsnął głową. Skinął na stojącego obok policjanta, wspólnie przenieśli ciało nieco wyżej, bliżej drogi, aby udzielić topielcowi niezbędnej pomocy. Po kilku bezowocnych próbach dali za wygraną.

Sierżant Forbes ukląkł obok zwłok, odgarnął z czoła mokre włosy, odsłaniając otwartą ciętą ranę. Nie krwawiła.

Sięgnął do kieszeni w marynarce i wyciągnął portfel, w którym znalazł kartę kredytową.

- Martin Myles - odczytał.

Policjant stojący przy samochodzie zawołał:

- Sierżancie, jest tu damska torebka! Przynieść ją?

Sierżant pokręcił głową, nie odrywając wzroku od rany na czole ofiary.

- Na razie zostaw ją tam - odparł. - Czy kluczyk jest w stacyjce?

-Tak.

- Zapłon włączony czy wyłączony?

- Włączony. Nie użył w ogóle ręcznego hamulca. Pewnie wziął zakręt za szybko.

Forbes podniósł się z klęczek, podszedł do radiowozu, otworzył drzwi i sięgnął po nadajnik.

- Wezwie pomoc - mruknął Quinlan. - Trzeba przeprowadzić dochodzenie, a on nie chce niczego zaniedbać.

Jeden z pielęgniarzy okrył zwłoki płótnem. Mercedes stał już przy drodze, dwaj policjanci czekali przy nim, nie dotykali jednak niczego. Forbes wysiadł z radiowozu, wolnym krokiem podszedł do mostu, po czym zawrócił, wpatrując się uważnie w ziemię. Wreszcie stanął obok Quinlana.

- Sir, kiedy pan tu przyszedł, samochód był pod wodą, czy tak?

- Zgadza się. Ślady wiodły ze szczytu nasypu. Zanurkowałem i próbowałem otworzyć drzwi po stronie kierowcy, ale wtedy samochód zanurzył się głębiej.

- Próbował pan otworzyć drugie drzwi, sir?

- Nie. Bałem się, że samochód popłynie z prądem. Forbes kiwnął głową.

- Zrobił pan wszystko, co było możliwe. Jego i tak nic już nie mogło uratować. Podejrzewam, że w momencie, kiedy auto wpadło do wody, on był nieprzytomny. I wszystko potoczyło się błyskawicznie. Ale zaczekajmy z tym do wyników autopsji. -Odwrócił się do Mary.

- Czy widziała pani ślady, panno Slevin? Mary powiodła wzrokiem po błotnistej skarpie.

- Tak. Ślady były całkiem wyraźne.

- I twierdzi pani, że o wypadku powiadomiła państwa pewna kobieta?

- Owszem. Zjawiła się u mnie w domu. I jest tam nadal.

- Czy miała mokre ubranie? Mary zmarszczyła brwi.
- Płaszcz, czapka i buty były mokre. Nie widziałam jej jednak bez płaszcza, wyszłam z domu wyprowadzić samochód.
- Suknię miała suchą - wtrącił Cjuinlan. - Tylko rąbek trochę zamoczony.
- A więc nie wpadła do wody?
- Nie widzę takiej możliwości.

Forbes westchnął ciężko. Z oddali rozległy się modulowane dźwięki syreny, zbliżały się szybko. Cjuinlan owinał się szczelniej kocem.

- Sierzancie, jeśli nie jesteśmy już potrzebni...
- Oczywiście, proszę wracać do domu. - Zerknął na Mary. - Musimy udać się do Marksholm, panno Slevin. Porozmawiać z tą kobietą.

- Wezwałam do niej doktora Bella - odparła. - Jeśli on uzna, że można ją teraz przesłuchać...

- Dobrze, porozmawiam z nią, kiedy to będzie możliwe - zgodził się sierżant. - Dziękuję za pomoc. - Oddalił się ku swoim ludziom, natomiast Mary, Samanta i Quinlan wsiedli do jaguara.

- Musiała mieć dosyć czasu, aby wyskoczyć i uratować się - zauważyła Mary.

Quinlan kiwnął głową.

- Na to wygląda.

Mary zapuściła silnik i zawróciła.

- Dlaczego Forbes pytał o ślady kół? Quinlan wzruszył ramionami.

- Chodzi o to, że jeśli samochód zjechał z drogi prosto do wody, to w jaki sposób ta kobieta zdołała z niego wyskoczyć? Człowiek, który wyskakuje z jadącego auta, przewraca się i zaczyna się turlać. A na płaszczu tej kobiety w ogóle nie było błota.

## *Rozdział 10*

Kiedy weszli do domu, Quinlan udał się natychmiast na poszukiwanie Torcha, od którego chciał pożyczyć suche ubranie, Mary zaś i Samanta natknęły się na doktora Bella akurat w momencie, gdy szykował się do wyjścia. Szklaneczkę whisky, którą poczęstowała go Mary, wypił już na stojąco i w paru słowach zdał relację.

- Nie stwierdziłem u niej nic poważnego, ale jest w szoku. Znalazłem też ślady stłuczeń na twarzy i piersiach oraz siniaki na szyi i rękach. Wygląda na to, że szamotała się z kimś.
- Powiedziała nam, że mąż ją uderzył - wyjaśniła Sam. Bell wydawał się zaskoczony.
- W takim razie musiał uderzyć ją kilka razy. To zdumiewające, jak wielu mężczyzn bije swoje żony. Nierzadko są to mężczyźni wykształceni, cieszący się najlepszą opinią.
- Czy pan znał tego człowieka? - zapytała Mary.
- Nie, ale jego ojciec to Randall Myles, dobrze znany w tych stronach.
- Czy pani Myles opowiedziała panu, co się stało?
- Z jej słów wynika, że przez całą drogę z Londynu popijał brandy prosto z butelki - odparł Bell. - Próbowała mu ją odebrać. - Wzruszył wymownie ramionami.
- A w jaki sposób wyskoczyła z auta?
- Nie pytałem o to. Biedaczka mówiła trochę bez ładu i składu. Dałem jej środek uspokajający. Mam nadzieję, że pozwoli jej usnąć. Dobrze by było, aby zjawiła się jutro w Market. Zro-

biłbym jej prześwietlenie. Trzeba się upewnić, czy nie doznała wewnętrznych obrażeń.

- Czy ona już wie, że jej mąż nie żyje?

- Myślę, że liczy się z taką możliwością. - Bell odstawił pustą szklaneczkę. - Powinna jej pani o tym powiedzieć, Mary. Czasem lepiej poznać prawdę, niż pozostawać w niepewności.

Pożegnał się i wyszedł, natomiast Mary i Sam udały się na górę, do pokoju gościnnego.

Dziewczyna leżała w łóżku na wznak, przykryta kołdrą aż po szyję. Miała szeroko otwarte oczy, ale nie poruszyła nawet głową, słysząc kroki kobiet. Pani Gideon, która siedziała przy niej, wstała i wyszła im na spotkanie.

- Lekarz dał jej jakiś lek, ale to chyba nie działa. Mary usiadła na krześle, które zwolniła Giddy.

- Pani Myles? Erica? Jak się pani czuje?

Dziewczyna przekręciła głowę. Duże niebieskie oczy wpatrywały się teraz w Mary niezwykle intensywnie i natarczywie.

- On nie żyje, prawda?

- Niestety. - Mary wyciągnęła rękę, pod kocem ścisnęła ramię Eriki. - Sierżant Forbes sądzi, że pani mąż był już nieprzytomny, kiedy znalazł się pod wodą. Nie miał szans.

Erica nie odwracała od niej wzroku.

- Uderzyłam go - szepnęła. - Uderzyłam go butelką. Chciał mnie udusić. - Wysunęła rękę spod kołdry i odgarnęła ją, odsłaniając szyję i piersi. - Niech pani spojrzy.

Siniaki ściemniały już i wyraźnie odznaczały się na delikatnej, jasnej skórze. Mary kiwnęła głową, łagodnie przykryła dziewczynę.

- Doktor Bell powiedział nam, że pani mąż tego popijał podczas jazdy. Proszę o tym teraz nie myśleć. Musi pani nabrać sił, a jutro porozmawiamy i zastanowimy się, co dalej. Zgoda?

- Wszyscy będą mówili, że to moja wina. Będą gadać, że go zabiłam.

- Nie sądzę. Raczej zrozumieją, że działała pani w obronie własnej. A teraz proszę zamknąć oczy i próbować zasnąć.

- Niech pani nie gasi światła! - Zabrzmiało to jak krzyk wylęknionego dziecka i Mary odpowiedziała tak, jakby zwracała się do dziecka:

- Nie zgaszę. Posiedzę tu jakiś czas, dopóki pani nie zaśnie. Nic pani teraz nie grozi, nic i nikt.

Dziewczyna westchnęła głęboko, przeciągle, zamknęła oczy, po czym znowu otworzyła na moment, zamknęła z powrotem, skuliła się i nakryła kocem.

Pani Gideon podeszła do Mary.

- Zastąpię panią - zaproponowała. - Powinna pani odpocząć.

Mary uśmiechnęła się do niej.

- Nic mi nie będzie. Bądź tak dobra i przynieś mi książkę, dobrze? Tę, co leży u mnie na nocnym stoliku.

- Przyniosę też szklankę ciepłego mleka - oświadczyła Giddy. Wyszła z pokoju razem z Samantą. Na parterze spotkały

Quinlana. Miał na sobie dżinsy i sweter Torcha, a na nogach nadal swoje mokre buty. Kiedy przekazały mu nowiny, zasepił się.

- Niedobrze. Randall Myles to gruba ryba, i tu, i w mieście.

- Chyba nie zechce wywoływać skandalu! - zawołała Giddy. Quinlan potrząsnął głową.

- O nim się mówi, moja droga. Jeśli prasa wykryje, że jego syn utopił się po wypiciu butelki brandy i bijatyce z żoną, dziennikarze wedrą się tu choćby siłą. Gdzie Mary?

- U pani Myles - odparła Giddy. Tonem pełnym współczucia dodała: - To biedactwo można by wziąć za dziecko! I taka jest załamana!

- Pani Myles to nie nasza sprawa - powiedział opryskliwie Quinlan. - Mnie chodzi o Mary. Nie chcę, aby obstała ją zgraja łowców sensacji. Im szybciej odstawimy tę panią Myles na łono jej rodziny, tym lepiej.

- A oni zostali powiadomieni? Mam na myśli jej rodziców.

- Tym miała się zająć policja. - Quinlan zebrał swoje mokre ubranie. - Jutro z samego rana zatelefonuję do Mary.

Giddy, proszę zajrzeć do niej co jakiś czas.

\* \* \*

Samanta spała niespokojnie, dręczyły ją sny, w których widziała ciało Martina Mylesa, wypadające z oblepionego mułem mercedesa.

O siódmej wzięła kąpiel, założyła spodnie i ciepły pulower, po czym udała się na poszukiwanie pani Gideon. Znalazła ją w kuchni w towarzystwie Torcha i Trudy. Najwidoczniej omawiali wydarzenia ostatniego wieczoru.

Kiedy Sam weszła do środka, Torch właśnie mówił wojowniczym tonem:

- Ona narobi nam wszystkim masę kłopotu. Zaraz zaczną się plotki i artykuły w gazetach! Nie chcemy jej tu!

Jego twarz wyrażała lęk i Sam zrozumiała po raz pierwszy, czego może się obawiać człowiek z przeszłością.

- Po prostu będziemy musieli uważać na to, co mówimy - odezwała się Giddy. - Słyszysz, Trudy? Nie strzepić języka po całej wiosce! Torch ma rację, niepotrzebne nam plotki.

Trudy, która mieszała ciasto naleśnikowe, potrząsnęła markotnie głową.

- Nie mnie to mówcie - odparowała. - Ja byłam cały czas tutaj.

- Co z Mary? - zapytała Samanta.

- Śpi - odparła Giddy. - Siedziała u pani Myles do trzeciej. Zmusiłam ją w końcu, by położyła się do łóżka.

Na parterze rozległ się dzwonek telefonu.

- Niech sobie dzwoni - machnęła ręką Giddy.

- Może to policja - powiedziała Sam. - Pójdę odebrać.

Zeszła na dół. Kiedy podniosła słuchawkę, dobiegły ją odgłosy ożywionej rozmowy, tak jakby po tamtej stronie sprzeczały się ze sobą dwie osoby.

- Rezydencja panny Slevin - odezwała się Sam.

Na moment zapadła cisza, a potem zabrzmiał głos kobiety:

- Czy mogłabym rozmawiać z panną Mary Slevin?

- Przepraszam, a kto mówi?

- Sidonia Myles, matka Martina. A pani jest...

- Nazywam się Samanta Cole, jestem sekretarką panny Slevin. Niech mi wolno będzie wyrazić moje ubolewanie...

- Dziękuję. - Szorstki głos nie pozwolił jej dokończyć zdania. - Policja powiadomiła mnie, że moja synowa przebywa w domu panny Slevin. Chciałabym porozmawiać na ten temat z panną Slevin.

Wyniosły ton, jakim to powiedziała, sprawił Sam w osłupienie.

- Mary śpi teraz - odparła. - Siedziała przy pani synowej niemal do rana. Czy mam ją poprosić, aby zadzwoniła do pani za pół godziny?

Pani Myles westchnęła z nieskrywaną irytacją.

- Myślę, że bez tego się nie obejdzie.

- Może przekazać jej jakąś wiadomość? Kolejna chwila ciszy, a potem:

- Dobrze, proszę jej powiedzieć, że przyjedziemy z mężem do Market Tye o jedenastej, aby zidentyfikować ciało syna. Będę wdzięczna, jeśli panna Slevin znajdzie dla mnie w ciągu dnia trochę czasu.

- Jestem pewna, że znajdzie, pani Myles. Czy chciałaby pani mówić z synową? Mogę przełączyć rozmowę do jej sypialni.

- Nie. - Odmowa zabrzmiała jednoznacznie. - Czy ma pani pod ręką ołówek? Podam pani mój numer.

Sam zapisała go i powtórzyła.

- Zechce pani poprosić pannę Slevin, aby zadzwoniła do mnie możliwie jak najprędzej - poleciła pani Myles. - O dziewiątej wieczorem musimy wracać.

Na tym zakończyła się rozmowa. Sam odłożyła słuchawkę i nagle zrobiło jej się żal dziewczyny, która leżała w sypialni.



## *Rozdział 11*

Musimy zrozumieć jej sytuację - powiedziała Mary. - Ta kobieta z pewnością przeżywa to bardzo ciężko. Siedziały w kuchni tylko we dwie: ona i Sam. Trudy, która jako urodzona kucharka wierzyła, że dobre jedzenie posiada moc łagodzenia napięć, już wcześniej przyrządziła naleśniki i jajecznicę z pomidorami i bekonem. Pomieszczenie wypełniała też woń świeżej kawy.

- Na mnie zrobiła wrażenie prawdziwej jędry - odparła Sam. - Pomyśleć tylko: nie chciała nawet rozmawiać z dziewczyną, która właśnie straciła męża!

- Zapewne policja poinformowała ją, że w samochodzie doszło do szamotaniny. Ale myślę, że ona się wkrótce uspokoi.

Sam nie podtrzymała tematu.

- Jak pani się z nimi umówiła? - zapytała. - Czy przyjadą tutaj?

- Nie, to zbyt ciężkie. Powiedziałam pani Myles; że rano zawiozę Erikę do doktora Bella. Uzgodniłyśmy, że w czasie badań lekarskich państwo Myles spotkają się ze mną w siedzibie Towarzystwa Muzycznego. Byłoby dobrze, gdybyś poszła tam ze mną, Samanto.

- Dlaczego chcą z panią rozmawiać?

- Nie mam pojęcia. Wkrótce się dowiemy.

Przed drzwiami rozległy się czyjeś kroki, a po chwili do kuchni weszła Erica Myles.

Miała na sobie ubranie Mary, które - mimo iż Mary nie była ani wysoka, ani tęga - wisiało na niej jak worek. Pantofle

z owczej skóry wydawały się zbyt ciężkie na jej chude nogi, kręcone, puszyste włosy okalały twarz blond aureolą. Miała umalowane wargi, nie użyła jednak różu ani pudru, a jej woskowa, niemal przezroczysta cera uwydatniała wyraziście sine plamy na policzku i szyi. Ciemne, duże oczy spoglądały na obie kobiety z pewnym niepokojem. Zbliżała się do nich ostrożnie, jakby spodziewała się usłyszeć od nich całą litanię wyrzutów.

- Przepraszam za spóźnienie, panno Slevin. Zasnęłam.

- Nie jest jeszcze wcale tak późno. Myślałam, że zje pani śniadanie w łóżku.

- Pani Gideon zaproponowała mi to, ale wolałabym zjeść w towarzystwie.

- Oczywiście. Proszę się poczęstować. Na co miałyby pani ochotę?

- Tylko na kawę. Nigdy nie jadłam na śniadanie niczego konkretnego. Martin nie przywiązuje... nie przywiązywał do tego większej wagi. - Jej głos był umiejętnie modulowany, nieco piskliwy, jak u małej dziewczynki. Nalała sobie kawy i podeszła do stolika, ściskając filiżankę w obu dłoniach.

- Chciałabym podziękować za pani wyjątkową uprzejmość -powiedziała. - Wczoraj wieczorem byłam tak oszołomiona, że nie bardzo wiedziałam, co się ze mną dzieje. Gdyby pani nie zajęła się mną...

- Proszę o tym nie myśleć - przerwała jej Mary. - Jest pani u mnie mile widziana. Udało się pani zasnąć?

- O tak! Lekarz musiał mi dać jakiś mocny środek, jeszcze teraz jestem półprzytomna.

- To normalne. Przeszła pani straszliwy szok... - Mary zawahała się. - Rano zadzwoniła do mnie pani teściowa. Jeśli chce pani do niej zatelefonować...

Niebieskie oczy wpatrywały się w nią przenikliwie.

- Czy ona o to prosiła?

- To ja odebrałam telefon. Pani Myles rozmawiała tylko ze mną, myślę, że nie chciała pani niepokoić - odpowiedziała jej Samanta.

Erica wyduła szyderczo wargi.

- Nie poprosiła mnie do aparatu, bo nie cierpi mnie, w tym rzecz. - Odstawiła filiżankę. - Myślę, że najwyższy czas, aby poznała pani prawdę o Martinie i o mnie. Mieliśmy zamiar przeprowadzić rozwód. Jechaliśmy do King's Lynn, aby poinformować o tym jego rodziców. Nie chcieliśmy dopuścić do tego, aby dowiedzieli się o rozwodzie z jakiejś gazety.

- Pani Myles, nie musi nam pani niczego mówić, chyba że sama odczuwa taką potrzebę - odparła cicho Mary. W jej głosie zabrzmiała jakaś ostrzegawcza nuta i Samanta mimo woli przypomniała sobie formułkę „Ma pani prawo zachować milczenie.”

- Owszem, odczuwam taką potrzebę. Policja zapyta mnie i tak, jak to się stało, lepiej więc, jeśli już teraz ułożę sobie wszystko w głowie. - Przesunęła dłońmi po stole, jakby porządkowała myśli.

- Pobraliśmy się rok temu - zaczęła po chwili. - Pierwszą rocznicę obchodziliśmy w ubiegłym miesiącu i była to czysta farsa. Postanowiliśmy przeprowadzić rozwód. Błagałam Martina, żeby poinformował swoich rodziców, ale on bał się ojca. Dopiero gdy zagroziłam, że napiszę do jego matki, zgodził się, abyśmy pojechali do nich. To było trzy dni temu. Zaczął pić, żeby dodać sobie odwagi. Próbowałam go powstrzymać, ale bezskutecznie.

Z Londynu wyjechaliśmy wczoraj po południu, tuż po piątej. Padał deszcz, panował bardzo duży ruch. Martin miał w samochodzie butelkę brandy, z której pociągał raz po raz. Kiedy dotarliśmy do Cambridge, udałam, że jestem głodna. Pomyślałam sobie, że będzie lepiej, jeśli on coś zje. Zatrzymaliśmy się przy pubie, gdzie zamówiłam obiad, ale tylko dla siebie, bo Martin nie chciał jeść. Wypił za to znowu dwie podwójne brandy. Kiedy wróciliśmy do auta, poprosiłam, aby pozwolił mi usiąść za kierownicą. Ostrzegłam go, że jeśli złapie nas policja, znajdzie się bardzo prędko w więzieniu. Na to obsypał mnie wyzwiskami i uderzył w twarz. Po pijanemu stawał się przeważnie dosyć agresywny.

- A często bywał pijany? - zapytała Mary.
  - Bardzo często. - Oczy Eriki pociemniały z gniewu. - Czuł się nieszczęśliwy i odgrywał się na mnie. W ogóle nie powinien był się ze mną żenić, ale jego matka od dawna nie dawała mu spokoju - nalegała, by się ożenił. Martin uległ w końcu naciskom i uznał mnie za odpowiednią kandydatkę na żonę.
  - Jak się poznaliście?
- Pytanie najwidoczniej nie przypadło Ericie do gustu, gdyż wzruszyła ramionami i popatrzyła spode łba.
- W jego klubie. Opowiedziałam pani o tym wczoraj wieczorem.
  - Przepraszam... Niech pani mówi dalej.
  - Kiedy opuszczaliśmy Cambridge, Martin był w kiepskim stanie. Nic dziwnego, prowadził i pił cały czas. Potem skręcił w stronę Market Tye. Ja pomyślałam, że pomylił drogę, ale on powiedział, że jest to skrót do King's Lynn. Czy to prawda?
  - Rzeczywiście, pozwala zaoszczędzić parę mil.
  - Martin znał te skróty. - Gniew ulotnił się już, wyglądała teraz na kobietę strapioną, zagubioną w życiu. - Gdybyśmy pojechali wtedy główną drogą, Martin żyłby teraz.
  - Takie rozumowanie nie doprowadzi do niczego dobrego.
  - Wiem. - Erica głęboko wciągnęła powietrze. - Mniej więcej o wpół do dziewiątej minęliśmy Market Tye. Lało jak z cebra. Prawie nic nie było widać, nie pomagały nawet wycieraczki. Ale Martin nie zwalniał. Dostrzegłam jakieś pole, żadnych świateł dokoła...
  - Na tej nizinie rozciągają się tylko pola uprawne, nic poza tym.
  - Bałam się. Robiło się coraz ciemniej, samochód zarzucało co chwila. Wreszcie chwyciłam go za ramię i krzyknęłam: -,Zwolnij, zwolnij!" ale on przyśpieszył, jakby na złość. Przegapił wjazd na most, musiał zawrócić i spróbować od nowa. Tym razem przejechał na drugi brzeg i tam skręcił w lewo. Powiedziałam: „Nie, to nie tędy" - bo po prawej stronie zobaczyłam jakieś światła. Martin nie odpowiadał. Nie zwalniając nachylił się, szukając ręką brandy. A ona potoczyła się pod moje nogi.

Podniosłam butelkę i otworzyłam okno. Chciałam ją wyrzucić z samochodu. Wtedy Martin zahamował gwałtownie, a samochód zsunął się trochę z drogi i stanął tuż nad skarpą. Martin zawołał: „Oddaj!” - i złapał mnie za rękę, chcąc wyrwać mi butelkę. Uderzyłam go w twarz. Wtedy ogarnęła go furia. Zaczął okładać mnie pięściami po całym ciele, a potem chwycił za gardło. Omal mnie nie udusił, myślałam, że to już moje ostatnie chwile. W pewnej chwili odruchowo uderzyłam go butelką, którą nadal trzymałam w lewej ręce. To nie było mocne uderzenie, chciałam tylko, żeby mnie puścił. Rzeczywiście, w pierwszej chwili odsunął się na bok i zaklął tylko, ale potem znowu zaczął mnie dusić. Udało mi się otworzyć drzwi i zaczęłam się szamotać, aby wydostać się na zewnątrz. Kiedy chwycił mnie za rękę, uderzyłam go ponownie butelką. Trafiłam w czoło. Upadł na wznak, a ja wyskoczyłam z auta i zatrzasnęłam drzwi. Chciałam pobiec w stronę wioski, ale wtedy samochód zaczął się staczać po skarpie w dół. Martin leżał na siedzeniu. Krzyknęłam jeszcze, żeby zaciągnął hamulec ręczny, ale nie zrobił tego. Samochód już zanurzał się w wodzie. Wszystko działo się tak szybko! Nie mogłam temu zaradzić, byłam bezsilna. Nie umiem pływać, a do tego byłam jeszcze trochę oszołomiona po tej szamotaninie. Zdaje się, że zaczęłam wzywać głośno pomocy. Potem zauważyłam światła w tym domu i pobiegłam tak szybko, jak tylko mogłam. Biegłam i biegłam. -Zadrzała gwałtownie na całym ciele, objęła się oburącz w pasie i zaczęła kołysać w przód i w tył. - Powiedzą, że to ja go zabiłam! Wsadzą mnie do więzienia!

Mary wstała, obeszła stół i otoczyła dziewczynę ramieniem.

- Nic podobnego - oświadczyła. - Jestem prawnikiem i znam się na tego typu sprawach. Uderzyła pani męża, działając w obronie własnej.

- Nie uwierzą mi!

- Na pewno uwierzą. - Głos Mary był spokojny i kojący. -Kiedy policja zacznie panią przesłuchiwać, proszę opowiedzieć wszystko dokładnie tak, jak przed chwilą. Będzie dobrze. Proszę mi zaufać.

\* \* \*

Policja w osobach inspektora Hogga i posterunkowego Perkinsa z Market Tye zjawiała się tuż po dziewiątej trzydzieści.

Hogg był wysokim mężczyzną z ledwo zarysowującym się brzuszkiem. Włosy starannie zaczesywał do przodu, aby ukryć łysinę. Zachowywał się jak dobry wujaszek, jednak Sam, patrząc w jego oczy, jasnozielone, ocienione długimi rzęsami i niezwykle przenikliwe, uznała, że należy mieć się przed nim na baczności.

Z Mary przywitał się niczym stary znajomy.

- Przepraszam, że zakłócam sobotni spokój, panno Slevin, ale zapewne rozumie pani, że w tych okolicznościach... -

Obdarzył Sam przelotnym uśmiechem i zwrócił się do Eriki: - Czy mam przyjemność z młodszą panią Myles?

Erica skinęła w milczeniu głową. Skulona na samym brzeжку sofy w salonie, z podkurczonymi nogami i dłońmi złożonymi na kolanach, wyglądała jak wylekniona dziewczynka. Hogg przybrał ton żałobny.

- Niezmiernie mi przykro, pani Myles, z powodu tego nieszczęścia. To straszne, doprawdy straszne.

- Dziękuję. - Głos Eriki był ledwie słyszalny.

- Przywieźliśmy pani rzeczy. - Wyciągnął rękę i podał jej plastikową torebkę. - I portfel. Zechce pani łaskawie sprawdzić zawartość?

Erica wyjęła z torebki skórzany portfel, otworzyła go i wysypała wszystko na kolana: jakieś drobiazgi, dokumenty i pieniądze, wszystko przesiąknięte wodą. Włożyła je z powrotem i zamknęła torebkę.

- Niczego nie brakuje.

- To dobrze. W kuchni zostawiliśmy dwie walizki. Chciałbym, aby później rzuciła pani na nie okiem i stwierdziła, czy wszystko w porządku. Ale przede wszystkim chodzi mi teraz o wyjaśnienie kilku kwestii, jeśli czuje się pani wystarczająco dobrze. Może usiądziemy gdzieś z boku?

- Wolałabym, aby Mary i Sam były obecne przy tej rozmowie - odparła zaskakująco stanowczym tonem.

Hogg uniósł brwi, zdumiony, że Erica mówiąc o nich używa imion, kiwnął jednak głową.

- Nie mam nic przeciw temu. Czy możemy tu usiąść, panno Slevin? To nie potrwa długo.

Zajęli miejsca. Hogg na sofie, tuż obok Eriki, Perkins zaś z tyłu, na krześle.

- A teraz, pani Myles - powiedział Hogg - chciałbym panią poprosić o podanie kilku niezbędnych informacji - przede wszystkim pełnego imienia i nazwiska oraz adresu.

- Erica Susan Myles. - Urwała, zmarszczyła brwi. - Mieszkałam w Londonderry Mews, numer cztery, Dutch Street, Chelsea, ale prawdę mówiąc nie wiem, czy jeszcze tam wrócę. Przypuszczam, że będę musiała zabrać swoje rzeczy i wyprowadzić się. Zmuszą mnie do tego.

- Jeśli czynsz jest opłacony - odparł Hogg - nikt nie może pani stamtąd wyrzucić.

- Nie płaciliśmy czynszu. To mieszkanie należy do ojca Martina, pana Randalla Mylesa, który mnie nie cierpi. I robi wszystko, abym wyniosła się jak najprędzej.

Mówiła spokojnym, rzeczowym głosem. Hogg, nieco zbity z tropu, zadał kolejne pytanie tonem bardziej uprzejmym.

- Czy w takim razie mogłaby pani podać mi adres, pod jakim będzie osiągalna?

- Owszem, to adres mojego banku. Barclays przy Cockspur Street. Po co to panu?

-Będzie jeszcze trochę formalności, kiedy rozpocznie się dochodzenie - odparł.

- Ależ to był wypadek!

- W przypadku śmierci ofiary wypadku dochodzenie jest konieczne.

- Chce pan powiedzieć, że będą go kroić?

- Zostanie przeprowadzona sekcja zwłok, owszem. - Hogg nie spuszczał wzroku ze swojej rozmówczyni. - Musimy zadośćuczynić wymogom koronera i wyjaśnić okoliczności śmierci pani męża. Należy stwierdzić, czy był martwy, kiedy znalazł się pod wodą, czy też żył jeszcze i utopił się.

Erica wydała stłumiony okrzyk i przycisnęła dłonie do ust. Mary przemówiła spokojnym tonem:

- Erico, wiem, jakie to dla pani okropne, obawiam się jednak, że nie obejdzie się bez tych prawniczych formalności.

- Zwróciła się do Hogga: - Inspektorze, czy wiadomo już, kiedy zacznie się dochodzenie?

- Niezwłocznie, panno Slevin. Chyba że wyłonią się jakieś problemy.

- Problemy? - powtórzyła Erica. - Co pan ma na myśli? Zielone oczy Hogga pozbawione były wszelkiego wyrazu.

- No cóż, proszę pani, na głowie pana Mylesa widnieją ślady obrażeń. Musimy wyjaśnić okoliczności, w jakich je odniósł.

- Może pan dowiedzieć się tego ode mnie! Uderzyłam męża butelką brandy. Próbował mnie zabić, tłukł po twarzy, po całym ciele, mało brakowało, a byłby mnie udusił. Był pijany, pijany jak bela!

Hogg milczał. Perkins zapisywał coś w notesie.

- To prawda! - krzyknęła Erica. - Niech pan zapyta doktora Bella! Widział mnie wczoraj w nocy, może zaświadczyć!

- Oczywiście, że z nim porozmawiam. Nie wątpię też w pani prawdomówność, pani Myles. Po prostu nie wiem dokładnie, jak to wszystko się potoczy. Czy potrafiłaby pani określić, ile alkoholu wypił mąż?

- Wczoraj? Przynajmniej jedną butelkę brandy. Ale nie wiem, ile wypił przed lunchem. Był w klubie.

- Jaki to klub, pani Myles?

Erica poruszyła się niespokojnie na sofie.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Powiedział tylko: „Idę do klubu”.

- Rozumiem. Cóż, poproszę panią o spisanie w wolnej chwili nazwisk osób, które mogłyby nam pomóc, a my z nimi porozmawiamy. Jeśli pił rano, to z pewnością wypił dużo alkoholu również wczoraj wieczorem.

- Mówiłam już, że był pijany! - Erica zacisnęła mocno usta, a policzki pociemniały jej z gniewu.



- I pił cały czas, kiedy jechali państwo z Londynu? - nie dawał za wygraną Hogg.

Erka chciała coś odpowiedzieć, jednak Mary nie pozwoliła jej dojść do słowa.

- Dlaczego nie powtórzy pani inspektorowi tego, co opowiedziała nam przy śniadaniu? - zapytała. - Niechże pani powie mu wszystko.

A ponieważ Hogg kiwnął zachęcająco głową, Erica rozpoczęła relację. Inspektor nie przerywał jej, dopóki nie doszła do wydarzeń bezpośrednio poprzedzających wypadek.

- A więc próbowała pani otworzyć okno w samochodzie, aby wyrzucić butelkę? I wtedy mąż chwycił panią za szyję?  
- Tak.

- Zechciałaby pani pokazać mi, jak to wyglądało? Czy w tym momencie była pani zwrócona do niego twarzą, czy też plecami?

- W pierwszej chwili twarzą. Potem mnie uderzył. - Erica podniosła do skroni zaciśniętą pięść. - Bił, zaczął mnie dusić. Uderzyłam go butelką. Ale niezbyt mocno.

Hogg przesunął się na sofie w jej stronę.

- Proszę mi zademonstrować, w jaki sposób uderzyła pani męża.

Erica zawahała się, zmarszczyła brwi. Następnie uniosła lewą rękę i zatoczyła nią zamaszysty łuk, zatrzymując pięść tuż przed czołem inspektora. Skinął głową.

- I co się wtedy stało?

- Martin odskoczył, zaczął mnie wyzywać. Hogg wrócił na swoje miejsce.

- Czy właśnie wtedy podjęła pani próbę wydostania się z auta?

- Tak. Odwróciłam się do niego tyłem i otworzyłam drzwi.

- A więc były już otwarte, kiedy mąż chwycił panią ponownie za szyję?

- Ja... chyba tak. Tak, już wiem, jak to było. Kiedy rzucił się na mnie po raz drugi, stałam jedną nogą na ziemi, a on pochwyił mnie za ramiona i usiłował wciągnąć z powrotem do samochodu. Zamachnęłam się butelką...

- Ale stała pani tyłem do niego?
  - Nie. W tym momencie odwróciłam się i uderzyłam go butelką w czoło.
  - Jak mocne to było uderzenie?
  - Mocne. - W głosie Eriki zabrzmiała histeria. - Uderzyłam go z całej siły. Przecież on chciał mnie zabić! Musiałam się bronić!
  - I wtedy puścił panią?
  - Tak. Puścił i... i przewrócił się na siedzenie.
  - Czy to wyglądało tak, jakby po prostu osunął się z powrotem na swoje miejsce, czy też padł na kierownicę?
  - Osunął się na swoje miejsce. Tak mi się zdaje. Nie pamiętam. Myślałam wtedy tylko o tym, żeby uciec. Byłam przerażona...
  - Tak, oczywiście, to zrozumiałe. - Hogg nachylił się do przodu. - Uderzyła go pani, a on osunął się na siedzenie. Czy wówczas wysiadła pani natychmiast z samochodu?
  - Tak.
  - Czy auto stało nadal na szczycie skarpy? -Tak.
  - Stało w miejscu?
  - Tak. Ale tuż nad pochyłością skarpy. - Erica skuliła się, dygotała na całym ciele. - Trochę się chwiało.
  - Czy silnik pracował?
  - Nie wiem. Jak mogłabym pamiętać takie drobiazgi?
  - Niech pani spróbuje sobie przypomnieć. To ważne. Jej wzrok wyrażał teraz bunt. Oczy zaszkliły się od łez.
  - Pan jest bez serca! - zawołała. Potrząsnął głową.
  - Wiem, co pani przeżywa. Jest mi bardzo przykro, że muszę zadawać te wszystkie pytania, ale na tym polega moja praca. Miejmy nadzieję, że już wkrótce uporamy się z tą sprawą.
- Erica sięgnęła do kieszeni, wyjęła chusteczkę i przyłożyła ją do ust i nosa. Przez chwilę wpatrywała się gdzieś w dal, wreszcie szepnęła:
- Silnik był chyba włączony... w każdym razie kiedy samo-

chód zaczął... zaczął się zanurzać... reflektory się paliły. Widziałam... jak się zanurzają... jak się zanurza całe auto... Hogg milczał przez chwilę.

- Czy hamulec ręczny był zaciągnięty, kiedy pani wysiadła z samochodu?

- Nie... nie wiem!

- Czy w tym czasie, kiedy pani szamotała się z mężem, samochód się przesunął?

-Nie.

- Pani mąż... bił panią... przechylał się na pani stronę, walczył. W tej sytuacji trudno byłoby trzymać nogi na pedałach, prawda?

-Tak... chyba tak. Nie wiem! Nie patrzyłam na jego nogi, nie zastanawiałam się nad tym. Myślałam tylko o jednym: wydostać się z samochodu, zanim Martin mnie zabije.

- Tak, rozumiem - mruknął z namysłem Hogg. - Twierdzi pani, że kiedy wyskoczyła z auta, stało w bezruchu. W którym dokładnie momencie zaczęło się zsuwać po stoku?

-Myślę... że od razu. Wyskoczyłam i chciałam zatrzaskać drzwi... Wtedy zauważyłam, że samochód zsuwa się po pochyłości. Zsuwał się dosyć szybko.

- Czy podczas tej szamotaniny z mężem dotknęła pani kluczyka w stacyjce?

-Nie!

- A kiedy uderzyła pani męża po raz drugi i on opadł nieprzytomny na siedzenie... czy wtedy dotknęła pani kluczyka?

- Nie! Co usiłuje pan zasugerować? Sądzi pan, że zapuściłam silnik i zwolniłam hamulec? Czy tak pan myśli?

- Staram się jedynie ustalić fakty, pani Myles.

- Fakty mają się tak, że wydostałam się z auta, a kiedy się odwróciłam, auto zsuwało się po skarpie. Taka jest prawda!

-Erica uderzyła pięściami w kolana. - Nie zabiłam Martina! I nie uruchomiłam samochodu! Na pewno Martin w jakiejś chwili przycisnął pedał gazu. Tylko tak można to wyjaśnić!

- Możliwe, że ma pani rację. - Hogg przyjął nagle postawę przyjaciela. - Jakieś odruchowe drgnięcie nogi sprawiło samo-

chód w ruch i w efekcie auto stoczyło się po skarpie. - Wstał. -Dziękuję, pani Myles. Bardzo nam pani pomogła. Poproszę panią jeszcze o złożenie podpisu pod oficjalnym zeznaniem. Przypuszczam, że nie musi pani natychmiast wyjechać do Londynu?

Erica spojrzała na niego zaskoczona, Mary natomiast wyjaśniła:

- Pani Myles zostanie tu, dopóki nie poczuje się na tyle dobrze, aby ułożyć jakieś plany.

- Doskonale - uśmiechnął się Hogg. - W takim razie będę wiedział, gdzie mogę ją zastać, aby powiadomić o terminie rozpoczęcia dochodzenia i innych formalnościach. - Odwrócił się znowu do Eriki. - Jeśli chodzi o samochód, proszę pani, musieliśmy odstawić go do warsztatu w Market. Może go pani odebrać stamtąd, kiedy tylko zechce, obawiam się jednak, że zanim będzie gotowy do jakiegokolwiek jazdy, mechanik musi zająć się nim bardzo gorliwie.

Erica spojrzała w inną stronę.

- Nie chcę go. Nie chcę go widzieć na oczy. Niech oni postanowią, co z nim zrobić.

Hogg patrzył na nią beznamiętnym wzrokiem.

- Będziemy w kontakcie - powiedział. - Do zobaczenia, pani Myles.

Uścisnął dłoń Mary, kiwnął głową na pożegnanie Sam i wyszedł. Tuż za nim opuścił dom posterunkowy Perkins.

Mary i Samanta stanęły w progu, obserwując bez słowa, jak radiowóz policyjny niknie w oddali.

- Był wobec niej dosyć szorstki - powiedziała w końcu Sam.

- Ależ nie. To porządny człowiek.

Ciekawe, czy inspektor Hogg prowadził również dochodzenie w sprawie śmierci Marshalla Robartsa, przyszło nagle Samancie do głowy. Mary, jakby czytając w jej myślach, uśmiechnęła się.

- On tu jest dopiero od czterech lat. Widuję go często w związku z moją pracą. Jest chętny do pomocy.

- Sugerował mniej lub bardziej wyraźnie, że to Erica zepchnęła samochód do wody.

- Nic podobnego! Po prostu uświadomił Erice, co mogą pomyśleć o tym inni ludzie.
- Sądzi pani, że zabiła swego męża?
- Oczywiście, że nie. Gdybym w to wierzyła, nie pozwoliłabym jej zostać u mnie ani przez chwilę. Myślę, że było dokładnie tak, jak ona mówi - że był to tragiczny wypadek. Ale to wcale nie powstrzyma ludzi od rozsiewania plotek o rzekomym morderstwie. A prasa podchwyci to natychmiast, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Drukując tego typu sensację można zwiększyć sprzedaż gazety.

## *Rozdział 12*

Proszę nie martwić się prasą. Potrafię się tym zająć - zapewniała beztrąsko Erica.

Jechały we trzy do Market Tye. Mary prowadziła jaguara, Erica zajmowała miejsce obok niej, a Samanta siedziała z tyłu.

-Musi pani zrozumieć... - zaczęła Mary, ale Erica nie pozwoliła jej dokończyć.

- Rozumiem doskonale. Wiem, że będą tu węszyć za skandalem, a także, że zrobią wszystko, aby mnie oczernić.

Wiem, jacy są, bo przed ślubem sama zajmowałam się dziennikarstwem.

- Naprawdę? To interesujące. Dla jakiej gazety pani pracowała?

- Dla wielu - odparła Erica. - Byłam niezależna. Nie związałam się na stałe z żadną redakcją. Dostarczałam historyjek dla tych wielkich: „Telegraph”, „Sun”, „Mirror”... - W jej głosie zabrzmiała duma. - Jeśli napisze się coś dobrego i zgodnego z faktami, nie ma problemu ze znalezieniem gazety skłonnej to opublikować. - Westchnęła. - Dałam sobie z tym spokój, kiedy wyszłam za Martina. Twierdził, że dziennikarstwo to praca uwłaczająca godności człowieka. A dla jego rodziców godność liczy się bardziej niż cokolwiek innego.

- Nazwisko Myles jest w tej okolicy dobrze znane - powiedziała Mary. - Musi pani liczyć się z tym, że ta sprawa nabierze rozgłosu.

- Potrafię sobie z tym poradzić - powtórzyła Erica. - Złożę oświadczenie i będę się go trzymać rękami i nogami. A kiedy dochodzenie zostanie zakończone, odcepia się ode mnie. Jeśli

nie, zajmie się nimi Randall Myles. Ma bzika na punkcie skandali. - Urwała, a potem zapewniła: - Panno Slevin, nie zamierzam być dla pani ciężarem. Wyjadę stąd natychmiast, gdy tylko uzyskam zgodę policji.

- Drogie dziecko, przecież policja nie może tu pani przetrzymywać! Nie została pani oskarżona o morderstwo!

- Ale dochodzenie...

- To jedynie formalność. Ustalenie, że przyczyną śmierci był nieszczęśliwy wypadek, zajmie im najwyżej jeden dzień. - Widząc na twarzy Eriki powątpiewanie, uśmiechnęła się. - Mówiłam już, że jestem prawnikiem. Proszę nie przejmować się dochodzeniem. Jeśli chodzi o wyjazd z Marksholm, mam nadzieję, że nie będzie pani musiała się śpieszyć. Może tu pani wypocząć, zebrać myśli, zastanowić się nad przyszłością.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

- Nie sprawi pani. - Dojeżdżali już do miasta i Mary zwolniła. - Jeszcze jedno... Jeśli przypomni się pani jakiś szczegół, który mógłby pomóc inspektorowi Hoggowi... na przykład nazwa klubu, w którym pani mąż spędził wczorajszy ranek... wtedy radziłabym pani powiedzieć mu o tym natychmiast.

- Dobrze. - Erica obrzuciła ją krótkim spojrzeniem spod rzęs. - Dobrze, dziękuję za radę. Zastosuję się do niej. Gabinet doktora Bella mieścił się na cichej uliczce, z dala od zgiełku śródmieścia. Mary i Sam zostawiły tam Erkę, po czym udały się na zachodnią część placu, do siedziby Towarzystwa Muzycznego. Jak zwykle w sobotnie poranki panował tu mały ruch. Członkowie klubu unikali tłumów kupujących, którzy pod koniec tygodnia wypełniali tę część miasta.

Portier poinformował Mary, że jej goście czekają już na nią.

- Wprowadziłem ich do Błękitnego Pokoju - powiedział. - Tam teraz najspokojniej. Pani Myles sprawiała wrażenie niezwykle zdenerwowanej.

- Jej syn zginął wczoraj wieczorem w wypadku samochodowym.

- Ach tak? Przy Steeple, nieprawdaż? Właśnie zastanawiałem się, czy to jego rodzice. Czy mam podać państwu herbatę, panno Slevin?

- Zadzwoń, jeśli zechcemy się napić, Simpsonie. Dziękuję.

- To straszne nieszczęście. Straszne - mruknął i wyszedł, potrząsając głową.

Mary i Sam przeszły do małego salonu przeznaczanego dla gości. W kominku płonął ogień, a okna wychodziły na park, ogołocony z liści i przygotowany już do zimy.

Państwo Myles wstali na ich widok, a Randall postąpił krok do przodu i podał obu kobietom rękę. Był wysoki i dobrze zbudowany, o gładkich, rumianych policzkach, czarnych, starannie zaczesanych włosach i gniewnych, głęboko osadzonych oczach. Sam odniosła wrażenie, jakby ten gniew podtrzymywał go, nie dawał mu rozpaść się na kawałki.

- Panna Slevin? Cieszę się, że przyszła pani spotkać się z nami. - Przeniósł wzrok na Samantę. - A to jest...

- Pani Cole, moja asystentka.

- Ach tak. Słyszałem już o pani. Moja żona, Sidonia.

Podeszli do kominka, gdzie stała Sidonia. Była to niska kobieta, z wyraźną skłonnością do tycia, ubrana w granatowy kostium z kaszmiru i zamszowe botki. Oprócz ślubnej obrączki i płaskiego platynowego zegarka nie nosiła żadnej biżuterii, oczy skrywała za ciemnymi okularami. Miała regularne rysy twarzy, gładką, wypielegnowaną cerę i mocno zaciśnięte usta, uszmkowane różową kredką. Dłoń, którą bez słowa podała na powitanie, była wiotka i zimna.

Mary zaprosiła ich gestem do zajęcia miejsc.

- Czy mogę zaproponować państwu kawę lub herbatę? Pani Myles potrząsnęła przecząco głową, natomiast Randall Myles podszedł do krzesła, opadł na nie ciężko i powiedział:

- Oczekujemy, panno Slevin, podjęcia zdecydowanych działań. - Z wysuniętym do przodu podbródkiem wpatrywał się w Mary. - Wracamy właśnie z kostnicy, gdzie zidentyfikowaliśmy ciało naszego syna.



- Tak, wiem. Bardzo mi przykro...
- Tylko bez współczucia, proszę! - Randall przycisnął dłoń do ust i siedział tak przez chwilę w bezruchu. Kiedy przemówił ponownie, jego głos był cichszy. - A ten inspektor Hogg... Czy zna się na swojej pracy? Zakładam, że zna go pani wystarczająco dobrze?
- W takim miasteczku jak to, wszyscy się znają. Hogg to dobry policjant. Sumienny i inteligentny.
- Sumienny - powtórzył Randall. Najwidoczniej inteligencja nie była cechą, jakiej oczekiwał. - Zadzwoił do nas wczoraj wieczorem. Poinformował o wypadku i że Martin... odszedł. Chcieliśmy przyjechać natychmiast, on jednak uznał, że to zbyt kosztowne, że lepiej, jeśli przyjedziemy dziś rano. Jestem mu bardzo wdzięczny. Gdyby pozostawić sprawę Ericę, nadal nie wiedzielibyśmy o...
- Randall. - Sidonia wymówiła jego imię bez szczególnego nacisku, on jednak urwał w pół zdania i spojrzał na nią wyczekująco. Zdjęła swoje ciemne okulary i odłożyła je na bok. Miała duże oczy o niezwykle, niebieskawozielonym kolorze, a powieki zaczerwienione i opuchnięte.
- Jesteśmy pani bardzo zobowiązani, panno Slevin - powiedziała - za okazanie Ericę pomocy wczoraj wieczorem. Ale nie ma potrzeby, aby opiekowała się nią pani nadal. Ona ma w mieście piękne mieszkanie, do którego powinna się teraz przenieść.
- To dobra wiadomość - odparła Mary. - W rozmowie ze mną Erica wyraziła obawę, że do tego mieszkania nie ma już wstępu.
- Ależ ma, zapewniam panią.
- Doskonale. Ale z tym nie ma pośpiechu. Może pozostać w Marksholm, dopóki będzie miała na to ochotę.
- Nie sądzę, aby to było rozsądne, panno Slevin. Na moment zapadła cisza, twarz Mary pociemniała.
- Pani Myles, to, że opiekuję się byłymi więźniami, nie stanowi dla Eriki żadnego zagrożenia, zapewniam panią.
- Nie chodzi mi o Ericę. - W głosie Sidonii zabrzmiało znużenie. - Chodzi mi o panią. Obawiam się, że ta sprawa nabierze rozgłosu i wzbudzi zainteresowanie ludzi żądnych sensacji.

Jestem przekonana, że nie tego pani pragnie dla swojej Fundacji i... i dla siebie.

- Potrafię radzić sobie z niepożądanym rozgłosem - odparła sucho Mary. - Pani synowa przeżyła straszliwe chwile. Nie przypuszczam, aby w tak krótkim czasie doszła do siebie.

Randall sapnął niecierpliwie. Sidonia nie spuszczała wzroku z Mary.

- Erica wcale nie pragnie dojsć do siebie, nie zamierza stanąć na własnych nogach - zauważyła. - To pasożyt. Dla pani dobra radziłabym pozbyć się jej bezzwłocznie. Przynajmniej Martin nie ma jej już na karku.

Mary zmarszczyła brwi.

- Erica powiedziała mi wczoraj, że jechała właśnie z mężem do King's Lynn, aby powiadomić państwa o swoim zamierzonym rozwodzie.

- Doprawdy? - Uśmiech pani Myles wyrażał niedowierzenie i sarkazm. - Niezłą wymyśliła sobie historyjkę.

Randall Myles nachylił się do przodu.

- Ta mała łajdaczka wcale nie chciała rozwodu! Poślubiła Martina dla pieniędzy, a kiedy położyłem kres jej ekstrawagancjom, zabiła go. Pozbawiła go przytomności, a potem zepchnęła samochód do rzeki.

- Oni szamotali się ze sobą, panie Myles, i Erica została pobita. Faktem jest, że pański syn nieźle sobie popił.

- Kto tak twierdzi? Czy może ona? Na pani miejscu nie uwierzyłbym nawet w jedno słowo tej oszustki!

Mary otworzyła usta i zamknęła je z powrotem, Sidonia natomiast powiedziała cicho:

- To już wykaże sekcja zwłok, Randall. Martin rzeczywiście często nadużywał alkoholu.

- To ona doprowadziła go do tego! - zawołał Randall. - Zabiła mojego syna! Niech ją piekło pochłonie!

Zamordowała go z zimną krwią, a ja dopilnuję, aby to jej nie uszło na sucho!

Sidonia wstała nagle z krzesła, podeszła do męża i otoczyła go ramionami, on zaś przytulił się do niej, a po policzkach pociekły mu łzy. Sidonia podniosła głowę i spojrzała na Mary.

- Z pewnością zostanie przeprowadzone szczegółowe dochodzenie - szepnęła.

- Tak, to nieuniknione.

Usta Sidonii drgnęły w nieudanym uśmiechu. -Ma pani doświadczenie w tych sprawach... Jaki według pani będzie wynik?

- Nieszczęśliwy wypadek - odparła Mary. Ona również wstała i wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć ramienia pani Myles, ta jednak cofnęła się odruchowo.

- Nie! - zawołała ostro. - Przykro mi, panno Slevin, ale nie jestem jeszcze gotowa do przyjmowania zdawkowego współczucia.

Mary kiwnęła głową.

- Potrafię to zrozumieć, ale zapewniam panią, że gdybym mogła w czymś pomóc...

- Nie można pomóc w takiej sytuacji. - Sidonia wzięła swoją torebkę, założyła okulary. - Czułam, że muszę panią ostrzec -powiedziała. - Zrobiłam to, a teraz zabiorę już męża do domu.

- Sprowadzę państwa samochód.

- To zbyteczne, nie mamy daleko. - Pomogła mężowi wstać, podała mu chusteczkę. - Gdyby poniosła pani jakieś wydatki -oświadczyła - proszę łaskawie powiadomić nas o tym. Nasz adres znajdzie pani w książce telefonicznej. Plovers Lea, Random, w pobliżu King's Lynn.

Mary w milczeniu potrząsnęła głową, a potem, po wyjściu państwa Myles, wsłuchiwała się w cichnący odgłos ich kroków.

- Dlaczego oni odnoszą się do niej z taką nienawiścią? -szepnęła Sam.

- Może dlatego, że ich syn wybrał ją, a nie ich.

- Wyraźnie są na wojennej ścieżce. Jeśli stanie pani po stronie Eriki...

- Nie dam się zastraszyć, Sam. To taktyka, jakiej się nauczyłam przez te wszystkie lata.

Ale Sam nie podzielała jej optymizmu pamiętając pełną furii reakcję Randalla oraz źle ukrywaną dezaprobatę jego żony. Nie mogła się pozbyć uczucia niepokoju.

### *Rozdział 13*

Nazajutrz, w niedzielę, w porze lunchu przyszedł Pat Quinlan. Kiedy wstali od stołu, Mary zamknęła się w gabinecie, aby napisać zaległe listy, Erica poszła odpocząć, a Quinlan, niezwykle dziś milczący, nawiązał rozmowę z Samantą.

- Co to za spotkanie Mary z państwem Myles?
  - Skąd pan o tym wie?
  - Wróble ćwierkają już o tym na dachach. O co im chodzi?
  - Chcą, aby Mary wyrzuciła stąd Ericę.
  - Dlaczego?
  - To zadawniona nienawiść. Randall Myles jest przekonany, że Erica zabiła jego syna... uderzyła, a kiedy stracił przytomność, postarała się, żeby utonął.
  - Nie do wiary! Myles tak powiedział?
  - Owszem. Był bardzo wzburzony, nie panował nad sobą.
  - Proszę opowiedzieć mi wszystko o tym spotkaniu. Samanta spełniła prośbę, a kiedy skończyła, Quinlan pokręcił głową.
  - Niedobrze. Randall Myles to typ człowieka, który nie daje za wygraną. Może narobić kłopotów. Jak zareagowała Mary?
  - Powiedziała, że nie da się zastraszyć. Że będzie robiła to, co uzna za stosowne.
  - Uparta jak muł. Proszę wyświadczyć mi przysługę, Sam. Niech pani ma na wszystko oko. I nie pozwoli, aby Mary przez tę dziewczynę wypadła za burtę.
- Przez najbliższe dni Samanta obserwowała bacznie Ericę Myles, nie znalazła w niej jednak nic nagannego, wiele zaś

przemawiało za tym, że jest to osoba godna współczucia. Najwyraźniej nie miała nikogo bliskiego. Jej rodzice - jak opowiedziała - rozwiedli się, gdy skończyła jedenaście lat, a ciotka, która ją wychowywała, już nie żyła.

Małżeństwo z Martinem okazało się fatalną pomyłką. Nie udawała, że oplakuje męża. Bywały momenty, kiedy przejawiała dziecięcą naiwność i spontaniczność w okazywaniu uczuć, nie zważając przy tym na reakcje, jakie wywołuje u słuchaczy.

A jednak nie była głupia. Miała rzadki dar obserwacji oraz doskonałą pamięć, mogłaby też występować jako parodystka, potrafiła bowiem naśladować głosy i ruchy ludzi, z którymi choćby raz się zetknęła.

O dziwo, nigdy nie krytykowała rodziców Martina. Może nie starczało jej odwagi. Z wyraźną obawą mówiła o dochodzeniu. Twierdziła, że Randall Myles chce ją „załatwić”, a inspektor Hogg jest po „ich” stronie.

- Hogg uważa, że mogłam zatrzymać samochód - żaliła się. - Dał mi to do zrozumienia.

- Po prostu podchodzi rzetelnie do swoich obowiązków. Każdy, kto na panią spojrzy, zorientuje się, że działała pani w obronie własnej. Sympatia opinii publicznej będzie więc po pani stronie, a jeśli ktoś spróbuje potraktować panią zbyt ostro, będzie miał do czynienia z Patem Quinlanem.

Erica zdobyła się na niepewny uśmiech.

- Jesteście wszyscy dla mnie tacy dobrzy! - szepnęła.

Na przesłuchaniu wstępnym byli obecni Sidonia i Randall Myles, którzy przyszli w towarzystwie niskiego, łysego człowieczka. Quinlan rozpoznał go jako Aubreya Hibberta, adwokata, a kiedy Erica wpadła na nowo w panikę, zaczął ją pocieszać. - Proszę się nie obawiać - powiedział. - Hibbert z pewnością ostrzegł swoich klientów, aby uważali na to, co mówią.

Jego przewidywania sprawdziły się co do joty. Wszystko potoczyło się sprawnie. Inspektor Hogg zeznał, że dotychczasowe ustalenia policji potwierdzają relację Eriki. Z protokołu sekcji

zwłok wynikało, że Martin Myles „znajdował się owego dnia w stanie upojenia alkoholem" i najprawdopodobniej w pewnym momencie rzucił się na swoją żonę, ta zaś działając w obronie własnej uderzyła go butelką.

Lekarz policyjny uznał, że cios zadany w czoło ofiary mógł pozbawić ją przytomności, ale nie mógł spowodować zgonu. Przyczyną śmierci Martina Mylesa, powiedział, było utonięcie.

Stwierdzono, że śmierć była wynikiem nieszczęśliwego wypadku, spowodowanego przez ofiarę. Koroner złożył Ericie oraz jej teściom szczerze kondolencje z powodu tragicznej straty.

\* \* \*

Zanim Mary zdołała opuścić salę rozpraw, podszedł do niej inspektor Hogg.

- Panno Slevin, przed wejściem czyha już cała zgraja reporterów. Proponuję, aby pan Quinlan podjechał pod tylne drzwi i zabrał panie swoim samochodem, a Torch może wrócić do Steeple jaguarem.

Mary, Samanta i Erica zastosowały się do tej rady i przeszły korytarzem na tylny dziedziniec. Po drodze minęły Mylesów. Sidonia, zatopiona w rozmowie ze swoim adwokatem, nie zaszczyciła ich nawet jednym spojrzeniem, Randall natomiast ruszył za nimi.

Od czasu ich ostatniego spotkania bardzo schudł. Wyglądał mizernie, ręce dygotały mu jak w febrze. Sprawiał tak żałosne wrażenie, że Sam przystanęła.

- Panie Myles?

Wydawało się, że jej nie słyszy. Płomiennym wzrokiem przeszywał Mary i Ericę.

- Swój ciągnie do swego. Dwie morderczynie! Mam nadzieję, że obie znajdą się w piekle.

Zawrócił i powłókł się przed siebie, a Sam dołączyła do swoich towarzyszek, zadowolona, że żadna z nich nie dosłyszała jego słów.

Ostrzeżenie Hogga pozwoliło im uniknąć natrętnych dziennikarzy zaledwie na krótki czas.

Wież o tym, że Erica Myles przebywa w Marksholm, rozeszła się po całej okolicy i przez kilka dni dom oblegali łowcy sensacji. Erica nie zgodziła się na rozmowę z żadnym z nich i pod koniec tygodnia na placu boju pozostał tylko jeden: młody, idący przebojem reporter z „East Anglia Herald”. Kręcił się na drodze w pobliżu rzeki w nadziei, że natknie się na Ericę. W piątek Sam zauważyła go z aparatem w dłoni. Krył się w zaroślach, fotografując dom. Sam podniosła słuchawkę, chcąc wezwać policję, ale Mary powstrzymała ją.

- Co nam to szkodzi? Zostawmy go w spokoju, wkrótce i tak się znudzi!

Sam nie była o tym przekonana, zaniepokoiły ją też słowa Eriki:

- To nie o mnie im chodzi. Interesuje ich raczej Mary. -Co pani ma na myśli? - Sam zadała to pytanie tonem ostrzejszym, niż zamierzała, i Erica spojrzała na nią ze zdumieniem.

- To, co się tu wydarzyło, oczywiście. Morderstwo.

- Kto pani o tym powiedział?

- Nikt nie musiał mi mówić. To przecież żadna tajemnica.

- Czy ten typek... jak mu na imię?

- Charlie Pope.

- Czy mówił coś o Mary?

- Tak. Ale kazałam mu wynieść się stąd. - Erica odgarnęła z czoła kosmyk włosów. - Ode mnie nie dowie się niczego.

- Jeśli zjawi się tu ponownie - zawołała Sam, dając się ponieść nagłej fali irytacji - dostanie ode mnie kopniaka w ten tłusty tyłek!

Erica zmierzyła ją badawczym wzrokiem.

- Jeśli to panią tak bardzo niepokoi, zadzwonię do jego szefa i poproszę, aby go odwołał.

- Może pani to zrobić?

Na ustach Eriki pojawił się nikły uśmiech.

- Oczywiście.

Cokolwiek powiedziała szefowi redakcji, odniosło to zamierzony efekt - pan Pope nie pojawił się już więcej w Steeple Tye.

Niebawem Erica zaczęła mówić o rychłym opuszczeniu Marksholm, o powrocie do londyńskiego mieszkania, o uporządkowaniu swojego zagmatwanego życia.

- Nie martwię się o przyszłość - powiedziała. - Mam pokaźne konto w banku, mogę też podjąć pracę, intratną pracę.  
- Jej oczy zabłysły, jakby właśnie otrzymała propozycję takiej pracy.

Z wolna dochodziła do zdrowia. Poprawiła się, jej skóra utraciła dotychczasową woskową barwę. Niemal od samego początku domagała się swojego udziału w wykonywaniu obowiązków domowych i okazała się bardzo przydatna w biurze. Była dobrą maszynistką, szybką i dokładną, potrafiła też obsługiwać komputer. Jednak gdy któregoś dnia Sam zastała ją przeglądającą akta, które leżały na biurku, powiedziała zdecydowanym tonem:

- Bardzo mi przykro, Erico, ale nie mogę dać pani tego do czytania. Te akta są poufne.

Erica zarumieniła się po uszy.

- Wcale ich nie czytałam. Chciałam tylko przełożyć je do szafki.

- To bardzo miłe z pani strony, ale Mary jest pod tym względem bardzo zasadnicza: nikt prócz niej i mnie nie może nawet dotknąć tych akt. - Sam wzięła teczkę, zamknęła ją w szafie, a kiedy odwróciła głowę, Erica miała mocno zaciśnięte usta i patrzyła na nią ze złością. Niemal natychmiast niechętny wyraz twarzy dziewczyny uległ zmianie, zastąpił go nieśmiały uśmiech.

- Okay, przepraszam. Co jeszcze mogłabym tu zrobić?

Sam znalazła dla niej parę prostych zadań i Erica potulnie zajęła się nimi.

Tego samego wieczoru, kiedy Erica udała się już do swojej sypialni, Samanta zapytała Mary:

- Jak długo jeszcze zamierza pani trzymać tu Ericę Myles? Mary podniosła wzrok znad książki.

- Ja jej tu nie trzymam.

- To prawda, ale jednak ona wciąż tu przebywa! Od wypadku upłynęły niemal trzy tygodnie. Erica czuje się wystarczająco dobrze, aby się usamodzielnąć.



- Tak, czuje się dobrze, ale tylko pod względem fizycznym, nie psychicznym.
  - Co pani ma na myśli?
  - Ona jest wylękniona, Sam.
  - Na miłość boską, a czegoż to mogłaby się bać?
  - Randalla Mylesa. Samotności. Sytuacji, w której musiałaby sama sobie dawać radę.
- Samanta zmarszczyła brwi.
- Erica wygląda mi na osobę, która potrafiłaby doskonale o siebie zadbać.
  - To nie tak. Musi pani brać pod uwagę, ile ostatnio przeżyła: została pobita przez własnego męża, a potem właściwie na jej oczach on utonął. Oskarżono ją też o morderstwo.
  - Dochodzenie nie wykazało nic...
  - Ale Randall Myles przyprowadził ze sobą wziętego adwokata, specjalistę od spraw kryminalnych. Widziała pani chyba, jak bardzo fakt ten przeraził Ericę. Wiem dobrze, o czym mówię, Sam. Wiem dobrze, jak to jest być oskarżoną.
  - Ale Erica nie jest...
  - Owszem, jest! - Głos Mary przybrał raptem gniewne brzmienie. - Tak właśnie to się zaczyna: od podejrzeń, aluzji, niedomówień, braku zaufania. Erica czuje wrogi nastawienie wobec siebie. Czuje to nawet w tym domu. Wie, że Torch jej nie cierpi, a Giddy czeka tylko na dzień, kiedy ona się stąd wyniesie. Skoro i pani zwraca się przeciw niej...
  - Nie zwracam się przeciw niej! Żal mi tej dziewczyny, jej sytuacja jest nie do pozazdroszczenia, ale przecież musi kiedyś zacząć żyć na własny rachunek.
  - A więc niech sama zdecyduje, kiedy to ma nastąpić.

\* \* \*

W następnym tygodniu Erica zaczęła rozglądać się za pracą. Uparła się, że odnowi kontakty z prasą i wysłała swoje oferty do tych redakcji, które w przeszłości publikowały jej artykuły. Dwukrotnie pojechała do Londynu na rozmowy kwalifikacyjne, wróciła z nich jednak rozczarowana: nie było teraz

łatwo o posadę reportera. W tej sytuacji Erica dopuściła możliwość podjęcia pracy sekretarki i rozesłała kolejne oferty. Żadna z odpowiedzi, jakie otrzymała, nie spełniała jej oczekiwań.

Nadszedł jednak dzień, kiedy wybrała się autobusem do Market Tye. Wróciła w porze lunchu w wyśmienitym humorze. Okazało się, że nawiązała kontakt z agencją, która angażuje sekretarki dla przemysłowych instytucji miasta.

- Wynagrodzenie jest niezłe - opowiadała. - To pozwoli mi przetrwać pewien czas. Zmienię pracę, gdy znajdę coś, co mi naprawdę odpowiada. Jutro rozejrzę się za jakimś mieszkaniem.

- Po co? - zapytała Mary. - Przecież może pani zostać tutaj.

- Nie chcę być dla pani dłużej ciężarem.

- Może pani płacić za utrzymanie, jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej. W Market nie znajdzie pani porządnego mieszkania, chyba że podpisze pani umowę na cały rok, a to nie miałoby sensu, skoro może pani w każdej chwili dostać posadę w Londynie.

I tak niepostrzeżenie Erica zadomowiła się w Marksholm. Starła się nie sprawiać nikomu kłopotu, wracała późnym wieczorem, często zostawała w Market po pracy, aby pójść na koncert lub do kina. Nie przyjęła propozycji Mary, która chciała oddać do jej dyspozycji jeden ze swoich samochodów, tylko wypożyczyła zdezelowany samochód dostawczy w warsztacie w Steeple. Nawet Giddy, choć niechętnie, musiała przyznać, że Erica nie jest kłopotliwym gościem.

Nadeszła ciepła i słoneczna wiosna. Wiedząc o tym, że Mary ma jacht, Erica zaczęła błagać, aby ktoś nauczył ją żeglować. Od tej pory spędzała weekendy w towarzystwie Samanty i Mary na rzece i okolicznych kanałach, a czasem zapuszczały się nawet dalej.

Erica kupiła sobie nowe ubrania - dzinsy i spódnice odpowiednie do noszenia na wsi. Jak opowiadała, wychowała się w Dorset i uwielbiała wiejskie życie. Raz czy dwa zaofiarowała się z pomocą przy pracach w ogródku, ale Torch nie skorzystał

z tej oferty. Nadal traktował ją nieprzyjaźnie. Erica pogodziła się z tym, kwitując jego rezerwę wzruszeniem ramion i uśmiechem.

Niczym kameleon usiłowała przystosować się do nowych warunków i sytuacji, w jakiej się znalazła. Do Mary odnosiła się z szacunkiem, prosiła ją o radę, kiedy tylko nadarzała się ku temu okazja. W stosunku do Sam była bardziej bezpośrednia. Nigdy nie nużyły jej rozmowy o ludziach, z którymi Samanta współpracowała, o jej rodzinie w Stanach, Jamesie i jego ekspedycji polarnej.

Robiła wszystko, co tylko możliwe, aby zacieśnić ten kontakt jeszcze bardziej, jednak Sam nie uważała jej za swoją przyjaciółkę. Coś w Ericie nadal ją niepokoiło, a uczucie to spotęgowały dwa wydarzenia, które miały miejsce na początku maja.

## *Rozdział 14*

Praca Samanty polegała między innymi na rozmowach z urzędnikami sądowymi i więziennymi na temat więźniów, którzy korzystali z pomocy Fundacji. Na tego typu spotkania woził ją Torch. Znał doskonale życie więzienne, potrafił też odróżnić człowieka pragnącego rehabilitacji od takiego, który stanowił trudny przypadek.

Kiedyś Sam zapytała go, dlaczego nie ubiegał się nigdy o posadę w Fundacji, on jednak potrząsnął głową.

- E tam, to nie dla mnie!

- Chce pan być do końca życia ogrodnikiem?

- Jasne, że nie! Będę miał kiedyś własny warsztat, oszczędzam na to już od dwóch lat. W końcu lipca wyjeżdżam ze Steeple, zacznę pracować w Market dla Berta Millera. Mary mówi, że kiedy już będę gotów, pomoże mi kupić coś własnego. -Zmarszczył brwi, jakby miał jakiś problem. - A ta Erica? - zapytał. - Długo jeszcze tu zostanie?

- Zapewne aż znajdzie jakąś stałą pracę.

- Ha! To może nigdy nie nastąpić. A zresztą... czy to jej źle w Marksholm? Dlaczego by miała chcieć stąd odejść? Sam zawahała się.

- Ta decyzja należy do Mary. Uśmiechnął się ironicznie.

- Naprawdę pani wierzy, że Mary ją wyrzuci? Nie ma mowy! Mary ma miękkie serce, taka jest prawda. Dopóki tu jestem, pilnuję, żeby nikt jej nie wykorzystał, ale co się stanie, kiedy wyjadę w lipcu... Bóg jeden wie.

Sam obserwowała go bacznie.

- Torch, dlaczego nie lubi pan Eriki?

- Jest śliska jak wąż - odparł natychmiast. - Ciągłe tylko się płaszczy. Mary to, Mary tamto. I jest bardzo sprytna. Zna pani ten obraz na półpiętrze, ten z siostrą Mary? Przypomina pani kogoś?

Sam kiwnęła głową.

- Wydaje mi się, że Erica jest bardzo podobna do Lidii.

- No właśnie. Któregoś dnia patrzę, a ta paniusia ogląda obraz. A jaką miała przy tym minę! Coś knuła! Potem przytrzymała włosy w górze, tak jak na tym obrazie, a kiedy mnie zobaczyła, udawała, że nic się nie stało. Ale ja nie jestem taki głupi. Chciała być podobna do siostrzyczki Mary, nikt mi nie powie, że było inaczej.

- A może po prostu chciała się przekonać, czy do twarzy jej w takiej fryzurze?

- Może tak, może nie. Ciągłe kręci się koło Giddy i męczy ją, żeby opowiedziała jej coś o Lidii. Przegląda zdjęcia, wiem to od Giddy. I zamęcza ją pytaniami. Jaka była Lidia, jak się ubierała Lidia, co Lidia mówiła. Ech, nie ufam jej. To spryciara. Widziałem, jak rozmawiała z tym doktorem Soamesem. Dwa razy nakryłem ich, jak gadali ze sobą.

- Czyżby śledził pan Ericę? - Pytanie Samanty miało być żartem, Torch jednak pokiwał z zapalem głową.

- Mam na nią oko i obserwuję ją, kiedy tylko mogę. Krętacza wyczuję na odległość.

- A gdzie ona się spotkała z doktorem Soamesem?

- Pierwszy raz, gdy ich widziałem, było to w herbaciarni u Spendera. Siedzieli przy stoliku ponad godzinę i długo o czymś gadali.

- Doktor Soames najwidoczniej lubi rozmawiać z przyjaciółmi Mary.

- Właśnie. I stara się nastawić ich przeciw niej. Założę się, że próbował tego także z panią.

- Owszem. - Przypomniała jej się rozmowa podczas koncertu. - Ale dlaczego on to robi, Torch?

- Przez złość - wyjaśnił krótko. - Mary wykopała go po tej historii z jej siostrą. To partacz. Nawet nie zorientował się, że Lidia bierze narkotyki. Dlatego Mary kazała mu się wynosić, a on, zdaniem Giddy, nie może tego przeboleć. Opluwa Mary przed każdym, kto chce go wysłuchać. - Zwolnił wjeżdżając na łukowaty most, dodał znowu gazu i zauważył: - Ale porządny człowiek nie słucha tych brudów. Założę się, że pani kazała mu przestać.

- Rzeczywiście, tak było.

- Ale nie z Ericą. Ona trzyma sztamę z tym wstrętnym typem. Kiedyś widziałem ich przy St. Ives-Road, a Giddy natknęła się na nich w Cambridge, kiedy pojechała tam do swojej siostry.

- Skoro Erica pracuje, skąd bierze czas na te przejażdżki i spotkania?

- Taką ma dobrą pracę. Kiedy ma tylko ochotę, bierze sobie dzień wolny.

- Ale dlaczego? I po co? Co jej dają te układy z Soamesem?

- Nie wiem - odparł Torch, nie kryjąc irytacji. - I dlatego jestem wściekły, Sam. Nie mam pojęcia, co ta suka knuje. Ponieważ dojechali właśnie na miejsce, rozmowa dobiegła końca, ale przez kilka najbliższych dni Sam nie mogła myśleć o niczym innym. Torch od początku był negatywnie nastawiony do Eriki, ale Sam zaczynała teraz to rozumieć, tym bardziej że tajemnicze konszachty dziewczyny z doktorem Soamesem przemawiały raczej na jej niekorzyść.

Rozmowa z Mary na ten temat nie miałyby sensu. Powiedziałyby, że Erica ma prawo sama wybierać sobie przyjaciół. Nie można też było liczyć na pomoc ze strony pani Gideon. Giddy nigdy nie próbowała wpływać w jakikolwiek sposób na Mary, nie okazywała też swej dezaprobaty wobec jej działalności. Wyznawała zasadę „żyj i daj żyć innym” - być może jedyną, która pozwalała znaleźć swoje miejsce w takim domu jak Marksholm.

Upłynął tydzień. Sam nadal zastanawiała się, co począć z Ericą Myles, kiedy Pat Quinlan rzucił nową bombę.

W drugą sobotę maja zadzwonił pytając, czy Mary jest w domu, gdyż musi omówić z nią coś niezmiernie ważnego.  
- Niestety, pojechała z Ericą na cały dzień do Wisbech - poinformowała go Sam. - Może ja mogłabym w czymś pomóc?

Pat milczał chwilę, po czym odparł:

- Może. Chciałbym porozmawiać. Nie miałaby pani nic przeciw temu, gdybym przyjechał za piętnaście minut?

Zjawił się punktualnie, otworzył drzwi samochodu i gestem ręki zaprosił Samantę do środka, po czym ruszył drogą na północ, w stronę moczarów.

- Na tylnym siedzeniu leży gazeta - powiedział. - Proszę ją przejrzeć.

Był to dodatek ilustrowany do „East Anglia Herald”, otwarty na środkowej stronie.

Sam nie musiała zbyt długo szukać. Jej wzrok padł niemal natychmiast na zajmującą cztery szpalty fotografię Quinlana i Mary. Zdjęcie musiało zostać zrobione kilka lat wcześniej i nie robiło przyjemnego wrażenia. Ktoś musiał przybliżyć aparat do ich twarzy. Wylęknione oczy Mary i wykrzywione w jakimś dziwnym grymasie usta wyrażały przeżyty szok, Quinlan zdawał się coś krzyczeć. Lewą ręką otaczał ramiona Mary, prawa była tak uniesiona, jakby chciał odepchnąć fotografa.

Nieco niżej gazeta zamieściła kolażową kompozycję wycinków z prasy. Wszystkie pochodziły z 1980 roku.

Nagłówki krzyżowały się wzajemnie, a wspólny tytuł głosił: MARY SLEVIN OSKARŻONA.

Na górze, w rubryce „Słynne procesy”, duże czarne litery obwieszczały ZABÓJSTWO MARSHALLA ROBERTSA.

Sam przeczytała tekst. Pokrywał się dokładnie z tym, co opowiedział jej Quinlan podczas ich pierwszego spotkania. Informował więc o zastrzeleniu Roberta w Marksholm, o zeznaniach złożonych przez Mary i jej aresztowaniu, o rozprawie i o okolicznościach łagodzących i wreszcie o werdykcie sądu, który uznał Mary winną zarzucanego jej czynu i skazał ją na osiem lat pozbawienia wolności.

Quinlan był przedstawiony jako młody, błyskotliwy obrońca. Jednak cały artykuł przyprawiał o mdłości i Sam cisnęła gazetę na podłogę samochodu.

- To najbardziej nikczemna rzecz, jaką kiedykolwiek czytałam! - zawołała. - Mary poświęca swój czas i jest teraz bardzo wartościowym członkiem społeczeństwa, a ten szmatławiec nie wspomina o jej zasługach nawet jednym słowem. Również o pieniądzach, które Mary wydaje...

- Powinniśmy dziękować Bogu, że ona tego nie przeczytała - zauważył Quinlan. - Mary byłaby wściekła, widząc, że jakiś pismak spotwarzył Fundację.

- Potwarz to najodpowiedniejsze słowo. Ale czy w takim razie nie powinniśmy ich oskarżyć, Pat? Nie powinno im to ująć na sucho!

- Niestety, nie można podać ich do sądu - odparł Quinlan. - Nawet jeśli artykuł jest napisany w sposób oszczerczy, to przypominanie czytelnikom rozpraw sądowych z przeszłości nie jest prawnie zakazane. Fakty nie zostały przedstawione fałszywie. Nie sądzę, aby artykuł miał spowodować jakieś straty natury finansowej.

- Do diabła z finansami! - Samanta pobladła z gniewu. - Oczywiście, że artykuł naraża Mary na straty, tyle że moralne! Przecież ona próbuje odbudować swoje życie! Tymczasem te hieny rzucają jej kłody pod nogi. Dlaczego to robią? To wstrętne!

- Nie mamy nawet podstaw do twierdzenia, że przyczepili się właśnie do niej. „Herald” publikuje ostatnio całą serię artykułów o rozprawach sądowych we wschodniej Anglii. Sprawdziłem to. W każdym razie nie przyjechałem tu, aby rozmawiać o artykule. Tym, co mnie martwi, jest to zdjęcie.

- A gdzie zostało zrobione?

- Na schodach wiodących do gmachu sądu w Market Tye, tego samego dnia, kiedy odbywało się przesłuchanie wstępne w sprawie Marshalla Robartsa. Jak pani wie, koroner uznał Mary winną i niebawem zostało wobec niej wysunięte oskarżenie. Sęk w tym, że to zdjęcie - o ile wiem - nigdy przedtem nie było publikowane w prasie.



- A skąd ta pewność? Przecież w tym czasie zrobiono na pewno mnóstwo zdjęć.
  - Niewątpliwie ma pani rację. Z tym, że jeśli chodzi o tę akurat fotografię, to wykupiłem wtedy jej negatyw i odbitki. Znaczy, że ona musiała zostawić sobie jedną odbitkę.
  - Ona?
- Kiwnął głową.
- Tak, autorka zdjęcia - wyjaśnił. - Rosa Pierce, kochanka Robartsa.

## *Rozdział 15*

- R osa Pierce szczerze nienawidziła Mary - opowiadał Quin-lan. - Myślałem, że nie będzie już nam sprawiać żadnych kłopotów. Teraz widzę, że było to jedynie moje pobożne życzenie. Morderstwo rzuca długi cień. Na tym właśnie polega klątwa Kaina.

Jego głos wyrażał raczej znużenie niż gorycz. Sam zerknęła na niego z ukosa i zrozumiała jedno: ten człowiek nigdy już nie uwolni się od Mary Slevin.

Quinlan zjechał z drogi i zaparkował w bocznej alejce. Przed nimi rozciągała się płaska, posepna równina, która sięgała aż do wybrzeża. Wszędzie tylko pola uprawne, moczary i woda, oczekujące słońca.

- Jest pan w stanie odnaleźć tę kobietę? - zapytała Samanta.

- Rose? Można by odszukać jej ślad, ale nic by to nie dało. Z pewnością wymyśliłaby jakieś wierutne kłamstwo. - Nachylił się, podniósł gazetę leżącą na podłodze i postukał paznokciem w zdjęcie. - Zresztą ona nie wpadła na ten pomysł sama. Nie jest aż tak bardzo sprytna. Na pewno ktoś musiał jej to dyskretnie podpowiedzieć.

- Ale kto wiedział, że ona ma odbitkę, skoro pan wykupił negatyw i zdjęcia?

- Przecież ona fotografowała na oczach wielu ludzi, tego ranka przed gmachem sądu zebrała się połowa mieszkańców hrabstwa. Rosa zaskoczyła nas, kiedy wysiadaliśmy z samochodu, więc zrobiłem jej awanturę. Ludzie nie zapominają tak łatwo podobnych scen.

- Ale po co was fotografowała? Chciała potem sprzedać zdjęcia?
  - Nie sądzę. Myślę, że chciała raczej uwiecznić rozpacz i ból Mary. Zaraz po rozprawie spotkałem się z nią i zaoferowałem sto funtów za negatyw i odbitkę. Zgodziła się. Wydaje mi się, że miała już dosyć walki i przyjęła to rozwiązanie z wielką ulgą.
  - Czy podpisała coś?
  - O tak. Zobowiązanie, że zdjęcie nigdy i nigdzie nie będzie publikowane.
  - A więc nie dotrzymała umowy. Nie może pan jej za to pociągnąć do odpowiedzialności?
- Cjuinlan spojrział jej prosto w oczy.
- To by nie pomogło Mary. Rosa Pierce jest tylko narzędziem, a mnie chodzi o nazwisko człowieka, który go użył: napisał artykuł i wykorzystał fotografię.
  - Mam pewne podejrzenie. Charlie Pope. Ten grubas z gazety.
  - Hmm... może ma pani rację. - Cjuinlan zastanawiał się przez chwilę. - Jest coś, co mogłaby pani dla mnie zrobić, Samanto.
  - Co takiego?
  - Gdybym spotkał się z wydawcą „Heralda”, rozpoznałby mnie od razu jako adwokata Mary. Był wtedy reporterem, który specjalizował się w sprawach kryminalnych. Widywaliśmy się bardzo często. W każdym razie nie wyciągnąłbym z niego żadnych interesujących nas informacji. Pani mogłoby się to lepiej udać.
  - Jak się nazywa i gdzie mogłabym go znaleźć?
  - Lawrence King - odparł Cjuinlan. - Redakcja „Heralda” mieści się w Cambridge. Mam tu adres. Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął wizytówkę, którą następnie podał Sam.
  - Proszę w ogóle nie wspominać o Mary - instruował ją - tylko powiedzieć, że jest pani z Fundacji Slevinów i niepokoi panią wpływ, jaki ten artykuł może mieć na dalszą działalność

Fundacji. Niech pani spróbuje wykryć, w jaki sposób wpadł na ślad tego zdjęcia.

- Pójdę do niego w poniedziałek. - Zamyśliła się. - Ale co powiem Mary?

- Nic. Niech jej pani nie mówi w ogóle o naszej rozmowie. Znam ją bardzo dobrze. Będzie chciała to wszystko zbagatelizować. A ja bym tego nie robił. Trzeba przyszpilić łajdaka, pozbyć się go raz na zawsze.

## *Rozdział 16*

- Pański reporter, ten Charlie Pope, to nędzny szczur, żerujący na nieszczęściu innych! - oświadczyła Samanta. - Dlaczego pozwolił mu pan napisać ten artykuł?

Lawrence King uśmiechnął się zza biurka. Był to niski, pulchny mężczyzna o wzorowych manierach i czujnych oczach. Ton głosu zdradzał, że King to człowiek przyzwyczajony do naginania praw do własnych potrzeb.

- Drukujemy właśnie całą serię artykułów o sławnych procesach we wschodniej Anglii - wyjaśnił. - Sprawa Mary Slevin nie mogła zostać pominięta.

- To okrutne i nieodpowiedzialne odświeżać coś takiego w pamięci czytelników! Zapewne wie pan, ile szkody ów artykuł może wyrządzić dobremu imieniu Fundacji!

- Niechże pani da spokój, pani Cole! O Fundacji nie ma w artykule w ogóle mowy!

- Ale ludzie wiedzą, że jej twórczynią jest Mary Slevin.

- No to co? Nie może pani obarczać mojej gazety odpowiedzialnością za ten stan rzeczy. Nie moja wina, że powiązania panny Slevin z Fundacją są publiczną tajemnicą.

- Podtrzymuję jednak zarzut bezwzględności. Czyżby cierpienia moralne panny Slevin nic pana nie obchodziły? King uniósł brwi.

- Mary Slevin strzeliła do człowieka i zabiła go. Przyznała się do popełnienia przestępstwa, sąd uznał ją winną i skazał na karę więzienia. Takie są fakty i nie zdoła ich pani zmienić.

- Ale pan mógłby przyczynić się do tego, aby o nich zapomniano.
  - Niby dlaczego? Czy społeczeństwo nie powinno pamiętać o zbrodniach popełnionych w przeszłości? Uważa pani, że wina mordercy ma zostać pogrzebana wraz z ciałem jego ofiary?
  - Wina musi być ukarana, to prawda, ale gdy owa kara została już odbyta, winę należy wymazać. Takie jest moje zdanie, panie King. Co więcej, nie sądzę, aby rzeczywiście chodziło panu o czyjaś winę lub niewinność. Chce pan po prostu sprzedać jak największy nakład gazety. Wie pan doskonale, że publiczność lubi krew i schlebia pan gustom czytelników nie licząc się z nikim i z niczym.
  - Jako wydawca - odparł King - często muszę balansować pomiędzy uczuciami jednostki a prawem społeczeństwa do poznania prawdy.
  - Skoro dobro społeczeństwa leży panu tak bardzo na sercu, proszę mi powiedzieć, kto panu dostarczył to zdjęcie.
  - Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.
  - Dlaczego?
  - Dziennikarz musi chronić źródło, z którego czerpie informacje. Nie wolno mi zawieść zaufania innych.
  - A wolno panu łamać prawo autorskie? King gwałtownie poderwał głowę do góry.
  - Co pani ma na myśli?
  - Zdjęcie zrobiła Rosa Pi erce - zaczęła wyjaśniać Sam -w dniu przesłuchania wstępnego w sprawie o zabójstwo Marshalla Robartsa. Tuż po przesłuchaniu Rosa sprzedała negatyw oraz odbitkę pewnej osobie.
  - To znaczy komu?
  - Niestety, nie mogę odpowiedzieć panu na to pytanie. Ja również jestem zobowiązana do dyskrecji. W każdym razie Rosa podpisała oświadczenie, w którym zobowiązywała się do niepublikowania owego zdjęcia. Wynika z tego, że zmieniła zdanie.
- King powoli przechylił się na krześle do tyłu.
- Quinlan? - zapytał. - To jemu sprzedała negatyw?

Sam wzięła swoją torebkę.

- Proszę zająć się źródłami swoich informacji, panie King. Proszę je sprawdzić.

- Niech pani zaczeka. - King rozpostarł dłonie w geście pojednania. Gniew ustąpił miejsca silniejszej emocji, typowej dla rasowego dziennikarza: żądzy zdobycia informacji. - Oczywiście, jeśli naruszyliśmy prawo autorskie, na pewno to naprawimy.

- Naprawi pan wyrządzone zło? Wątpię, czy to możliwe. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Może powinnam sformułować trochę inaczej swoje pytanie. Kto wrobił redakcję „Heralda” w opublikowanie tego artykułu? Przez chwilę King patrzył na nią w milczeniu, po czym oświadczył:

- Dowiem się. - Samanta uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że mu wierzy.

- Relacjonował pan wtedy przebieg rozprawy, czyż nie? - zapytała.

- Owszem.

- Według pana Mary Slevin była winna?

- Tak. Uważam, że właśnie ona uczyniła swoją siostrę nie przystosowanym do otoczenia pasożytem o skłonnościach samobójczych. A Mary usiłowała zrzucić całą winę na Marshalla Robartsa. Moim zdaniem zastrzeliła go z zimną krwią.

- On wpędził Lidię w narkomanię!

- Nie to było przedmiotem dochodzenia. Mary Slevin wykorzystała sytuację, aby wydać na niego wyrok kary śmierci i osobiście go wykonać. Wzięła prawo w swoje ręce.

- Aby uratować ukochaną siostrę.

- W każdym razie popełniła morderstwo.

- Osądziła Robartsa, tak jak teraz pan osądza ją. Użyła broni palnej, pan natomiast posługuje się swoją gazetą. Czy między jednym i drugim sposobem postępowania istnieje znacząca różnica?

- Owszem, chodzi o intencje - odparł King. - Ja nie chciałem pognać Mary Slevin.

- Ale jest ktoś, kto ma ten zamiar. Ktoś usiłuje odgrzebać sprawę, przywrócić jej rozgłos. King otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową.
- Gdzie przebywa teraz Rosa Pierce? - zapytała Sam.
- Nie mam pojęcia - odparł z naciskiem King. - Wkrótce po rozprawie wyszła za mąż i przeprowadziła się gdzieś. Nie widziałem jej od tamtej pory.
- Jaki to typ kobiety?
- Jest głupia. Głupia pod każdym względem oprócz jednego: wiedziała, w którym momencie zamilknąć.
- Czy to znaczy, że nie zeznała wszystkiego, co wiedziała?
- Nie zeznała wszystkiego? Dobrze sobie! Do tego, aby powiedziała wszystko, brakowało jeszcze bardzo wiele!
- Sugeruje pan, że była zamieszana w to morderstwo? W jaki sposób?
- Niebezpośrednio, ale mógłbym się założyć, że odegrała w tej sprawie pewną rolę. Niestety, nie dowiemy się już nigdy, jaką konkretnie.
- Była u boku Marshalla Robartsa owego wieczoru, kiedy wydzwaniał do Lidii, a potem zginął! - przypomniała Sam.
- Tak. - King spojrział na nią przenikliwie. - Rosa była zakochana w Marshallu po uszy. Ubzdurzyła sobie, że on przeprowadzi rozwód z żoną i ożeni się z nią. Ale on nie miał takiego zamiaru. Robarts pozbyłby się Lidii, gdyby nadarzyła się taka sposobność, ale z pewnością nie związałby się na stałe z takim ptasim mózdzkiem jak Rosa. Jej jedynym atutem było ciało, a takich kobiet Marshall mógł mieć całe mnóstwo.
- Czy on wykorzystywał Rose?
- Robarts wykorzystywał wiele kobiet. Często wyjeżdżał do Birmingham i Londynu... w każdym mieście miał jakąś kokotę.
- O tym nikt nie mówił na rozprawie.
- Nie było na to dowodów.
- Istniały za to podejrzenia, przynajmniej pan ich nabrał, czy tak?



- Co do mnie, jestem z natury podejrzliwy. - Było jasne, że King nie chce teraz rozwijać tego tematu, jednak Sam zrozumiała, że od tej chwili łączy ich wspólny cel.

- Czy powiadomi mnie pan, jeśli natrafi na ślad Rosy Pierce? - zapytała. - Oczywiście zrobię to samo, jeśli odnajdę ją pierwsza.

King przytaknął ruchem głowy.

- Gdzie panią szukać?

Sam wypisała na papierze adres posiadłości Marksholm oraz numer telefonu.

- Ale niech pan nie rozmawia o tym z nikim innym - poprosiła.

King uśmiechnął się dobrotliwie.

- Dyskrecja to dla mnie rzecz święta - odparł.

W drodze powrotnej do Steeple Tye Sam rozmyślała o swojej rozmowie z Kingiem i doszła do kilku intrygujących wniosków.

Niezależnie od tego, czy znał pochodzenie zdjęcia, zdecydował ponownie nagłośnić sprawę Mary Slevin. O Mary wypowiadał się z niechęcią. Twierdził, że uczyniła ze swojej siostry kalekę, pozbawiając ją woli, i z zimną krwią zastrzeliła szwagra. Dał do zrozumienia, że pełna prawda o morderstwie Marshalla Robartsa nie wyszła jeszcze na jaw. Sprawiał wrażenie człowieka miłego i życzliwego, a jednak zaangażował się w polowanie na czarownice.

Sam nie przypuszczała, by King był inicjatorem tego polowania, sądziła jednak, że nie mógłby już się wycofać, nawet gdyby chciał. Cała sprawa była dziełem kogoś spoza redakcji „Heralda”, kogoś złośliwego i sprytnego, zdolnego do obmyślenia kampanii skierowanej przeciw Mary. Pytanie tylko, kto to taki?

Na myśl przychodziły jej trzy osoby.

Pierwsza to Rosa Pierce. Była zakochana w Robartsie, marzyła, aby ją poślubił. Z pewnością wiedziała, że Marshall fa-

szerował Lidie narkotykami. Była przy nim, kiedy w dniu swojej śmierci wykonywał owe telefony do żony, musiała więc słyszeć, jak błaga Lidie, aby zgodziła się na jego powrót... A to mogło wzbudzić w niej zazdrość i gniew. Rosa Pierce wiedziała, że to Mary wykryła sprawę z narkotykami i kazała Marshallowi wynieść się z domu. W jej oczach Mary była kobietą, która najpierw przekreśliła szansę Marshalla na zdobycie majątku i miłości, a następnie z zimną krwią go zabiła.

Jak bardzo musiała nienawidzić Mary, skoro w dniu rozprawy zdobyła się na to, by uwiecznić na zdjęciu jej naznaczoną cierpieniem twarz. Może to Rosa dostarczyła odbitkę Charliemu Pope'owi?

Ale czy miała dość sprytu, aby opracować plan zemsty? I czy zwlekałaby dziesięć lat z jego realizacją?

Soames natomiast należał do ludzi, którzy dozują truciznę stopniowo, lecz skutecznie. Był wtedy w sądzie i mógł zauważyć Rosę robiącą zdjęcie. Podobnie jak King uważał, że sąd popełnił błąd.

Ale czy odgrzebanie tej sprawy nie zaszkodziłoby Soamesowi w tym samym stopniu, co Mary? Czy byłoby mu na rękę przypomnieć się opinii publicznej jako konował, który za rażący brak kompetencji został zwolniony z funkcji lekarza domowego? Raczej nie.

Pozostawał jeszcze Randall Myles.

Sam pamiętała doskonale, co powiedział niedawno w gmachu sądu. Życzył Mary i Erice, aby znalazły się w piekle.

W przeciwieństwie do Soamesa i Rosy, Myles miał konkretny powód, aby rozpętać polowanie na czarownice.

Uderzając w Mary, zadawał równocześnie cios Erice, nad którą Mary roztoczyła opiekę.

Myles był człowiekiem niezwykle majątnym i wpływowym. Stać go było, aby zapłacić za zdjęcie tyle, ile zażądałaby Rosa Pierce. Mógł również wyrzeć nacisk na Kinga, wymusić publikację artykułu. Owładnięty rozpaczą i nienawiścią, byłby skłonny robić swoje, nie zważając na głos opinii publicz-

nej lub literę prawa. Był człowiekiem naprawdę niebezpiecznym.

Sam doszła do przekonania, że mimo obiekcji Pata Quinlana powinna opowiedzieć Mary o swojej wizycie w redakcji „Heralda”.

Nie musiała nawet czekać z tym na stosowną chwilę. Gdy tylko zjawiała się w Marksholm, Mary przechyliła na bok głowę i powitała ją słowami:

- I cóż, moja droga, jakie wrażenie zrobił na tobie Lawrence King?

## *Rozdział 17*

- Właśnie postanowiłam powiedzieć pani o mojej wizycie w redakcji - zaczęła Sam, siadając naprzeciw Mary.
  - To zbyteczne. Dowiedziałam się o tym wczoraj od Patricka. Zadzwoił do mnie.
  - Wiedziała pani, że jadę na spotkanie z Lawrence'em Kingiem?
  - Tak.
  - Dlaczego nie zareagowała pani na to?
  - A jak miałam zareagować? Przekonywać, że rozmowa z Kingiem to strata czasu, że nie uzyskasz od niego żadnej użytecznej informacji? Uznałam, że lepiej, jeśli dojdiesz do tego sama.
  - On nie jest przyjaźnie nastawiony do pani.
  - Wiem o tym. Odnosi się do mnie niechętnie od czasu rozprawy. Chciał, abym napisała coś w rodzaju „dziennika duchowego”... Interesowało go, co czułam, kiedy odkryłam, że Lidia zażywa narkotyki, dlaczego zastrzeliłam Marshalla i w jakim nastroju znajdowałam się tamtego wieczoru. Tak więc dramat w trzech pasjonujących odsłonach. Za prawa wyłączności dla „Heralda” obiecywał mi dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Oczywiście odrzuciłam tę ofertę, a on nigdy mi tego nie wybaczył.
- Mary mówiąc to nie kryła swej wzdargy. Samanta nie czuła się teraz na siłach prowadzić dyskusję na temat przyczyn niechęci Kinga, jakkolwiek była przekonana, że chodzi tu o coś więcej niż sądzi Mary.

- King przyznał, że to Charlie Pope napisał artykuł - powiedziała - ale nabrał wody w usta, kiedy zapytałam, skąd wziął zdjęcie. Zapewnił tylko, że nie dostał go bezpośrednio od Rosy Pierce.

- Bo to prawda. Podejrzewam, że zdjęcie dostarczył mu Trevor Soames.

- A skąd Soames miałby tę odbitkę?

- Bo kolekcjonuje wszystko, co dotyczy Slevinow. Interesuje się mną.

- Nazywa to pani zainteresowaniem?

- Zapewniam cię, Sam, że nie może się za tym kryć nic innego. Nie można zranić mnie bardziej, niż to już zrobiono. Gdybym zaczęła protestować albo grozić, rozgłos wokół mojej osoby spotęgowałby się jeszcze... a o to właśnie chodzi Trevo-rowi. Już dawno zrozumiałam, że w mojej sytuacji najlepiej jest nic nie robić.

Sam przypomniała sobie płonące ciekawością oczy Kinga i potrząsnęła głową.

- King nie da za wygraną. Chce za wszelką cenę odnaleźć Rosę. Według niego podczas rozprawy prawda nie wyszła na jaw.

Twarz Mary pociemniała.

- W takim razie kłamie. Nie będzie żadnych „emocjonujących rewelacji” ani „nowych aspektów sprawy”. Czy to jasne?

Sam kiwnęła głową i wyraz gniewu zniknął z twarzy Mary.

- Dziękuję, że próbujesz mnie bronić - powiedziała. - Naprawdę potrafię to docenić. Ale teraz zapomnijmy wreszcie o tym przekłętym artykule.

Położyła na stole plik listów i zaczęła omawiać z Samantą ich treść.

Sam nie była przekonana, czy Mary ma rację, czekając biernie na rozwój wypadków, ale kiedy tego samego wieczoru w rozmowie telefonicznej podzieliła się z Quinlanem swymi obawami, nieoczekiwanie zajął odmienne stanowisko.

- Skoro Mary nie zamierza podnosić larum - powiedział - musimy uszanować jej wolę.
  - Ależ Pat, powtarzam panu, że King tapla się w brudach! Chce odszukać Rosę Pierce i nadal publikować artykuły o sprawie Mary Slevin.
  - Dlaczego tak mu na tym zależy?
  - Wydaje mi się, że to Randall Myles pociąga cały czas za sznurki.
- Pat milczał przez chwilę.
- Jeśli King odnajdzie tę Pierce i zacznie obrzucać Mary błotem, zajmiemy się nim. Ale do tego momentu będziemy stosować się do życzeń Mary.
  - W sobotę wzywał pan do podjęcia energicznej akcji, teraz chce pan siedzieć z założonymi rękami. Co sprawiło, że zmienił pan zdanie?
  - W sobotę byłem poirytowany, skłonny działać zbyt pochopnie. Mary ma rację - nie należy wywoływać wilka z lasu.
  - Kiedy pan do nas przyjedzie Pat? Chciałabym porozmawiać...
  - Obawiam się, że nieprędko. W czwartek wyjeżdżam do Włoch i mam mnóstwo spraw do załatwienia.
  - Długo pana nie będzie?
  - Tydzień, najwyżej dwa. Spotkamy się, gdy tylko wrócę. Proszę się nie przejmować, Sam.
- Jego bez troska zaniepokoiła ją. Jakiś czas siedziała w pokoju rozmyślając, wreszcie zeszła na dół, do pani Gideon. Starsza kobieta odłożyła na bok robótkę na drutach, postawiła na gazie czajnik z wodą i oświadczyła bez ogródek:
- Zapewne przyszła pani z powodu tej gazety. Torch mi ją pokazał. Moim zdaniem to skandal. Na miejscu Mary zaskarżyłabym ich do sądu.
  - Ona woli nie reagować w ogóle. Tak samo pan Quinlan.
  - Wiem. Wczoraj wieczorem słyszałam, jak sprzeczali się na ten temat przez telefon.
  - Giddy, jak sądzisz, kto się za tym kryje?
  - Nie jestem pewna.

- Mary mówi, że to Trevor Soames mógł mieć odbitkę tego zdjęcia.
- Możliwe - wymamrotała bez przekonania Giddy. Ustawiła na tacy filiżanki, obok umieściła cukierniczkę i dzbanuszek z mlekiem, po czym zaparzyła herbatę, nałożyła na dzbanek watowaną, kolorową nakrywkę, zaniósła tacę na stół i usiadła.
- Torch mówi, że to Erica - powiedziała. - Trzymają z Soa-mesem sztamę, tak mówi Torch. Może Soames nakładł jej takich głupot do jej pustej głowy?
- Rozważałam już taką możliwość - przyznała Sam. - Ale dlaczego Erica miałaby ryzykować, narażać na szwank dobre układy z Mary? Co mogłaby zyskać?
- Tego nie wiem. - Giddy westchnęła ciężko. - Kiedy tak myślę, dokąd to wszystko może zaprowadzić, zaczynam się martwić.

Sam postanowiła chwycić byka za rogi.

- Giddy, czy tu zdarzyło się wtedy coś, co nie zostało wyjawione w sądzie?
- Ależ skąd! - Gwałtownym ruchem Giddy zerwała nakrywkę z dzbanka i zaczęła machać nią przed nosem Samanty.
- Proszę nie wygadywać takich rzeczy! Mam już dość ludzi, którzy ciągle coś wymyślają i sami sobie stwarzają kłopoty! To nie po chrześcijańsku! - Nalała do filiżanki herbatę, dopełniła ją mlekiem i podała Samancie. - Kto tak powiedział... że coś nie zostało wyjawione?
- Lawrence King. Wydawca „Heralda”.
- Pojechała pani do niego?
- Tak, byłam tam dziś rano.
- Po co?
- Bo poprosił mnie o to Pat Quinlan.

Giddy zmarszczyła brwi, nie skomentowała jednak nawet jednym słowem faktu, że Quinlan zmienił zdanie.

- Co jeszcze miał do powiedzenia pan King? - zapytała.
- Twierdzi, że Mary wypaczyła charakter Lidii. Giddy potrząsnęła głową.
- To nieprawda. Mary robiła, co mogła, nie wolno obwiniać

jej o wszystko. Przecież Lidia była dorosłą kobietą, sama podejmowała decyzje.

- Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, rozmawialiśmy na ten temat, pamiętasz? Mówiłaś wtedy, że Lidia była zmienna, że miała różne nastroje. Czy twoim zdaniem była zrównoważona psychicznie?

- Nie znam się na tym. Nie jestem lekarzem.

- Czy kiedykolwiek usiłowała popełnić samobójstwo? Giddy odwróciła gwałtownie głowę. W jej oczach Sam zauważyła łzy.

- Dlaczego ludzie wygadują takie rzeczy? Czy jeszcze nie dość bólu i rozpaczy?

Samanta wyciągnęła rękę, dotknęła dłoni starej kobiety.

- Giddy, nie chodzi mi o to, aby wścibiać nos w nie swoje sprawy. Staram się tylko zorientować, co zamierza zrobić King. Może chce skoncentrować się na Lidii, odgrzebać tę starą tezę, według której Lidia usiłowała targnąć się na własne życie?

- To nie była wcale próba samobójstwa - odparła gniewnym tonem Giddy. - Lidia nie mogła zasnąć i łyknęła za dużo tabletek, to wszystko.

- Umarła w 1985 roku, prawda?

- Zgadza się. W Edynburgu, we własnym domu, we własnym łóżku. Na zapalenie płuc. Jeśli ktoś twierdzi, że było inaczej, kłamie. Lidia złapała grypę, choroba przerzuciła się na płuca i spowodowała śmierć. I niech ten cholerny King nie próbuje tego wyjaśniać w inny sposób.

- A jej rodzina? Co z mężem i dziećmi? Gdzie są teraz?

- W tym samym miejscu, co zawsze. Heriot Close osiemnaście, tuż za kościołem. I jest im tam dobrze. Uchowaj Boże, żeby ktoś pokazał im ten wstrętny szmatławiec!

- Nikt by nie postąpił tak okrutnie!

- Niech pani nie będzie tego taka pewna! Na świecie jest mnóstwo złych ludzi, chętnych do wyręczenia szatana w jego dziele. A niektórzy z nich znajdują się tak blisko, że Ciujf nawet ich zapach!



Była tak roztrzęsiona, że Sam postanowiła nie dręczyć jej dłużej pytaniami. Weszła z powrotem na górę, do swojej sypialni, ale nie mogła zasnąć. W głębi duszy podzielała obawy Giddy. Artykuł w „Heraldzie”, choć skierowany przeciw Mary, uderzał w nich wszystkich. Spokój, w jakim żyli, został zmacony. Miejsce dawnej przyjaźni i zaufania zajęły teraz gniew i podejrzenia. W tej sytuacji nie wolno było siedzieć z założonymi rękoma i czekać. Problem wymagał wyjaśnienia i załatwienia raz na zawsze.

Po namyśle Sam podjęła decyzję: przy pierwszej nadarzającej się okazji porozmawia o tym wszystkim z Ericą. W środę z samego rana Mary miała wyznaczoną wizytę u dentysty w Cambridge. Erica miała akurat dzień wolny od pracy i Sam zaprosiła ją do biura.

- O co chodzi? - Ton głosu Eriki wskazywał, że dziewczyna postanowiła mieć się na baczności. - Mam mnóstwo roboty, a czasu niewiele.

- To ważne - odparła Sam.

Erica weszła do pokoju i opadła na krzesło.

- A więc słucham - rzuciła rozdrażniona.

- Chodzi o doktora Soamesa.

- Mianowicie?

- Kilkakrotnie widziano panią w jego towarzystwie. Oczy Eriki zwięzły się w szparki.

- Zapewne powiedział pani o tym Torch? On mnie szpieguje. Nienawidzi. Nie rozumiem, jak pani może słuchać takiego kłamcy i złodzieja!

- Nie rozmawiamy teraz o Torchu. Czy spotyka się pani z Trevorem Soamesem?

- A gdyby nawet, to co?

- To zły człowiek, Erico. Powinna pani uważać w rozmowie z nim na każde swoje słowo.

- Ale on jest dla mnie naprawdę miły! Nie taki jak inni. Nie obmawia mnie za moimi plecami!

- Czy wspominał coś o Mary?
- Oczywiście, wie przecież, że tu mieszkam...
- A mówił o niej coś złego?

Wydawało się, że Erica chce zaprzeczyć, ale natychmiast zmieniła zdanie.

- Trochę opowiadał o jej ojcu, o tym, że doktor Slevin postąpił wobec niego bardzo nieuczciwie. Zerwał ich spółkę i pozostawił Trevora na lodzie.

- To nieprawda. Soames jednostronnie zerwał umowę i zostawił doktora Slevina z takim nawałem pracy, że to go zabiło.

- Dlaczego w takim razie Mary zatrudniała go nadal jako lekarza?

- Nie zatrudniała go. To Marshall Robarts zlecił mu opiekę nad Lidią. Soames zlekceważył objawy uzależnienia Lidii od narkotyków i Mary zwolniła go. Na jego nieudolność zwrócił uwagę również sąd podczas rozprawy po śmierci Marshalla, jeśli pani tego nie wie.

Widząc sceptyczną minę Eriki, dodała:

-Ale nie po to zaprosiłam panią tutaj. Chciałabym porozmawiać o tym, co dzieje się teraz, nie o przeszłości. W sobotnim wydaniu „Heralda” ukazał się artykuł o tamtej sprawie. Czytała go pani?

- Tak. Mary kupiła tę gazetę w Cambridge. Przeczytałyśmy ją razem. Mary powiedziała, że nie ma się czym przejmować.

- Pani też tak uważa?

Erica zamrugła gwałtownie oczami.

- Nie. Według mnie to ohydne dawać do druku coś takiego.

- Pamięta pani to zdjęcie?

- Tak, oczywiście.

- Mary przypuszcza, że redakcja „Heralda” otrzymała je od Soamesa.

Oczy Eriki wyrażały niepokój.

- Nic nie wiem na ten temat.

- Czy aby na pewno? Proszę się skupić, Erico. Czy kiedy przebywała pani w towarzystwie Soamesa, wspomniał kiedykolwiek o fotografii lub artykule?

- Oczywiście że nie! Co pani stara się zasugerować? Czyżby oskarżała mnie pani o...
  - Nic podobnego. Pytam jedynie, czy Soames kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób dał do zrozumienia, że ma coś wspólnego z tym artykułem w gazecie?
- Erica omijała ją teraz wzrokiem. Po chwili mruknęła ponuro:
- Nie wiedziałam wtedy, co ma na myśli.
  - To znaczy: kiedy?
  - Wtedy, gdy powiedział, że ma coś, co zainteresuje prasę.
  - Kiedy to było?
  - Nie pamiętam dokładnie, zresztą wtedy nie przywiązywałam do jego słów większej wagi. To było chyba tego dnia, kiedy podwiózł mnie do Cambridge, jakieś sześć tygodni temu, może trochę mniej. Czekałam na autobus, a on zatrzymał się i zaproponował, abym wsiadła. Zaczęliśmy rozmawiać o mojej pracy dziennikarskiej i właśnie wtedy powiedział, że ma coś, co mogłoby zainteresować prasę.
  - Nie określił dokładniej, co to takiego?
  - Nie! - Erica spiorunowała ją wzrokiem. - Nie wiem, z jakiej racji męczy mnie pani tymi wszystkimi pytaniami! Tak jakby to była moja wina. Tymczasem ja naprawdę nic o tym nie wiem.
  - Ale Soames wie, jak przypuszczam.
  - Proszę snuć dalej te przypuszczenia. W każdym razie Soames nic mi nie powiedział, a pani nie ma prawa znęcać się nade mną...
  - Wcale się nie znęcam.
  - Ależ tak! Pani mnie nienawidzi! I zazdrości, bo Mary jest dla mnie bardzo miła. Jest pani taka sama jak inni w tym domu! Chce pani, aby mnie stąd wyrzucono! Próbuje pani nastawić Mary przeciw mnie!
- Jej głos przybrał histeryczne brzmienie i Sam uderzył pięścią w biurko.
- Proszę natychmiast przestać!
- Erica umilkła, a Sam zauważyła ostrym tonem:
- Staram się uchronić Mary przed podstępными hienami,

a pani powinna mi w tym pomagać po tym wszystkim, co Mary zrobiła dla pani.

- Ja też pragnę ją ochraniać.

- A więc, na początek, niech pani zerwie kontakty z doktorem Soamesem. Następnym razem, kiedy spróbuje naciągnąć panią na rozmowę, proszę mu poradzić, aby poszedł do diabła.

- Łatwo pani mówić. Ma pani dobrą posadę i męża, który dba o panią. Ja jestem samotna. Teraz, po śmierci Martina, nie mam nikogo bliskiego. Doktor Soames jest dla mnie miły, a właśnie tego potrzebuję.

Sam nie spuszczała z niej wzroku. Miała nieodparte wrażenie, że Erica świetnie się bawi.

- Wszyscy chcemy pani pomóc - powiedziała szorstko. - Ale przede wszystkim musi pani sama sobie pomóc.

Zawierając przyjaźń z Soamesem naraża się pani na utratę względów Mary.

- Wcale nie zawieram z nim przyjaźni! Nawet nie wiem, czy naprawdę go lubię. To on mnie stale nagabuje, nie ja jego. - Erica zerwała się z miejsca. - Sam, nie mogę siedzieć tu i dyskutować bez końca. Mam mnóstwo roboty.

Wybiegła z pokoju. Sam nie ruszyła się z krzesła, zastanawiając się, czy ta rozmowa w ogóle na coś się przydała.

\*\*\*

Po południu Sam znalazła sobie pretekst, aby pojechać do Market Tye, gdzie odwiedziła Pata Quinlana. Gdy opowiedziała mu o swojej sprzeczce z Ericą, pokiwał tylko głową.

- Niepotrzebnie pani z nią rozmawiała, Sam. To nic nie da.

- Ależ Pat, z pewnością podziela pan moje zdanie, że Soames to typ mąciociela?

- Naturalnie, ale Erica nie zerwie kontaktu z nim tylko dlatego, że pani tak sobie życzy. Jest dosyć uparta.

- Ufa jej pan?

- Czy ufam? - Cjuinlan wzruszył niecierpliwie ramionami. - A jakie to ma znaczenie?

- Dla mnie ma. Chciałabym poznać pana prawdziwą opinię o Ericie Myles.

- Myślę, że... że ma problemy. - Wyglądało na to, że Quinlan walczy sam ze sobą. - Ale nie zostanie tu na zawsze. Musimy wykazać cierpliwość.
- Ona nie ma najmniejszego zamiaru opuszczać Marksholm - odparła Sam z przekonaniem. - Już się tu zadomowiła. Co więcej, chciałyby doczekać chwili, kiedy my się stamtąd wyniesiemy. Giddy, Torch, pan i ja. Czuję to wyraźnie.
- Moje drogie dziecko, jest pani trochę przewrażliwiona.
- Wcale nie. Sidonia Myles starała się nas ostrzec. Nazwała Ericę pijawką i miała rację. Erica wysysie z Mary wszystkie soki.
- Znam Mary trochę lepiej niż pani i jestem przekonany, że nie pozwoli się wykorzystać.
- Oby miał pan rację. Naprawdę martwię się o nią. Czy jest coś, co zatajono podczas rozprawy, a teraz mogłoby zaszkodzić Mary?
- Nie, o niczym takim nie mam pojęcia. - Quinlan zmarszczył brwi. - Co znaczy to dziwne pytanie?
- Kiedy po raz pierwszy spotkałam Trevora Soamesa, twierdził, że Rosa Pierce nie powiedziała całej prawdy. To samo powtórzył Lawrence King.
- Wyssali to kłamstwo z palca.
- Nie sądzę. King zaczął węszyć i nie przestanie, dopóki nie natrafi na trop. Co będzie, jeśli przyjdzie mu do głowy wykorzystać Ericę? A może już jej zapłacił, aby zdobyć fotografię od Soamesa?
- Tego typu przypuszczenia są bezpodstawne - odparł ostro Cjuinlan. - Za bardzo daje się pani ponieść fantazji.
- Chodzi mi tylko o dobro Mary.
- A więc, na miłość boską, niech się pani stosuje do jej zaleceń! - zawołał zniecierpliwiony Cjuinlan. - Niech pani zostawi tę sprawę w spokoju! - Widząc zdumienie na twarzy Samanty dodał łagodniej: - Kiedy wrócę z Włoch, porozmawiamy i zastanowimy się, jaką najlepiej przyjąć taktykę.
- Oby nie było już za późno! - mruknęła Sam.

## *Rozdział 18*

W nocy wyrwał ją ze snu czyjś przeraźliwy krzyk. Dobiegał z zachodniego skrzydła domu. Sam wyskoczyła z łóżka, chwyciła szlafrok i wybiegła z pokoju. W holu zderzyła się z Giddy i Mary, pędzącymi co tchu w stronę sypialni Eriki. Wpadły tam razem i zapaliły światło.

Erica siedziała skulona na brzegu łóżka, z kołdrą podciągniętą pod brodę. Głowę odchyliła do tyłu, pobladłe usta miała szeroko otwarte, a oczy z jakimś dziwnym wyrazem wpatrywały się w dal. Mary pierwsza dobiegła do niej, pochwyciła za ramiona.

- Erico, o co chodzi? Co się stało?

Zamiast odpowiedzi z ust Eriki wydobył się znowu krzyk, a głowa dziewczyny trzęsła się jak w ataku hysterii. Mary uderzyła ją z całych sił w twarz i krzyk przekształcił się natychmiast w niezrozumiały bełkot. Mary usiadła na łóżku, nie wypuszczając Eriki z objęć.

- Spokojnie, już wszystko dobrze! Co się stało?

- Martin! - Erica kiwała się w przód i w tył, dysząc ciężko. - Martin! Widziałam Martina!

- Ależ skąd! Przecież Martin nie żyje! Miała pani zły sen, to wszystko. Proszę opowiedzieć mi teraz, co się pani przyśniło.

- On tu był. Widziałam go. Stał obok łóżka, cały ociekał wodą i błotem...

- Stał tutaj? W tym pokoju?

- Tak, tak, obok łóżka. Usłyszałam, jak powtarza moje imię, a kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam go. Wyciągnął rękę, chciał mnie dotknąć. Wtedy krzyknęłam...

Mary rozejrzała się dokoła.

- Dywan jest zupełnie suchy - stwierdziła. - A to znaczy, że widziała pani Martina we śnie.

- Widziałam go. Stał tu.

- To była nocna zmora - odparła stanowczym tonem Mary. - Ja też miewałam je parę razy. Wiem, że potrafią być okropne, ale przestają dręczyć, jeśli człowiek weźmie się w garść.

- Oni myślą, że zabiłam Martina - szlochała Erica. - Chcą, abym została ukarana, chcą, żebym stąd wyjechała!

- Nikt nie chce stąd pani usunąć.

- Ależ tak, naprawdę! Oni mnie nienawidzą! Torch mnie nienawidzi, Sam mnie nienawidzi! Ona myśli, że to ja napisałam ten artykuł, że jestem po stronie Soamesa! Ale to nieprawda, Mary! Jestem pani przyjacielem, oprócz pani nie mam nikogo! - Chwyciła Mary za rękę. - Nie odeśle mnie pani, prawda? Musi mi pani obiecać, że nie odeśle mnie stąd!

- O tym nie ma nawet mowy. - Głos Mary był zimny i stanowczy. - Porozmawiamy jutro. Teraz proszę się przespać, wypocząć.

- Nie, proszę, niech pani mi to obieca! Teraz! Jeśli pani każe mi stąd wyjechać, nie wiem, co się ze mną stanie!

Odbiorę sobie życie, przysięgam, że się zabiję!

Mary usiłowała uwolnić się z jej mocnego uścisku, ale dziewczyna przywarła do niej całym ciałem, trzymając się kurczowo. Widząc to, pani Gideon podeszła bliżej i przemocą oderwała ręce Eriki od Mary i pomogła swojej chlebodawczyni wstać z łóżka.

- Dostyc tego! - powiedziała spokojnym, lecz stanowczym tonem. - To bez sensu wpędzać się w taką histerię bez żadnego powodu! Wstyd! Dorosła kobieta, a zachowuje się jak małe dziecko! Lepiej niech się pani weźmie w garść, panienko!

Erica spojrzała na nią z niechęcią.

- Nie chcę, żeby pani tu była. Chcę Mary.

- Ale musi pani wystarczyć moja obecność, czy to się pani podoba, czy nie. - Giddy przysunęła krzesło do łóżka i usiadła na nim, krzyżując ręce na piersiach.

Jej postawa odniosła zamierzony skutek. Erica przestała szlochać, burknęła za to ponuro:

- Nie potrzebuję tu nikogo.

- A ja i tak zostanę. - Giddy przeniosła wzrok na Mary i Sam, kiwnęła im głową. - Możecie już wracać do siebie.

Wyszły z sypialni, zamknęły za sobą drzwi, a Mary spojrzała na Samantę badawczym wzrokiem.

- Czy rzeczywiście oskarżyła pani Ericę o napisanie tego artykułu?

- Nie. - Najwidoczniej Sam nie zamierzała rozwijać swej odpowiedzi.

Mary westchnęła zrezygowana.

- A Soames? Co on ma wspólnego z Ericą?

- Spotkali się kilka razy. Widziano ich razem.

- Kto ich widział?

- Torch. I Giddy. A Erica nie zaprzeczyła.

- A więc rozmawiała z nią pani o tym?

- Tak. Chciałam ostrzec ją przed Soamesem. Jemu nie wolno ufać. Kiedy przyjechałam tu, próbował i mnie przeciągnąć na swoją stronę, nastawić przeciw pani. To samo zrobił z Ericą.

- Czy przyznała się do tego?

- Przyznała, że Soames posiada coś interesującego dla prasy. Wie to od niego.

- A konkretnie?

- Nie wiem. Erica też nie potrafiła mi tego powiedzieć. A może nie chciała. Myślę, że to zdjęcie z Patem, zdjęcie wykorzystane przez redakcję „Heralda”.

- Sugeruje pani, że Erica zmówiła się z Soamesem, aby przekazać fotografię gazecie?

Sam spojrzała na nią wymownie.

- Przekazać albo raczej sprzedać.

- To poważne oskarżenie, Sam.

- Tak? A dlaczego Erica żyje teraz w takiej dobrej komitywie z Soamesem? Przecież wie, jaki jest jego stosunek do pani.

Mary pobladła. Przyciskając dłonie do skroni powiedziała powoli:



- Ona ma słaby charakter. Ludzie tacy jak ona działają często pod wpływem rozpacz i wtedy popełniają głupstwa.

- Nie uważam wcale, aby Erica była słaba lub impulsywna. To kobieta twarda i wyrachowana. Już teraz, chcąc osiągnąć swój cel, zaczyna urządzać sceny. Ta cała gadanina o odebraniu sobie życia...

- ... może być prawdą. Ludzie o skłonnościach samobójczych mówią o swoich zamiarach, dopóki mają słuchaczy. Potem nadchodzi moment, kiedy urzeczywistniają swą groźbę.

Mary mówiła cicho, jakby do siebie, a Sam odniosła nagle wrażenie, jakby przysłuchiwał się jej cały dom, a wraz z nim wszyscy zmarli: Marshall Robarts, Martin Myles i Lidia. Przeszedł ją zimny nieprzyjemny dreszcz, postąpiła krok do przodu, ku Mary.

- Proszę, niech pani przestanie - szepnęła. - Erica to nie Lidia.

Nagłym ruchem Mary uniosła głowę, utkwiała w Sam płonący wzrok.

- Mówiłam już, że nie życzę sobie żadnych sporów z Ericą. W tym domu ma panować spokój i cisza. Trzeba zapomnieć o tym artykule i o przeszłości. Czy żądam zbyt wiele?

- Nie. Bardzo mi przykro.

Mary kiwnęła głową, odwróciła się bez słowa i odeszła. Sam udała się do swego pokoju. Drżała z zimna i ze strachu przed kłopotami, które mogą zwalić się niebawem na głowy ich wszystkich.

\* \* \*

Spędziła ciężką, bezseną noc, rozmyślając o wyzwaniu rzuconym przez Ericę. Bo nie ulegało wątpliwości, że było to wyzwanie. Decydując się na zaatakowanie Sam i Torcha, Erica ujawniła swoje zamiary. Z pewnością zrobi, co tylko możliwe, aby przypomnieć Mary wszystko, o czym ta nie chce już pamiętać, wyciągnie na wierzch to, co Quinlan i Giddy chcieli zachować w ukryciu. Kieruje nią zwykła ludzka pazerność. Zeruje na innych jak pijawka.

Ale skoro tak, to po co te konszachty z Soamesem? Po co ryzykuje, zrażając do siebie Mary? Bo przecież nie chodziło jej o pieniądze, które mogła otrzymać od Kinga. Musi istnieć jakiś głębszy motyw. Rozważając tę sytuację Sam doszła do przekonania, że Erica chodzi przede wszystkim o to, żeby Mary i jej przyjaciel zaczęli się bać. Artykuł opublikowany w „Heraldzie” zaniepokoił w Marksholm wszystkich prócz Eriki, uczynił Quinlana ostrożnym, wywołał napięcie u Mary. A przede wszystkim przywołał przeszłość, morderstwo dokonane na Marshallu Robartsie.

Instynkt podpowiadał Samancie, że Erica na pewno zamierza wyciągnąć korzyści z tamtej śmierci. Wybrała już Mary na swoją ofiarę, ale nie spiła jeszcze jej krwi. Najwidoczniej brakowało jej jeszcze czegoś, żeby mogła urzeczywistnić swój plan.

Pewna scena nagle odżyła w jej pamięci: Erica stoi w biurze, szpera w poufnych dokumentach, a potem jest obrażona, gdyż została skarcona.

Zatrwożona Sam wyskoczyła z łóżka i szybkim krokiem przeszła do biura, gdzie trzymała otrzymane od Quinlana sprawozdanie z procesu. Nadal leżało w dolnej szufladzie biurka, pod stertą rozmaitych papierów, ale czy na pewno nikt tu nie zaglądał? Sam nie była pewna.

Przecież Erica mogła wejść do mieszkania, odnaleźć akta i przeczytać je. Wprawdzie i szuflada i biuro były zamykane na klucz, ale w tym domu te same klucze pasowały do wielu zamków. Sam nie wróciła już do łóżka. Weszła pod natrysk, ubrała się, zrobiła sobie filiżankę mocnej kawy i udała się do saloniku, gdzie rozsunęła zasłony i wpatrywała się przez chwilę w posępny wschód słońca, który rozświetlał część moczarów.

Zapowiadał się chłodny dzień, dobry na podjęcie ważkiej decyzji.

Erica Myles musiała zostać pobita w jej własnej grze, na jej własnym terenie i, jeśli zaistnieje taka potrzeba, jej własną bronią.

Sam zdawała sobie sprawę, że nie może liczyć na niczyją pomoc. Z jakiegoś niejasnego powodu Mary, Pat Quinlan i pani Gideon postanowili zachować milczenie.

- Z tego wynika - oświadczyła Sam jaśniejącemu niebu - że nie mogę działać skutecznie siedząc tu, w Marksholm. Muszę na jakiś czas wyjechać stąd, żeby mieć możliwość przychodzenia i wychodzenia w każdej chwili bez opowiadania się.

Zanotowała sobie w pamięci nazwiska osób, z którymi należało porozmawiać.

Doszła do przekonania, że tydzień powinien wystarczyć. Jeszcze dziś poproszę Mary o tydzień urlopu.

## *Rozdział 19*

Dlaczego właśnie teraz? - zapytała Mary. - Skąd ten pośpiech?

Jej niebieskie oczy spoglądały na Samantę nie wrogo, ale z pewnością też niezbyt przyjaźnie.

- Potrzeba mi teraz trochę samotności - odparła Sam.

- Może to z powodu owego nocnego nieporozumienia...

- Chyba tak, Mary. Odnoszę wrażenie, jakbym zaczynała tu zawadzać. Myślę, że byłoby dobrze dla wszystkich, gdybym zniknęła na jakiś czas.

- Na miłość boską, Sam, nie obarczaj się winą...

- Bardzo mi zależy na tym urlopie.

Mary zrobiła minę, jakby zamierzała odwieść Sam od tego pomysłu, potem jednak zmieniła zdanie.

- W porządku. Skoro chcesz, niech i tak będzie. Możesz wziąć samochód dostawczy. Nie będzie tu teraz potrzebny.

- Dziękuję, to bardzo uprzejme z pani strony. - Sam poczuła wyrzuty sumienia, że nie powiedziała Mary prawdy. - W biurze wyprowadziłam wszystko na bieżąco, przez dziesięć najbliższych dni nie powinny wyniknąć żadne spotkania.

Mary wzruszyła ramionami.

- Nawet gdyby wynikło coś pilnego, poproszę Ericę o pomoc. Dokąd zamierzasz pojechać?

- Najpierw do Londynu. Chciałabym wstąpić do siedziby kierownictwa ekspedycji polarnej, dowiedzieć się, czy wszystko w porządku. Może pójdę też na paradę królewską. A potem powłóczę się trochę, pochodzę do pubów.

- A gdyby zaszła taka potrzeba, gdzie będę mogła cię znaleźć?
- Będę telefonowała tu każdego wieczoru. A w przyszły piątek wrócę.
- Jeśli będziesz miała chęć - powiedziała Mary - możesz zostać tam jeszcze przez weekend. - Jej ton mówił wyraźnie: „damy tu sobie radę bez ciebie”.

\* \* \*

Dzień zszedł Samancie w biurze na porządkowaniu dokumentów. Wieczorem spakowała się, po czym włożyła do walizki sprawozdanie z rozprawy oraz zrobione niedawno zdjęcie Mary i Eriki.

W piątek po śniadaniu wyruszyła w drogę. Kiedy odjechała kawałek od Marksholm, zerknęła do lusterka wstecznego. Mary stała przy furtce z opuszczonymi żałośnie ramionami. Sprawiała wrażenie zmęczonej i samotnej.

- Słucham, pani Cole - powiedział uprzejmie inspektor Hogg. - Czym mogę pani służyć?

Sam spodziewała się, że policjant okaże się zbyt zajęty, aby ją wysłuchać, jednak Hogg przyjął ją nadzwyczaj ochoczo. Siedział teraz wygodnie na krześle, z wyrazem umiarkowanego zainteresowania na twarzy.

- Chodzi o Ericę Myles - oświadczyła Samanta. Ponieważ Hogg milczał, dodała: - Przypuszczam, że chce wpędzić Mary Slevin w poważne kłopoty.

- Jakiego rodzaju kłopoty?

- Widział pan w „Heraldzie” artykuł o śmierci Robartsa?

- Owszem.

- Według mnie pani Myles dostarczyła redakcji zdjęcie Mary z Patem Quinlanem. A zdobyła je zapewne od Trevora Soamesa.

- Może pani Myles zabrakło pieniędzy.

- Nie wierzę. Martin Myles pozostawił w banku całkiem pokaźne konto.

- Są ludzie, którzy nigdy nie mają dość.

Tym razem Sam zachowała milczenie i Hogg, nie doczekawszy się odpowiedzi, westchnął.

- Dlaczego miałyby sprawiać w Marksholm kłopoty? W ten sposób zaszkodziłaby również sobie. Przecież żyje tam sobie jak u pana Boga za piecem.

- Jest po prostu złośliwa - odparła Sam. - Poza tym chce zmiękczyć Mary.

- W jakim celu?

- Czy ja wiem? Może zamierza ją szantażować.

- Ma pani jakieś podstawy, aby tak sądzić?

- Przez pewien czas mieszkałam z Ericą Myles pod jednym dachem. Nie spodobała mi się i nie mam do niej zaufania. Wydaje mi się, że pan ma o niej podobne zdanie, inspektorze.

Hogg uniósł brwi.

- Pani Cole, inspektor policji nie może kierować się subiektywnymi odczuciami. Nic mi nie wiadomo, aby Erka Myles złamała jakiś przepis prawny.

- Utopiła swego męża.

- Dochodzenie nie potwierdziło tej tezy.

- Ale pan nie zgadza się z wynikiem dochodzenia, nieprawdaż? - Uprzedzając jego uwagę dodała szybko: - Okay, nie wolno panu uzewnętrzniać swych odczuć, musi pan pozostać bezstronny. Ale powinien pan również ochraniać Mary Slevin, czyż nie?

- Przed czym? Twierdzi pani, że Erica Myles planuje jakiś szantaż, ale na razie nie zostało popełnione żadne przestępstwo. A panna Slevin nie zwracała się do mnie z prośbą o roztoczenie nad nią opieki policyjnej. Czy ona w ogóle wie o naszej rozmowie?

-Nie.

- Przypuszczam również, że nie byłaby zachwycona, gdyby się dowiedziała. Panna Slevin bardzo sobie ceni własną prywatność.

- Jej prywatność jest poważnie zagrożona przez tę kobietę. Inspektorze, ja to wiem, jestem pewna, że mam rację! -  
Wy-

trzymała ironiczne spojrzenie Hogga i dodała: - Przynajmniej mógłby pan odpowiedzieć mi na parę pytań.

- Może mógłbym, a może nie.

- Kiedy rozmawiał pan z Ericą w Marksholm, zapytał ją pan, ile Martin Myles wypił alkoholu w dniu wypadku. Jej słowa brzmiały mniej więcej tak: „Co najmniej jedną butelkę brandy. Ale nie wiem, ile wypił rano, bo był wtedy w klubie”.

- Ma pani znakomitą pamięć.

- Czy pan wie, jaki klub miała na myśli?

- „St. Elmo's Club" przy Jermyn Street.

- Czy sprawdził pan tę informację?

- Owszem.

- Co to za miejsce?

Hogg nie odpowiedział od razu.

- Spotykają się tam homoseksualiści - odparł w końcu.

- Martin Myles był homoseksualistą?

- Tak.

- Czy Erica wiedziała o tym, kiedy wychodziła za niego za mąż?

- Tego nie wiem.

- A jak się poznali?

- Nie mam pojęcia.

Hogg nie zamierzał dać się wciągnąć w rozważania oparte na domysłach. Sam postanowiła zmienić taktykę.

- Czy zna pan obecne miejsce pobytu Rosy Pierce?

- Nie. Wiem, że wyszła za mąż i wyjechała z Market.

- Jak się teraz nazywa?

- Hutton. Poślubiła Harry'ego Huttona, farmaceutę.

- Czy byłby pan w stanie ją odnaleźć?

- Owszem, mógłbym to zrobić, gdybym miał powód.

- A gdyby okazało się, że Erica otrzymała to zdjęcie od Rosy Pierce?

- O ile wiem, nie jest to zakazane prawem.

- Ale naruszanie praw autorskich jest zakazane. Rosa sprzedała prawa autorskie do tej fotografii wiele lat temu.

- Rzeczywiście? Ale i tak nie jest to przestępstwo, za które płaci się głową.

W głosie Hogga brzmiała ironia, ale w jego jasnozielonych oczach Sam dojrzała błysk, który ośmielił ją do zadania pytania:

- Czy spróbuje pan odnaleźć Rosę Pierce? A potem, jeśli to się panu uda, czy zechce pan podać mi jej adres?

Hogg potarł w zadumie nos.

- Pani Cole, policjant nie jest prywatnym detektywem.

- Więc niech pan to zrobi w czasie wolnym od pracy. - Widząc wahanie Hogga, dodała: - Nie wolno dopuścić, aby to wszystko uszło jej na sucho!

Inspektor sięgnął po kartkę papieru i zapisał coś na niej.

- To mój numer telefonu. Proszę zadzwonić do mnie za parę dni.

- Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję.

Hogg przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem.

- Czy jeszcze coś, madame?

- Tak. Erica zwierzyła mi się kiedyś, że jej rodzice rozwiedli się, kiedy była jeszcze dzieckiem. Chętnie sprawdziłabym, czy to prawda.

- Nie muszę tego sprawdzać. Rzeczywiście tak było. Jej tatuś zwiął do Kanady, a mamusia do Australii.

Dziewczynką zajęła się jej ciotka, która zmarła sześć lat temu. - Uśmiech Hogga był teraz lodowaty. - Wygląda na to, że pani Myles nie ma szczęścia, jeśli chodzi o jej bliskich.

- Jak umarła jej ciotka?

- Zawał. Któregoś ranka sąsiad zajrzał do nich do domu, a kobieta leżała martwa na podłodze w kuchni. Leżała tam całą noc, podczas gdy siostrzenica spała sobie smacznie piętro wyżej.

- Czy przeprowadzono jakieś dochodzenie?

- Nie. Starsza pani od dawna chorowała na serce. Poprzedniego dnia zbadał ją lekarz i zalecił całkowity spokój.

- A więc wtedy wpadła na ten pomysł - szepnęła Sam.

- Jaki pomysł?

- Że czasami morderca, aby zabić, nie musi robić nic więcej, tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać.



## *Rozdział 20*

Market Tye Sam udała się do Londynu. Po rozmowie z inspektorem nabrała nieco otuchy. Przekazał jej użyteczną informację, że Martin Myles był homoseksualistą, a poza tym obiecał, że spróbuje wytropić Rosę Pierce. Jako policjant nie był upoważniony do wypowiadania swojej opinii o Ericie Myles, ale nie ulegało wątpliwości, że i on uważa ją za osobę zdolną do szantażu, a nawet do popełnienia morderstwa.

Samancie przyszło do głowy, że może Hogg wykorzystuje jej zapał do własnych celów, pozwalając na działania, których sam nie miał odwagi podjąć. Spokojnie rozważyła tę ewentualność i doszła do przekonania, że nie ma nic przeciw temu. Hogg był idealnym sprzymierzeńcem. Lepszego nie mogła sobie wymarzyć.

Do Londynu dojechała tuż po drugiej i natychmiast udała się do biura organizacyjnego ekspedycji polarnej. Spędziła tam parę godzin, gawędząc z dyrektorem i przyjaciółmi, nagrała też list dźwiękowy dla Jamesa i obejrzała wideokasety przywiezione przez okręt dostawczy z Antarktydy.

O szóstej wyszła z biura i wynajęła pokój w małym hoteliku przy Russell Square. Następnie zjadła wczesną kolację, wróciła do swego pokoju i zatelefonowała do Mary.

Przez kilka minut rozmawiały na błahe tematy. Połączenie nie było najlepsze, głos Mary brzmiał słabo, jakby dochodził z odległej planety. Sam ogarnęło przygnębienie. Poczuli się bardzo osamotniona. Zateęskniła za Jamesem i za tym przejście-

wym rajem, jakim okazało się Marksholm. Nagle uległa pokusie zaprzestania dalszych poszukiwań, ale niemal w tej samej chwili stanęła jej przed oczami Erica Myles - jej twarz o wąskich ustach i przymrużonych oczach, których zimne spojrzenie zdradzało przebiegłość i wyrachowanie - i Sam w jednej chwili odrzuciła tę myśl.

Wyjęła z torebki notes z adresami i numerami telefonów znajomych, usiadła na łóżku i zatelefonowała do Sidonii Myles. Sidonia nie była zaskoczona tym, że Sam podjęła śledztwo na własną rękę. Może spodziewała się tego od dawna, a może też nic już nie było w stanie jej zaskoczyć. Przez chwilę zastanawiała się, po czym zaprosiła Samantę do siebie.

- Proszę przyjść jutro po południu, powiedzmy o trzeciej. Randall będzie grał w golfa i wróci do domu dopiero o zmierzchu. Ma pani samochód?

- Tak. Jak dojechać do pani najlepiej?

Po zakończonej rozmowie Sam wzięła mapę samochodową i przejrzała uważnie trasę do King's Lynn... długą drogę, która oddalała ją coraz bardziej od Market i Steeple Tye.

\* \* \*

Posiadłość Mylesów oddzielały od reszty świata wysoki mur z cegieł i górujące nad nim stare dęby. Również dom był murowany, a jego rozmiary i wygląd świadczyły o wyjątkowej zamożności właścicieli. Służąca w mundurku wprowadziła Sam do niewielkiego salonu o ścianach w kolorze dyni, z błyszczącymi atlasowymi obiciami, jedwabnymi draperiami, kominkiem ozdobionym srebrem i miedzią oraz stolikami o pozłacanych nogach. Pośród całego tego ciepła i światła siedziała Sidonia: blada, zimna i krucha, o zapadłych oczach, niczym szkielet pławikonika wyrzucony na słoneczną plażę.

Wskazała Samancie krzesło, zaproponowała kawę lub herbatę, za które Sam podziękowała odmownie, i skierowała na gościa pytający wzrok.

Sam wyciągnęła z torebki egzemplarz „Heralda”.

- Czy pani to widziała?

-Tak.

- Podejrzewam, że zdjęcie Mary i Pata Quinlana dostarczyła do redakcji Erica.

- To bardzo prawdopodobne. - Powieki Sidonii opadły sennie. - Mówiłam wtedy, że jest niebezpieczna.

- Przyznaję, że zbagatelizowałam wówczas ostrzeżenie. Nie wierzyłam, że ktoś może postępować w sposób tak... bezmyślnie złośliwy.

- Wcale nie bezmyślnie. Erica nigdy nie postępuje bezmyślnie. Planuje dokładnie każdy swój ruch. I tak samo starannie wybiera swoje ofiary.

- Teraz wybrała Mary Slevin. Sidonia zmarszczyła brwi.

- Czy przyjechała tu pani na prośbę panny Slevin?

- Nie, ona nie wie nawet, że tu jestem. A gdyby się dowiedziała, nie byłaby z tego zadowolona. Jest przekonana, że jeśli zachowa się biernie, Erica zniknie niebawem jak zły sen.

- Może dlatego, że ma coś do ukrycia?

- A jeśli nawet? - zawołała Sam. - Przecież ma prawo do prywatności! Dość się już nacierpiła w życiu! Sidonia zignorowała te słowa obrony.

- Jeżeli panna Slevin ukrywa jakąś tajemnicę - oświadczyła - Erica z całą pewnością ujawni ją światu.

- Nie wolno jej na to pozwolić!

- Sądzi pani, że potrafi ją powstrzymać? - W głosie Sidonii brzmiała raczej zaduma niż sarkazm.

- Znajdę jakiś sposób. To zła kobieta.

- Zbyt łagodnie powiedziane. Ona w ogóle nie wie, co jest dobre, a co złe. Po prostu robi to, na co ma ochotę. A ma ochotę na bardzo wiele.

-Pani Myles... - Sam odwróciła się ku niej tak, że mogła jej patrzeć prosto w oczy. - Wczoraj rano rozmawiałam z inspektorem Hoggiem. Zapytałam go o klub, o którym powiedziała nam Erica. O klub, w którym bywał Martin.

- Rozumiem. I nasz poczciwy inspektor poinformował panią, że mój syn był pederastą?

- Tak. Bardzo mi przykro. Pytałam o to, ponieważ byłam przekonana, że to bardzo ważne.

Sidonia uniosła lekko ramiona.

- To wszystko już historia. Dziś, kiedy on nie żyje, nie ma o co kruszyć kopii.

- Jak do tego doszło, że Martin poślubił Ericę?

- Myślał, że przy niej będzie się czuł bezpieczniej.

- Bezpieczniej?

- Tak. Ona mu to wmówiła. Potrafi być przekonująca.

Sam przypomniała sobie wieczór, kiedy utonął Martin. Przed jej oczami stała jak żywa Erica, cała mokra i drżąca - uosobienie nieszczęścia. Udało jej się wprowadzić wszystkich w błąd, to prawda. Kiwnęła głową.

- A jak się poznali? - zapytała.

- Na jakimś przyjęciu. Erica przedstawiła się Martinowi jako dziennikarka. Mogła poszczycić się już kilkoma publikacjami w prasie, z pewnością pochwaliła się tym również przed panią... W każdym razie w ten sposób zagadnęła Martina. Powiedziała, że przygotowuje serię artykułów o homoseksualistach... nie jakieś tanie sensacyjki, ale prawdziwą kampanię przeciw ich dyskryminacji. Wiedziała, że Martin jest jednym z nich. Dała to do zrozumienia już podczas pierwszej rozmowy. Sprytna, nieprawdaż? Martin wychwalał ją pod niebiosa. Taka bezpośrednia, mówił mi, taka światła i tolerancyjna! Zaprzyjaźnili się. Erica nigdy nie próbowała zmienić jego sposobu życia. Po upływie roku zaproponowała mu ślub. Miało to być małżeństwo z rozsądku. Martin uzyskałby dzięki temu parawan, pozory normalności oraz gospodynię, która mogła mu się przydać, no i towarzystwo. Erica zdobyłaby dom, styl życia, który jej imponował, jak również majątek... to wszystko, czego brak odczuwała boleśnie od chwili, gdy porzucili ją rodzice.

- I Martin dał się na to złapać?

- Owszem. Ja zresztą również. Byłam zachwycona. Martin wydawał się szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem i to mnie cieszyło. Erica była czarująca. Może Bóg mi to wybaczy, ale wtedy naprawdę ją polubiłam. Wzięli cichy ślub, a Randall dał

im mieszkanie w Londynie w trzyletnią dzierżawę. Miesiąc miodowy spędzili w Grecji. Wszystko zdawało się układać jak najlepiej. Potem rozpoczęły się kłótnie między nimi. Początkowo Martin starał się ukryć to przede mną, ale po jakimś czasie przestał udawać. Zwierył mi się, że Erica to typ intrygantki i złościcy, że już jej proponował rozwód, na co odpowiedziała, że jeśli on spróbuje wymusić rozwód, ona wyjawi Randallowi prawdę o jego synu.

- Czy to znaczy, że pani mąż o niczym nie wiedział? Sidonia potrząsnęła głową.

- Zdaję sobie sprawę, że brzmi to niewiarygodnie, ale Randall nie wiedział, że Martin jest homoseksualistą. Martin zachowywał zawsze daleko posuniętą ostrożność. Nigdy nie zaczepiał młodych chłopców, nie nawiązywał przypadkowych kontaktów, nie wywołał żadnego skandalu. - Sidonia odwróciła głowę w bok, ale Sam zdażyła dostrzec w jej oczach łzy. - Randall i Martin byli do siebie bardzo przywiązani - mówiła dalej Sidonia. - Randall wynosił syna pod niebiosa, chwalił go za inteligencję, poczucie humoru, za to, że taki wysportowany. Istniała między nimi naprawdę wspaniała więź. Ale los sprawił, że Erica odkryła ten słaby punkt i wykorzystała go, aby zniszczyć ich obu. Kiedy w końcu Martin odważył się wystąpić oficjalnie o rozwód, zabiła go.

- Martin wystąpił o rozwód?

- O, tak. Zadzwoił do mnie w wieczór poprzedzający dzień wypadku i zapowiedział, że przyjedzie z Ericą, aby omówić warunki finansowe rozwodu.

- Po co w takim razie zabiła go, skoro zamierzał zapewnić jej byt?

- Ponieważ w razie śmierci Martina otrzymywała o wiele więcej niż na mocy umowy rozwodowej. A zresztą w ten sposób mogła wyrządzić większe zło. Jednym ciosem dosięgła nie tylko Martina, ale również Randalla i mnie. Umilkła. Siedziała teraz nieco przygarbiona, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Sam szczerze jej współczuła, musiała jednak zadać jeszcze parę pytań.

- Dlaczego nie próbowała pani z nią walczyć, pani Myles? Dlaczego nie złożyła pani zeznań obciążających Ericę?
  - To nie miałyby sensu.
  - Przynajmniej ludzie dowiedzieliby się, kim ona jest.
  - Wcale nie. Jak wyglądały fakty? Martin był homoseksualistą, przed wypadkiem za dużo wypił, rzucił się na Ericę, pobił ją i usiłował udusić. Nie, pani Cole, każdy zdrowo myślący człowiek uznałby jego winę, a nie Eriki. Dlatego postanowiłam milczeć.
  - Nie zgadzam się z tym! Przecież pani pozwoliła jej w ten sposób zacząć wszystko od nowa i zerować na kolejnych ofiarach. Chyba nie chce pani do tego dopuścić?
  - Czego się pani po mnie spodziewa?
  - Ze pani powie prawdę! Zdemaskuje ją!
  - W tym przypadku jestem bezsilna. - Ton głosu Sidonii nie dopuszczał sprzeciwu. - Pani nie ma nawet pojęcia, do jakiego stopnia ona potrafi być bezwzględna. Po śmierci Martina Randall postanowił stawić Ericę czoło. Zawiadomił ją listownie, że nie może oczekiwać od nas więcej, niż już otrzymała. Pozwolił jej zostać w mieszkaniu do chwili wygaśnięcia terminu dzierżawy, ale potem nie chciał jej widzieć ani słyszeć o niej. W odpowiedzi wysłała mu zeszyt, który zawierał wykaz kochanków i przyjaciół Martina wraz z adresami, a nawet zdjęcia - dowód na to, że niczego nie wyssała z palca.
  - Gdyby zagroziła szantażem...
  - Nie było z jej strony ani gróźb, ani żądań. Po prostu przesłała nam te informacje. - Sidonia zdawała się nie dostrzegać teraz obecności Samanty. Mówiła jakby do siebie, do swego bólu, do martwego syna.
  - Myślałam, że Randallowi pęknie serce! Całymi nocami chodził po domu i płakał. Rozpacz i nienawiść do tej kobiety nie pozwalały mu zasnąć. Może z czasem dojdzie do siebie, ale proszę nie wymagać ode mnie, abym uczyniła coś, co przysporzy mu nowych zmartwień. Nie zniósłby tego. Ani ja!
- Powiedziała to bardzo stanowczo i Sam zrozumiała, że dalsza dyskusja nie miałaby sensu. Pożegnała się i wyszła.

\* \* \*

Noc spędziła w gospodzie w pobliżu Peterborough. Po opuszczeniu King's Lynn udała się bez konkretnego planu na zachód, obmyślając podczas jazdy kolejne kroki.

Rozmowa z panią Myles rozczarowała ją. Zamiast spodziewanego wsparcia, Sidonia zadeklarowała niewzruszoną wolę niemieszania się w tę sprawę. Wołała nie występować przeciw Ericie.

Rozsądek podpowiadał Samancie, że w pojedynkę nie może liczyć na sukces, że powinna wrócić do Marksholm i tam spróbować swych sił. Ale Sam przestała kierować się rozsądkiem, a motorem jej działania było teraz coś więcej niż tylko lojalność wobec Mary. Pokonanie Eriki stało się dla niej kwestią elementarnej sprawiedliwości.

Kolację zamówiła do pokoju. Okno wychodziło na mały zielony skwer z dębami i pomnikiem ku czci ofiar wojny. Po przeciwległej stronie skweru wznosił się kościół. Ktoś grał właśnie na organach fugę Bacha. Sam pomyślała o swoich rodzinnych stronach. Jej bliscy zrozumieliby motywy jej postępowania. James także.

Nie ulega wątpliwości, musi kontynuować to, co rozpoczęła. Ale w jaki sposób? Jaką obrać drogę? Jaką taktykę? Muzyka umilkła. Ulica rozjaśniła się światłami. Właściciel baru w gospodzie pożegnał ostatnich klientów, którzy spokojnie rozeszli się do domów. W ciszy, jaka nastąpiła, Sam przypomniała sobie słowa Sidonii Myles na temat Mary: „A może ona ma coś do ukrycia?”

Sugestia ta padała już kilkakrotnie, a Erica oczywiście nie traciła czasu. To właśnie był teren, na którym czuła się jak ryba w wodzie. Zaczynała węszyć tam, gdzie podejrzała istnienie jakiejś tajemnicy.

Sam podeszła do walizki i wyjęła sprawozdanie z przebiegu procesu, następnie zasiadła w fotelu pod oknem i zagłębiła się w lekturze. Czytała bardzo uważnie, tak jak robiłaby to zapewne Erica: szukając luk w argumentacji, błędów i niedomówień.

Usiłowała przy tym wczuć się w rolę poszczególnych świadków: Mary, pani Gideon, Trevora Soamesa, Rosy Pierce i Lidii Robarts. Przeglądając ich zeznania zaczęła wyczuwać emocje skryte pod ich słowami.

Wśród ludzi związanych ściśle z Marshallem Robartsem nie było nikogo, kto nie przyczyniłby się w jakimś sensie do jego śmierci. Każdy z nich działał w imię źle pojętej miłości.

Robarts zalecał się do Mary, dostał kosza i wtedy ożenił się dla pieniędzy z jej siostrą. Pan Quinlan był zakochany w Mary... i kochał ją nadal... ale nie został jej mężem. Pani Gideon porzuciła nadzieje na własny dom i rodzinę.

Poświęciła się siostram Slevin i musiała patrzeć, jak rozpada się życie jednej i drugiej. Rosa Pierce kochała Marshalla i utraciła go. Trevor Soames, który kochał wyłącznie siebie i w którym górę nad innymi cechami wzięło lenistwo, zaniedbał swoje obowiązki, utracił pracę i szacunek dla samego siebie. Mary, która darzyła siostrę wręcz obsesyjną miłością, zabiła w niej zdolność do stawiania czoła wyzwaniom życia. A Lidia? Kogo ona kochała? Czy w ogóle była w stanie kochać kogokolwiek?

Sam odłożyła sprawozdanie sądowe na bok.

Była teraz przekonana, że żaden ze świadków nie powiedział całej prawdy. Erica wiedziała o tym i postanowiła dowiedzieć się, co zostało zatajone. Dlatego właśnie postarała się, aby ten artykuł został opublikowany w „Heraldzie” - chciała wywrzeć nacisk na tych, którzy wystąpili w roli świadków, nastraszyć ich i zmiękczyć.

Soamesa miała już w kieszeni. Aby zrealizować swój plan, musiała jeszcze odnaleźć Rosę Pierce i złamać ją, a potem pozostało już tylko wykorzystać to wszystko przeciw pani Gideon, Quinlanowi i wreszcie - przeciw Mary.

Jedynie spoczywająca w grobie Lidia znajdowała się poza jej zasięgiem.

Ale bez Lidii nie można było poznać prawdy. Sam czuła to instynktownie.

Rozważała w myślach to, czego się dowiedziała o Lidii. Uroczą istotą o słabej woli, podlegającą zmiennym nastrojom, to podekscytowana do granic możliwości, to znów skrajnie przy-



gnębiona. Wyszła za mąż za Aidana Dermotta, zamieszkała z nim w Szkocji i urodziła dwoje dzieci, zrywając przy tym wszelkie więzi łączące ją dotychczas z Mary.

A jednak Giddy nadal utrzymywała z nią kontakt. Sam zaczęła się zastanawiać nad postawą pani Gideon, która uważała drugie małżeństwo Lidii za udane i twierdziła uporczywie, że Lidia zmarła śmiercią naturalną.

Miało nie być już żadnego gadania o samobójstwie, żadnego skandalu.

Giddy wymieniła jakiś adres w Edynburgu... Heron, Herrick? Nie, Heriot. Właśnie tak: Heriot Close.

Sam zadzwoniła do informacji, a po otrzymaniu numeru telefonu Aidana Dermotta zerknęła na zegarek. Było już po dwunastej, mimo to wystukała numer i niebawem usłyszała zaspany głos:

- Dermott.

Odłożyła słuchawkę. A więc wdowiec jest w swojej rezydencji. Jutro pojedzie na północ, aby spotkać się z nim.

## *Rozdział 2 1*

Większą część drogi przebyła w ulewnym deszczu, ale kiedy dojechała do Edynburga, niebo się przejaśniło, a przez skłębione chmury począł przebijać czysty błękit. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca zamek połyskiwał jak wypolerowane złoto, wieże kościoła rzucały ogień, a mosiężne obramowania witryn sklepowych przybrały żywą barwę bursztynu.

Wynajęła pokój w Waverley Hotel i natychmiast wyruszyła na poszukiwanie Heriot Close. Wznosił się o kilka domostw dalej w kierunku północnym i na zachód od Princes Street, okalającej wdzięcznie szary, masywny kościół. Budynki reprezentowały styl georgiański, były dobrze utrzymane, zaopatrzone w portyki i nadświetla wydłużające frontowe drzwi. Dom Aidana Dermotta mógł poszczycić się większym ogrodem niż inne.

Kiedy Sam zbliżyła się do podnóża schodów wejściowych, drzwi otworzyły się i przed próg wybiegło dwoje dzieci. Podążała za nimi kobieta w średnim wieku o miłej powierzchowności. Chłopiec, który mógł mieć około dziewięciu lat, nie wykazywał żadnego podobieństwa do rodziny Slevinów. Był ciemnowłosy i krępy. Dziewczynka mogła uchodzić za żywe odbicie portretu Lidii wiszącego w Marksholm: wiotka blondyneczka, stworzona do życia pośród kwiatów. Podskakiwała bezustannie tanecznym krokiem i wymachiwała z przejęciem rękami, jakby opowiadała jakąś pasjonującą historyjkę. Chłopiec nie odzywał się w ogóle, pogrążony w milczeniu. Minęli Samantę, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem.

Sam odwróciła się, aby rzucić okiem na dom. Został zbudowany z zachowaniem idealnych proporcji i był wspaniale utrzymany. Uwagę zwracały nieskazitelnie czyste okna i świeża elewacja. Krótki podjazd był obficie posypany żwirem. Wzdłuż bocznej ściany domu biegła szeroka, porośnięta trawą ścieżka, która wiodła do ogrodu. U jej wylotu stał ozdobny pawilon, okryty żółtymi różami.

Sam przeniosła wzrok na frontowe drzwi i dostrzegła nad nimi wyrzeźbiony w drewnie napis: NEMO ME IMPUNE LA-CESSET.

Zrozumiała sens tego motto: Nikt nie zadrze ze mną bezkarnie. Dewiza szkockich żołnierzy.

Wróciła do hotelu i ze swojego pokoju zatelefonowała do Aidana Dermotta. Kiedy usłyszała jego głos - oschły, pozbawiony miejscowego akcentu - przedstawiła się, wyjaśniła, że pracuje u Mary Slevin i zapytała, czy może spotkać się z nim w pilnej sprawie.

- A co się stało? - zapytał przezornie. - Czy panna Slevin jest chora?

- Nie, czuje się doskonale.

- W takim razie, jakiej natury jest problem, z którym pani przybywa?

- Nie mogę wyjaśnić tego przez telefon. Milczał przez chwilę, w końcu mruknął szorstko:

- No dobrze, mogę spotkać się z panią jutro rano. Proszę przyjść o dziesiątej trzydzieści.

Nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę. Aidan Dermott dawał jasno do zrozumienia, że nie rozłoży czerwonego dywanu na powitanie pracownika siostry jego zmarłej żony.

\* \* \*

- Jaki jest cel pani wizyty?

Siedzieli oboje w jego gabinecie, małym, wyłożonym boazerią pomieszczeniu w stylu regencji, którego okna wychodziły na ogród. Pokój był urządzony w sposób niewyszukany, ale luksusowy. Meble miały skórzane pokrycia, a na podłodze leżał

wytworny perski dywan. Czerwone róże na podłużnym stoliku pod ścianą i fotografia w srebrnej ramce przedstawiająca Lidię z niemowlęciem na rękę i drugim dzieckiem u boku ocieplały dość surowe wnętrze. Chłopiec wdał się w ojca, pomyślała Sam. Aidan Dermott miał ciemne włosy przyprószone siwizną, twarz pociągłą z ponurymi, głęboko osadzonymi oczyma i mocno zaciśniętymi, zdradzającymi zdecydowanie ustami. Siedział w bezruchu z nogami założonymi jedna na drugą i głową uniesioną w geście wyrażającym uprzejme zainteresowanie gościem, a zarazem obojętność. Jedyne palce poruszające się nerwowo na oparciu krzesła świadczyły o napięciu gospodarza.

- W „Heraldzie” ukazał się artykuł - zaczęła Sam, a Dermott uniósł natychmiast dłoń.

- Wiem o tym. Ale to mnie nie dotyczy. Sam nie kryła zdumienia.

- To dotyczy pańskiej rodziny.

- Pani Mary Slevin nie należy do mojej rodziny - odparował Dermott. - Uzgodniliśmy już, że nie będziemy się spotykać. Moje dzieci w ogóle jej nie znają. I mam nadzieję, że tak już pozostanie na zawsze. - Dostrzegł minę Samanty i dodał niecierpliwie: - Wyjaśniłem im, że ich ciotka popełniła przestępstwo i odsiaduje teraz karę w więzieniu. To wystarczyło. Zrozumiały, że Mary Slevin nie jest osobą, z którą należałoby utrzymywać kontakt. Głos Dermotta był spokojny i zimny. Sam poczuła, że traci panowanie nad sobą.

- Marshall Roberts uzależnił Lidię od narkotyków. Mary zastrzeliła go, aby ocalić siostrę.

Dermott parsknął wzgardliwie.

- Skoro taka teza odpowiada pani, proszę bardzo. Może pani w to wierzyć.

- Nie chodzi o to, co mi odpowiada! Dochodzenie wykazało, że taki był motyw postępowania Mary. Sugeruje pan, że istniał jeszcze jeden?

- Zazdrość - odparł zwięźle. - Zabiła tego człowieka z za-

zdrości. - Odwrócił głowę w inną stronę. - Niech teraz śpi tak, jak sobie pościeliła.

- To nie takie proste. - Sam pokręciła z wolna głową. - Jeśli wybuchnie skandal, nie oszczędzi również pana i pańskich dzieci.

Gwałtownym ruchem odwrócił ku niej głowę, zmrużył oczy.

- A dlaczego miałyby dojść do skandalu?

- Bo ten artykuł to dopiero początek wojny - wyjaśniła Sam. - Czy pan wie, że Mary gości kogoś w Marksholm?

Kobietę o nazwisku Erica Myles.

- Wiem.

- A słyszał pan również o wypadku samochodowym, w wyniku którego mąż pani Myles utopił się?

- I co z tego? - Był teraz czujny jak dziki kot.

- Erica Myles jest szantażystką, bardzo sprytną szantażystką. Artykuł w prasie to jej pomysł, ona też postarała się o zdjęcie, które umieszczono w gazecie. Zamierza wyciągnąć od Mary pieniądze.

- Nic z tego. Mary odsiedziała już swoją karę. Teraz jest chroniona przez prawo. Wystarczy, jeśli złożą na policji skargę na tę kobietę.

- Nie sądzę, aby Mary martwiła się o siebie.

- A o kogóż by innego?

- Myślę, że chodzi jej o pana i pańskie dzieci.

- Jeśli o nas chodzi, nie mamy się czego obawiać. - Jednak w jego oczach pojawił się lęk i Sam postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Panie Dermott, proszę mnie wysłuchać. - Zaczęła opowiadać o wydarzeniach ostatnich miesięcy: o wypadku, o pojawieniu się Eriki w Marksholm, o wstępnym przesłuchaniu i podejrzeniach inspektora Hogga, o zмовie Eriki z Trevorem Soamesem, o udawanej hysterii Eriki i jej kłamstwach. Na koniec zrelacjonowała rozmowę z Sidonią Myles.

- Erica Myles jest osobą bardzo niebezpieczną - dodała. - Prawdopodobnie przyczyniła się jakoś do śmierci męża, a z całą pewnością szantażowała jego i teścia. Jest psychopatką, oso-

bą pozbawioną poczucia moralności, niezdolną do zwykłych ludzkich reakcji i słabości, takich jak na przykład współczucie. Jeśli dowie się prawdy...

- Prawdy? Jakiej prawdy? - Aidan podniósł głos, jakby chciał krzykiem zagłuszyć słowa Samanty. - Wygaduje pani bzdury!

- Nie. Mówię tylko o śmierci pańskiej żony!

- Moja żona zmarła na zapalenie płuc. Taka jest prawda i nie chcę więcej słyszeć pani brudnych insynuacji...

- Krażą plotki, panie Dermott. Zapewne pan o nich wie.

- Co mnie obchodzą plotki? Kłamliwe jęzory...

- Czy ona zmarła w szpitalu?

- Gdzie tam! Lidia bała się szpitali. Miała pod tym względem złe doświadczenia. Wolała zostać we własnym domu, niż pozwolić, aby dręczył ją jakiś konował. Mogła polegać na naszej opiece.

- Naszej - to znaczy czyjej?

- Tutejszej gospodyni, panny McIntosh. Mojej. I pani Gideon.

- Giddy była tu, kiedy zmarła Lidia?

- Owszem. - Aidan przestał krzyczeć, w jego oczach pojawił się niepokój. - Co ona pani nagadała? Pewnie same kłamstwa!

- Powiedziała, że Lidia zmarła na zapalenie płuc. - Wyobraźnia podsunęła jej nagle sceny, w których Aidan kłóci się z lekarzem, nie pozwalając na przewiezienie swojej umierającej żony do szpitala. Tak wyraźnie, jakby tam była, ujrzała pokój chorej na górze, Aidana, który trzymając Lidię w ramionach, wsuwa jej do ust pastylkę i podaje wodę do popicia. Było w tym coś niewłaściwego, coś, o czym ktoś wspomniał kiedyś Samancie, lecz ona nie mogła sobie przypomnieć, o co dokładnie chodziło. Patrząc badawczo na Aidana zapytała: - Czy ona przyjmowała jakieś leki? Nie odpowiedział. Kąciki jego ust opadły, a wyraz twarzy świadczył, że cofa się pamięcią w przeszłość.

- Panie Dermott - powtórzyła Sam. - Czy ona brała jakieś lekarstwa?

Zaczerpnął głęboko tchu.

- Naturalnie! Podawaliśmy jej leki na zmianę: ja albo pani Gideon. - Przetarł sobie oczy dłonią. - Nic nie pomogło. Po trzech dniach umarła.

Wielki dom opustoszał. Dzieci, w tym jedno niemowlę, zostały osierocone, zdane wyłącznie na opiekę gosposi, podczas gdy ojciec rozpacział. Mary przebywała w tym czasie w więzieniu, ale gdy wyszła na wolność, Aidan nie nawiązał z nią żadnego kontaktu, nie próbował jej pocieszyć ani nie szukał u niej pociechy. Nawet śmierć Lidii nie skłoniła go do pojednania się z tymi, którzy ją kochali.

Dermott podniósł głowę, spojrzał na Sam.

- Proszę już iść - szepnęła. Sam wstała.

- Jeśli pojawi się tu Erica Myles, niech pan nie dopuszcza jej do siebie - poradziła. - Spróbuję znaleźć jakiś sposób, aby ją powstrzymać. W odpowiednim czasie skontaktuję się z panem.

Aidan nie odpowiedział. Sam skierowała się do wyjścia. Na zewnątrz powitał ją cichy niedzielny poranek.

\* \* \*

Resztę dnia spędziła na wędrowce po mieście. Zwiedziła Zamek i Muzeum Antyków, ale nie zapamiętała z tego wiele. Jej myśli nie przestawały krążyć wokół osoby Aidana Dermotta.

Rozważała wszystko, co powiedział. Nienawidził Mary - to było aż nadto widoczne. Uważał, że skoro zabiła człowieka, musi być potępiona na zawsze. To kalwińskie podejście do życia wydało się jej wstrętne. Z drugiej strony, nie wątpiła w jego słowa. Aidan Dermott był mężczyzną prawdomównym.

W każdym razie kochał Lidię, ożenił się z nią, a w ostatnim okresie jej życia opiekował się nią ofiarnie. W dalszym ciągu zresztą pamiętał o niej i otaczał ją najwyższą czcią.

Ale w takim razie, dlaczego aż tak bardzo nienawidził Mary, która starała się ochraniać Lidię?

Najprawdopodobniej był przekonany, że zabijając Robartsa Mary kierowała się innym motywem niż troska o siostrę. Za-

zdrość - tak powiedział. Zazdrość o mężczyznę, który zajął jej miejsce w sercu Lidii? Tak, to możliwe. Kiedy Mary odkryła, że jej siostra zażywa narkotyki, nie poszła z tym na policję. Stała twarzą w twarz z Robertsem i zabiła go. Zdobyła się na to, aby obejść dzielące ich biurko, wymierzyć starannie i oddać dwa strzały z bliskiej odległości.

Różnica pomiędzy morderstwem i zabójstwem bywa często trudna do uchwycenia, ale w przypadku Mary nigdy nie wysunięto próby o łagodniejszy wymiar kary. Została uznana winną morderstwa.

Opinia publiczna dopatrzyła się okoliczności łagodzących. Inni... na przykład Trevor Soames lub Aidan Dermott... określili te okoliczności jako nie związane ze sprawą. Ich zdaniem Mary zabiła z zimną krwią, ulegając nienaturalnej i obsesyjnej miłości.

Wszystko sprowadzało się w końcu do tego samego motywu.

Czy zawsze musi tak być, kiedy trzeba określić stopień winy lub niewinności? Czy można w ogóle uniknąć osądu subiektywnego, nawet wtedy, gdy znane są wszystkie fakty? Czy ścisła literatura prawa jest w stanie uwzględnić właśnie tę normalną ludzką ułomność, jaką jest niezdolność do pełnego obiektywizmu? Czy potrafi ustalić, jak należałoby potraktować oskarżonego: wydać na niego wyrok czy też oddalić oskarżenie?

Instynkt podpowiadał Samancie, że Mary Slevin nie jest zdolna do umyślnego okrucieństwa. Gdyby to zależało od Sam, Mary zostałaby uniewinniona.

Dla Aidana Dermotta liczyły się wyłącznie fakty: zastrzelony mężczyzna, zrujnowane życie Lidii oraz groźba izolacji społecznej, wisząca nad jego dziećmi. Wyraźnie potępiał Mary.

Sąd po rozpatrzeniu sprawy skazał Mary na karę więzienia. Opinia publiczna uznała, że jest ona niewinna. Ale co będzie, jeśli okaże się, że istnieją fakty nie ujawnione do tej pory przed sądem? Trevor Soames twierdził, że tak właśnie jest.

W jaki sposób można dociec prawdy? Ludzie mogą odpowiadać na pytania nie kłamiąc, a mimo to nieświadomie



- a nieraz nawet z rozmysłem - nie ujawniając wszystkiego. Mogą też celowo fałszować prawdę.

Pani Gideon nie powiedziała wszystkiego na temat ostatniej choroby Lidii. Nie wspomniała nawet jednym słowem, że gościła w domu Dermottów, kiedy umierała Lidia. Dlaczego czyniła z tego tajemnicę? Może opowiadanie o ostatnich dniach życia Lidii kosztowałoby ją zbyt wiele? Albo też bała się powiedzieć zbyt dużo? Ale czego miałyby się bać? Pomiedzy zabójstwem Marshalla Robartsa i śmiercią Lidii Dermott nie było przecież żadnego związku! Oba wydarzenia były oddalone od siebie o wiele lat!

Mary Slevin siedziała w celi, kiedy jej siostra umarła, a wszelkie kontakty pomiedzy nimi ustały parę lat wcześniej. A jednak musi istnieć związek między jednym a drugim, myślała Sam. Jakaś nić łącząca.

Aby ustalić prawdę, trzeba poznać wszystkie fakty i emocje, które wywarły wpływ na ostatnie tygodnie życia Marshalla Robartsa. To zaś, po upływie tylu lat, wydawało się już niemożliwe. Można było jedynie snuć przypuszczenia i szukać jakiejś drobnej szczeliny, przez którą przeniknąłby promyk prawdy. Jedna szansa na milion, doszła do przekonania Sam. A jednak muszę zaryzykować.

## *Rozdział 2 2*

W drodze powrotnej na południe wyruszyła we wtorek. W Cambridge wynajęła pokój w małym hotelu przy Silver Street i zatelefonowała do Mary.

- Jestem u Latimera - powiedziała.
- Co jeszcze pani zwiedziła oprócz Londynu?
- Północ. Widziałam katedrę św. Piotra i katedrę w Durham, ale trafiłam na paskudną pogodę. Posiedzę tu jeszcze parę dni, rzucę okiem na uniwersytet. Dziś wieczorem odbędzie się koncert z udziałem chórów. A co słyhać w Steeple?
- Zupełny spokój. Pat dzwonił ze Sieny. Za kilka dni wraca. Przesyła ci pozdrowienia.
- Dziękuję. Jak Erica?
- W tym tygodniu pracuje w Market. - Głos Mary był beznamiętny, najwidoczniej nie zamierzała przedłużać rozmowy.

Sam pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Po namyśle wystukała numer domowy inspektora Hogga. Telefon odebrała jakaś kobieta. Oświadczyła, że poprosi inspektora i niebawem w słuchawce rozległ się głos Hogga. Nie wydawał się zaskoczony.

- Pani Cole? Jak się pani miewa?
- Wszystko w porządku, dziękuję. Przepraszam, że zakłócam panu spokój w domu.
- Nic nie szkodzi. Strzygłem trawnik. Przynajmniej jakiś pretekst, aby zrobić przerwę. Czym mogę służyć?
- Czy udało się panu trafić na ślad Rosy Hutton?

- Jeszcze nie. Sądzę, że razem z mężem przeprowadziła się do Hampshire. Pracuję nad tym.

- Mogę w czymś pomóc?

- Nie - odparł krótko. - Hutton to często spotykane nazwisko w Zjednoczonym Królestwie. Lepiej będzie, jeśli ja się tym zajmę.

- Oczywiście. - Świadomość, że Hogg nie wycofał się ze swej obietnicy, podniosła Samantę na duchu. Czowała się teraz mniej samotna. Na pożegnanie podała inspektorowi numer telefonu swojego hotelu i odłożyła słuchawkę.

Tego wieczoru przejrzała po raz trzeci otrzymane od Quinlana sprawozdanie z procesu, koncentrując się na tych fragmentach zeznań, które dotyczyły momentu zastrzelenia Marshalla. Wniosek nasuwał się tylko jeden i pokrywał się z orzeczeniem sądu: Mary Slevin wystrzeliła kilkakrotnie z broni palnej, zabijając Robartsa. Mary przyznała się do winy, potwierdzały to również zeznania świadków. Chyba to niemożliwe, aby wszyscy kłamali?

Sam usiłowała sobie wyobrazić Marksholm w ów wieczór, kiedy popełniono morderstwo. Ulewa i przeraźliwy ziąb, wezbrana rzeka zaciekle napiera na groble, Giddy biegnie odszukać Mary, Lidia leży na piętrze pogrążona w narkotycznym śnie, Marshall Robarts podjeżdża do stodoły, wchodzi, zapala światło, idzie do rupieciarni po ukryte tam narkotyki... i Mary z bronią w ręku, która biegnie co tchu przez ogród, aby stawić szwagrowi czoło. Jeszcze parę chwil i ciszę rozdzierają strzały...

Sam ocknęła się z zadumy. Z lustra toaletki patrzyły na nią jej własne, pełne przerażenia oczy.

Weszła do łazienki, wzięła gorącą kąpiel, umyła zęby, zażyła dwie tabletki aspiryny, po czym wskoczyła do łóżka i sięgnęła po ostatni list Jamesa, leżący na nocnym stoliku. Przeczytała go dwa razy, usiłując odpędzić upiory przeszłości. W końcu zapadła w sen, nadal trzymając w zaciśniętej dłoni list od męża.

W środę tuż po śniadaniu Sam udała się do redakcji „Heralda”. Nie chcąc jeszcze odkrywać kart, wpisała się do rejestru interesantów swoim panieńskim nazwiskiem Fairfax i zapytała, czy może przejrzeć stare roczniki pisma. Skierowano ją do działu archiwów i pokazano, w jaki sposób obsługuje się przeglądarkę mikrofilmów. Bez trudu znalazła film na temat procesu Mary Slevin i zaczęła przesuwając go z wolna, nie opuszczając żadnego słowa. Większość sprawozdań wyszła spod pióra Lawrence'a Kinga, który zajmował się w owym czasie sprawami kryminalnymi. Sam nie doczytała się w nich nowych faktów, zmieniła jednak dzięki nim swoją opinię o ludziach związanych z tą tragedią.

King przedstawiał Mary jako kobietę, jakiej Sam dotychczas nie znała: młodą, stanowczą, dominującą nad swoim otoczeniem, święcie przekonaną o słuszności wszystkich swoich poczynań. W opinii Kinga była owładnięta obsesją, która doprowadziła ją niemal do stanu obłądzenia. W jednym ze sprawozdań King wspominał, że obrona zamierzała przedstawić Mary jako osobę niepoczytalną.

Panią Gideon opisywał jako wieśniaczkę o skromnym wykształceniu, skrytą, upartą i na tyle stronniczą, że niewiarygodną. Giddy, jak się wydawało, nie ułatwiała zadania prasie w trakcie procesu. Rzuciła się na reportera, który skierował obiektyw na Lidie, uderzyła mężczyznę w twarz i zniszczyła aparat.

W niekorzystnym świetle został też ukazany Trevor Soames. Jak wynikało z doniesień, był to człowiek złośliwy, który w karygodny sposób atakuje rodzinę Slevinów, a poza tym usiłuje wykręcić się od odpowiedzialności za stan zdrowia Lidii.

Fotografie Rosy Pierce i Lidii Robarts umieszczone były obok siebie. Pierwsza z nich - czarnowłosa, o zuchwałym spojrzeniu - patrzyła prosto w obiektyw, podczas gdy Lidia, krucha i wystraszona, biegła do samochodu z pochyloną głową. King ukazał je obie w sposób nie budzący wątpliwości: tak wygląda kochanka Marshalla, a tak jego żona.

\* \* \*

O trzeciej Sam wyszła z redakcji, po czym udała się na spacer mostem Królewskim i wzdłuż nabrzeża. Tu zjadła lunch, napawając się widokiem soczystych trawników i pięknej architektury. Była rozkojarzona i ogarnął ją smutek. Po raz pierwszy uświadomiła sobie w pełni, czym grozi prowadzone przez nią dochodzenie. Odgrzebywanie przeszłości mogło zniszczyć życie wielu osób.

A jednak nie wolno jej było dać za wygraną, chociażby dlatego, że Erica nie zejdzie z raz obranej drogi.

W hotelu czekała na nią wiadomość: inspektor Hogg prosił, aby zadzwoniła do niego do domu po szóstej. Zrobiła tak i dowiedziała się, że Hogg trafił na ślad Rosy Hutton.

- Harry Hutton nadal działa w swoim zawodzie - poinformował inspektor. - Jest właścicielem apteki przy Hoop Street w Windlesford. To w Hampshire, nieco na południe od Basingstoke.

- Czy Rosa jest tam z nim?

- Jak najbardziej. Powiedziano mi, że pomaga mu za ladą. Sam zaczęła dziękować za pomoc, on jednak przerwał jej w pół zdania.

- Chwileczkę, pani Cole. Chciałbym się dowiedzieć, co pani teraz zamierza.

- Chciałabym porozmawiać z panią Hutton.

- A to po co?

- Rosa była razem z Marshalllem - tłumaczyła powoli Sam - kiedy owego wieczoru dwukrotnie dzwonił do swojej żony.

- Przebywała w jego mieszkaniu, to wszystko.

- Musiała słyszeć wszystko, co mówił.

- W zeznaniach zaprzeczyła temu. Przysięgała, że była wtedy w innym pokoju. I jeśli się nad tym dobrze zastanowić, ma to sens. Mężczyzna nie chce, aby jego kochanka słyszała, jak on błaga żonę o zgodę na powrót do domu.

- A jeśli ona skłamała, inspektorze? Jeżeli słyszała, jak Marshall błaga Lidię? Czy nie mogłaby wtedy wpaść w szal zazdrości?

- Jeśli, gdyby... to tylko domysły - odparł Hogg obojętnym tonem. - Pozwoli pani, że udzielię jej rady. Po pierwsze, nie wymyśli pani nic ponad to, co inni ustalili już przedtem. Po drugie, ludzie chronią swoją prywatność, a prawo im w tym pomaga. Nie może pani zjawić się po prostu u Rosy Hutton, zasypać ją pytaniami, a potem oskarżyć ją. Tym sposobem napytałaby pani sobie prawdziwej biedy. Proszę pamiętać, że Rosa jest mężatką i ma dwoje dzieci, o które musi się troszczyć. Prawdopodobnie każe pani wynosić się do diabła, a jeśli to zrobi, radziłbym spełnić to życzenie.

- Będę bardzo ostrożna, przyrzekam.

- Mam nadzieję. - Hogg westchnął ciężko. - Naprawdę mam nadzieję, że nie popełni pani żadnego głupstwa.

Windlesford było typowym prowincjonalnym miasteczkiem z dziesięcioma tysiącami mieszkańców, położonym w bogatym zakątku Hampshire. Jego główna ulica, The Pike, ciągnęła się od Golden Pig na wschodzie do Fox and Fiddle na zachodzie. Pomiedzy nimi widać było pieczołowicie zadbaną zieleń, dwa kościoły, duży dom handlowy oraz ciąg eleganckich sklepów. Wśród parkujących przy krawężniku samochodów przeważały BMW i jaguary, był też rolls i porsche.

Hoop Street, pierwsza przecznica na północ od The Pike, stanowiła siedzibę rozmaitych firm i instytucji. Apteka Huttona sąsiadowała z kancelarią adwokacką oraz gabinetem dentystycznym. Na parterze białego domu mieścił się sklep, a wyższe piętra przeznaczone były na mieszkania. Wąski wjazd prowadził na placyk za domem, gdzie stały dwa rowery z przyczepkami oraz ciężarówka.

Wszędzie panowała cisza. O tej porze większość ludzi jadła lunch. Sam stanęła przed oknem wystawowym apteki i zajrzała do środka. Półki były zastawione buteleczkami i flakonikami, najprzeróżniejszymi artykułami medycznymi oraz kosmetykami i sprzętem fotograficznym. Na zapleczu znajdowała się poradnia, zalana białoniebieskim oświetleniem neonowym.

Wyglądało na to, że Harry'emu Huttonowi powodzi się całkiem nieźle.

Sam pchnęła drzwi, weszła głębiej i rozejrzała się. W tej chwili była jedyną klientką. Młody mężczyzna za ladą wyjmował ze styropianowego opakowania aparaty fotograficzne. W poradni jakaś starsza kobieta w białym kitlu porównywała leki z danymi na wydruku komputerowym. Podniosła wzrok na Samantę, natychmiast wstała i podeszła bliżej.

- Dzień dobry pani. Czym mogę służyć?

- Chciałabym zamienić parę słów z panią Hutton.

- Bardzo mi przykro, ale pani Hutton jest chora. Ma grypę.

- A może zastałam pana Huttona?

- Niestety nie. Jest w tej chwili na zebraniu i nie wróci przed trzecią. Jeśli potrzebna jest pani recepta lub lek...

- Nie, to sprawa natury osobistej. Uśmiech powoli zniknął z twarzy kobiety.

- W takim razie musi pani poczekać, aż wróci pan Hutton. Sam sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej kopertę ze zdjęciem Mary i Eriki.

- Mogłabym prosić o przekazanie tej koperty pani Hutton?

- Co to takiego? - Mina kobiety wyrażała teraz jawną niechęć.

- Fotografia.

- Jaka fotografia? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, kobieta zaczepnie nachyliła się do przodu. - Czy pani jest z prasy?

- Nie. Czy zrobi pani to, o co prosiłam?

Kobieta zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez chwilę. W końcu wyciągnęła rękę, wzięła kopertę, podeszła do drzwi z drugiej strony poczekalni i zniknęła za nimi. Sam czekała. Po paru minutach kobieta zjawiała się z powrotem i oschle kiwnęła głową.

- Może pani wejść na górę.

Sam otworzyła drzwi i po schodach weszła na piętro, do mieszkania państwa Hutton.

### *Rozdział 23*

Mimo ciepłej pogody dwa wysokie okna były zamknięte. W salonie panował niezdrowy zaduch zmieszany z intensywnym zapachem lilii stojących w wazonie na kominku.

Kobieta siedząca twarzą do drzwi była wyjątkowo gruba. Jej twarz sprawiała wrażenie nabrzmiałej. Podwójny podbródek, pulsujący miarowo, upodabniał ją do żaby, białe ręce spoczywały bezwładnie na rzeźbionej poręczy krzesła. Kobieta nie zadała sobie trudu, aby powitać gościa jakimś słowem czy gestem. Sama podeszła bliżej i zorientowała się, że owa nieruchoma poza nie jest wyrazem opanowania i niechęci, lecz strachu. W ciemnych oczach Rosy Hutton widniał paniczny lęk.

Sam z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Pani Hutton? Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć. Jestem Samanta Cole.

Rosa potrząsnęła głową, odrzucając wszelkie grzeczności. Pulchną ręką, w której trzymała fotografię, pomachała kilkakrotnie w powietrzu.

- Skąd pani to wzięła?

Doskonale, pomyślała Sam. Chcesz rozegrać to w ten sposób? Proszę bardzo.

- Pracuję dla Mary Slevin - odparła głośno.

- To ona panią przysłała? -Nie.

- A więc ta druga suka?

- Nikt mnie tu nie wysłał, pani Hutton. Przyjechałam z własnej inicjatywy.



- Po co? Czego pani chce?
  - Chcę porozmawiać z panią o artykule, który ukazał się w „Heraldzie” w ubiegłym tygodniu. Czytała go pani? Rosa nie odpowiedziała. Siedziała bez ruchu, z zaciśniętymi ustami.
  - Czytała pani ten artykuł, pani Hutton?
  - Jest pani po ich stronie, prawda? - Wyrzuciła z siebie te słowa gwałtownie, jakby pod wpływem nagłego impulsu. - Po stronie tej suki?
  - Ma pani na myśli Erkę Myles?
  - Chciec mnie nastraszyć! Zmusić, abym gadała! To wam się nie uda, słyszy pani? To się nie uda!
  - Czy dała jej pani fotografię Mary Slevin i Pata Quinlana?
  - Skądże znowu! Sprzedałam to zdjęcie parę lat temu. Zresztą co mnie obchodzi taka stara fotografia! Nie chcę już mieć z nią nic wspólnego. Koniec z tym. Mam swoje życie!
  - Erka Myles zniszczy je, jeśli nie stawimy jej czoła.
  - Przyzwoity dom, porządny mąż, dwóch wspaniałych synów. - W oczach Rosy zalśniły łzy. - Dlaczego nie można nas zostawić w spokoju? Po co ciągle wracać do tamtego?
  - Erica Myles to szantażystka.
  - Nie mamy pieniędzy, przynajmniej tych wielkich. Kiedy ureguluje się wszystkie opłaty... za dzieci w szkole i inne...
  - Może jej nie chodzi o pieniądze, tylko o informacje.
  - Nie mam nic do powiedzenia.
  - Ale ona tu była, prawda? - nie ustępowała Sam.
  - Niech pani ją zapyta!
  - W ten sposób tylko ułatwiłabym jej zadanie.
- Spokój Samanty zdawał się wyprowadzać Rosę z równowagi. Wzięła fotografię i cisnęła ją na podłogę pod nogi gościa.
- Niech pani zabiera to i wynosi się z mego domu!
- Taką właśnie sytuację przewidywał Hogg. Sam podniosła zdjęcie, włożyła je do torebki i spojrzała Rozie prosto w oczy.
- Niech pani posłucha - powiedziała. - Nie należę do ludzi, którzy mogliby współpracować z taką kreaturą jak Erica Myles. Moim zdaniem, jej miejsce jest w więzieniu. Dużo bym da-

ła, aby wsadzić ją za kratki, ale bez pani pomocy jestem bezsilna.

Rosa nie słuchała. Szlochała rozpaczliwie, całym jej ciałem wstrząsały spazmy.

- Jestem taka zmęczona! - łkała. - W nocy nie mogę zmrzyć oka, cały czas czekam tylko, kiedy zadzwoni ten cholerny telefon!

- To ona dzwoni do pani?

- Bez przerwy. Prowadzimy aptekę, nie możemy więc wyłączyć telefonu. Musi być stale czynny, ktoś może przecież potrzebować pomocy. Tymczasem ona wydzwania do nas o każdej porze dnia i nocy. Nigdy się nie odzywa, ale ja wiem, że to ona. Bóg jeden wie, jak nas znalazła!

Lawrence King, pomyślała natychmiast Sam, ale nie powiedziała tego na głos. Rosa znalazła chusteczkę, wytarła sobie oczy i przeniosła na Sam apatyczny wzrok.

- Wygląda pani na godną zaufania, ale Harry powiedział, żeby nie wierzyć nikomu.

- Mnie może pani zaufać.

- Nie wiem, nic już nie wiem. Całe moje życie przewróciło się nagle do góry nogami. Tęsknię za moimi dziećmi.

Harry odesłał je do ciotki w Exeter. Tam będą bezpieczne.

- Ale nie mogą przebywać u ciotki wiecznie, prawda? - Sam postanowiła nie oszczędzać Rosy. - Erica Myles wie, że dzięki nim mogłaby panią pokonać. Założę się, że już pani groziła, czyż nie?

Rosa przytaknęła. Jej dłonie drżały teraz jak w febrze. Sam ujęła je i ścisnęła oburącz, aby dodać jej otuchy.

- Co ona jeszcze powiedziała, pani Hutton?

- Przyjechała... to było w zeszły wtorek. Siedziałam w domu sama. Harry zabrał dzieci w poniedziałek do Exeter, powiedział, że tak będzie najlepiej. Więc siedziałam sama i nie byłam przygotowana... nie na taką niegodziwość. - Słowa posypały się jedno po drugim niepowstrzymanym potokiem. - Początkowo była słodka jak miód.

Oświadczyła, że jest znajomą Harry'ego ze Stowarzyszenia Fotografików. Wiedziała o nim na-

prawdę dużo. Niezle mnie nabrała, nawet poczęstowała ją kawą. Potem w jednej chwili zmieniła się. Zaczęła mówić o tym dniu, kiedy... kiedy umarł Marshall. Oświadczyła, że wie, iż sypiałam z nim. Obiecała, że zapłaci mi niezle, jeśli opowiem jej to i owo, ponieważ chce napisać o tym wszystkim. Odparłam, że nie dotknęłabym nawet jej brudnych pieniędzy i poprosiłam, żeby wyszła, ale ona roześmiała mi się w twarz. Powiedziała, że jeśli nie zrobię tego, czego ode mnie oczekuje, wybuchnie olbrzymi skandal. Ona już dopilnuje, żeby gazety nie zostawiły na mnie suchej nitki, a moje dzieci dowiedziały się, jaką jestem kobietą.

- Prawo karze szantaż, pani Hutton.

- Prawo... Czy można wierzyć w prawo? Czy powstrzymałoby ludzi przed wytykaniem mnie na ulicy palcami? A moje dzieci? Jak czułyby się potem w tym mieście, gdzie wszyscy się znają? Jak czułyby się w szkole, wśród złośliwych szeptów i śmiechów?

- Czy powiedziała pani o czymś Ericie Myles? Rosa uniosła głowę.

- Powiedziałam, że jeśli nie wyniesie się natychmiast, wezwę gliny. Znowu parsknęła śmiechem, ale tym razem poszła.

- I od tamtej pory wydzwania do pani?

- Tak. Harry uważa, że powinnam powiadomić policję, ale nie mogę tego zrobić. Już raz przeszłam to piekło i nie chcę przeżyć go ponownie.

- Ale skoro to jedyny sposób, aby położyć kres tym szykanom...

- Nie! Powiedziałam już, że nie chcę! I nikt mnie do tego nie zmusi!

Grymas jej twarzy wyrażał bolesną udrękę i Sam zapytała łagodnie:

- Pani go naprawdę kochała, prawda? Rosa kiwnęła głową.

- Tak, kochałam całym sercem. Byłam młoda i głupia. Myślałam, że przeprowadzi rozwód z żoną, a potem ożeni się ze mną. Byłam... byłam wtedy ładna, wie pani?

- Ale nie miała pani pieniędzy. A dla Marshalla liczyły się głównie pieniądze, czyż nie? Nie miał zamiaru żegnać się z milionami Slevinów. Wyobrażam sobie, jakie to musiało być dla pani okropne, gdy błagał żonę, aby przyjęła go z powrotem.

Rosa potrząsnęła głową. Siedziała kołysząc się jednostajnie w przód i w tył.

- Nie słyszałam tego, nigdy tego nie słyszałam.

- Słyszała pani, jak dzwonił tamtego wieczoru do Lidii. Słyszała pani, jak błagał ją, aby zapomniała o tym, co było, i żeby zaczęli wszystko od początku. Wtedy zrozumiała pani, że go utraciła. I to musiało doprowadzić panią do pasji, wzbudzić nienawiść... nie tylko do niego, ale również do niej.

Rosa znieruchomiała nagle na krześle. Jej czarne oczy zabłyśły.

- Nienawidziłam ich wszystkich - powiedziała cichym głosem. - Pragnęłam, aby umarli. Wszystkim im życzyłam szybkiej śmierci.

- I wtedy, kiedy Marshall wyszedł z mieszkania, zadzwoniła pani do Lidii. To był ten drugi telefon.

- On po prostu wyszedł - mówiła Rosa. - Wyszedł bez słowa. Wiedział, że słyszałam ich rozmowę, ale zupełnie go nie obchodziło, co czuję. Po prostu wyszedł jakby nigdy nic i zostawił mnie samą. Dlatego zadzwoniłam do Lidii.

Zadzwoniłam i powiedziałam jej wszystko, całą prawdę.

- O sobie i Marshallu?

- O jej ukochanej siostrzyczce Mary i o Marshallu. Powiedziałam, że oboje robią to od miesięcy. Marshall uganiał się za Mary na długo przed ożenkiem z Lidią, a kiedy Lidia zachorowała, wrócił do niej. Myślał, że jestem ślepa, że mnie nabierze, ale ja wiedziałam doskonale, co mu chodzi po głowie. Któregoś dnia zaczęłam go śledzić. Wsiadł do pociągu i pojechał do Londynu. W „Hiltonie” spotkał się z Mary i spędził z nią noc. Następnym razem spotkali się w Ely, kiedy indziej znowu w Newmarket. - Rosa uderzyła dłońmi w poręcz krzesła. - Ta pani wspaniała święta Mary nie była niczym innym jak tylko zwykłą dziwką!

- Czy pani przypadkiem nie zapomina, że to Mary wygnała go z Marksholm?

- Tylko dlatego, że chciał z nią zerwać. Zamierzał wrócić do Lidii. Mary omal nie oszalała z zazdrości i dlatego tamtego wieczoru wystrzeliła do niego trzy razy. Taka jest prawda.

W głosie Rosy zabrzmiała wyraźnie satysfakcja. Sam wpatrywała się w nią wstrząśnięta.

- Była pani zadowolona z takiego obrotu sprawy, prawda?

- Tak. Cieszyłam się! Cieszyłam się, że on nie żyje! Wykorzystywał mnie jako parawan, aby ukryć fakt, że kręci z Mary Slevin. Był wyrachowanym, kłamliwym, podłym sukinsynem i ucieszyłam się, kiedy zginął.

- Pani też skłamała. Złożyła pani na policji fałszywe zeznanie na temat tych rozmów telefonicznych.

- Tak, to prawda! Skłamałam, ale tylko dlatego, że nie chciałam grzęznąć w tym całym bagnie. Wiedziałam, że jeśli zeznam mądrze, policja zostawi mnie w spokoju.

- Kłamała pani, aby ratować własną skórę - zawołała Sam zirytowana. - Słyszała pani, jak Marshall błaga żonę o jeszcze jedną szansę, i zorientowała się, że go utraciła. Miała pani nie mniej istotny motyw niż Mary.

- Ale to nie ja go zabiłam, lecz ona! Nikt nie może powiedzieć, że było inaczej, a jeśli pani spróbuje tu coś przekreślić, pani spryciaro, wyprę się wszystkiego, zaprzeczę każdemu słowu! I na tym koniec.

- Nie! - Sam trzęsła się z gniewu. - Nie pozwolę, aby tak się to zakończyło! Nie dopuszczę do tego, aby uszło to pani na sucho! Znajdę jakieś wyjście!

Nachyliła się po swoją torbę, a kiedy wyprostowała się z powrotem, zobaczyła stojącego w progu drobnego, siwowłosego mężczyznę w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze. Ruszył ku niej z uśmiechem.

- Pani Cole? Miło mi panią poznać. Jestem Harold Hutton. Uścisnął jej dłoń, następnie podszedł do żony i cmoknął ją w czoło. Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś już w domu, Harry.

- Elizabeth zadzwoniła do mnie - wyjaśnił. - Przyjechałem natychmiast. I dobrze zrobiłem! Widzę, że ta rozmowa bardzo cię zmęczyła. Powinnaś iść do siebie i zdrzemnąć się trochę.

- Wiesz dobrze, że nie będę mogła zasnąć. - Rosa uderzyła w ton słabej kobietki.

Harold pogłaskał ją po pulchnym ramieniu.

- Owszem, będziesz mogła, moja droga. Weź jedną tabletkę i połóż się. - Pomógł jej wstać z krzesła. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Porozmawiam przez chwilę z panią Cole i wyjaśnię wszystko. Idź już, bądź grzeczna.

Z kwaśną miną, powłócząc nogami niczym nadaśane dziecko, Rosa wyszła z pokoju.

Harold Hutton zwrócił się do Samanty:

- Teraz możemy spokojnie pogawędzić. Wygodniej będzie nam chyba na dole, w moim gabinecie. Zechce pani pójść za mną? Wskażę drogę.

## Rozdział 24

Czego się pani napije? Herbaty? A może czegoś mocniejszego? Przeżyła pani straszliwy szok, biedactwo! Głos brzmiał przyjaźnie, ale nie zdołał zwieść Samanty. Zza grubych szkieleł spoglądały na nią zimne, przenikliwe oczy. Muszę mieć się przed Huttonem na baczności, pomyślała.

- Ile pan usłyszał z naszej rozmowy? - zapytała. Hutton usiadł, nie spuszczać z niej wzroku.

- Prawie wszystko - odparł. - Elizabeth... moja asystentka z poradni... zadzwoniła do mnie. Przyjechałem w ciągu pięciu minut. Usiadłem na schodkach i słuchałem. Ale nie dowiedziałem się niczego nowego. Postąpiła pani niewłaściwie, grożąc Rozie. To nie ona zabiła Robartsa. Czasem brakuje jej trochę rozumu, przyznaję, ale nie jest typem mordercy.

- Powinna była zeznać na policji prawdę o tamtych rozmowach telefonicznych.

- Naprawdę tak pani myśli? Gdyby to zrobiła, nie tylko sama wpędziłaby się w kłopoty, ale zaszkodziłaby również pani przyjaciółce. Mary Slevin zostałaby skazana nie na sześć, a na piętnaście lat więzienia. Co innego zrozpaczona kobieta, chroniąca w desperacki sposób swą biedną siostrzyczkę, a co innego zazdrosna kochanka, która zabija wiarołomcę...

- Nie wierzę w to.

- Bo nie chce pani wierzyć. Prawda nie odpowiada pani, czyż nie?

- Znam Mary.

- Czy rzeczywiście? Znacnie się panie od... przepraszam, od

jak dawna? Od roku? A ja znam moją Rosie o wiele dłużej. Zakochałem się w niej, kiedy chodziła jeszcze do szkoły. Musiałem uzbroić się w cierpliwość, przeczekać te wszystkie bzdurne wybory królowej piękności, na których młodzi ludzie nie dawali jej spokoju. No a potem związała się z Robartsem. Była to dla mnie niezwykle ciężka próba, ale nie dałem za wygraną. Dopiero po jego śmierci i po procesie mogłem się jej oświadczyć. Zgodziła się wyjść za mnie. Wyjechaliśmy z Market i trochę podróżowaliśmy tu i tam, aż wreszcie osiedliliśmy się tutaj, w Windlesford. Jesteśmy udanym małżeństwem, mamy dwóch wspaniałych synów, ładny dom, przyzwoite dochody. Można powiedzieć, że dopisało nam szczęście. Niestety, moja Rosie żyje w ustawicznym strachu. Lęka się, że któregoś dnia zjawi się ktoś z przeszłości i zniszczy wszystko, co osiągnęła. Dawno temu, kiedy policja aresztowała Mary Slevin, ostrzegłem Rosie. Powiedziałem jej, że nigdy nie zazna spokoju, jeśli nie złoży zeznań zgodnych z prawdą. Nie posłuchała mnie. Ubzdurzyła sobie, że wystarczy trzymać język za zębami, a wszystko będzie w porządku. Szkoda, wielka szkoda, że zmieniła zdanie. Wypaplała pani wszystko, co wiedziała, prawda?

- Lepiej, że mnie niż Erice Myles.

- Co za różnica? Dobrze słyszałem, co pani mówiła, pani Cole. Zamierza pani wykorzystać te informacje, może nie?

- Owszem. Żeby powstrzymać Erkę Myles.

- I nie przeszkadza pani świadomość, że może przy tym zrujnować życie moje, Rosie i naszych dzieci? Ale ja nigdy nie dopuszczę do tego. Nie pozwolę nikomu, aby skrzywdził naszą rodzinę.

- Nie może mnie pan powstrzymać...

- Owszem, mogę. - Hutton wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął na wierzch kasetę magnetofonową. - Mam na tej taśmie wszystko, całą pani rozmowę z Rosie. Jeśli nie zaniecha pani natychmiast rozgrzebywania tamtej sprawy, przekażę kasetę prasie. Gdybyśmy poszli na dno, to razem z Mary Slevin.

- Jej sprawa została zamknięta. Mary nie może być sądzona po raz drugi.



- Zgadza się, nie przez wymiar sprawiedliwości. Ale co z opinią publiczną? Co powiedzą ludzie, kiedy dowiedzą się, że szacowna pani Slevin sypiała z mężem własnej siostry? Jak długo jeszcze pozwolą jej w tej sytuacji kontynuować działalność Fundacji? Jak długo jeszcze będą ją wspierać jej protektorzy? Jak długo jeszcze pozostaną przy niej przyjaciele? Nie, pani Cole, za późno już na składanie uczciwych zeznań. Musimy zachować milczenie, i my, i pani. Co było, to było.

- Czy pan tego naprawdę nie rozumie? Może pan uciszyć mnie, ale nie zamknie pan ust Erice Myles! Ona nadal będzie kopać pod wszystkimi, dopóki nie osiągnie tego, co...

- Prawo karze szantażystów.

- Erica nie jest zwykłą szantażystką. Pieniądze odgrywają dla niej niewielką rolę. Przede wszystkim chodzi jej o władzę nad innymi. Jeśli któraś z ofiar próbuje się przeciwstawić, Erica znajduje sposób, aby zmiażdżyć ją doszczętnie! - Hutton usiłował coś powiedzieć, ale Sam machnęła niecierpliwie ręką, nie dopuszczając go do słowa.

- Niech mi pan da dokończyć. Ta kobieta zabiła swojego męża. Przez nią się utopił. Kiedy jego rodzice chcieli to ujawnić, przesłała im dowód na to, że Martin był homoseksualistą. Nie zrobiła tego dla korzyści materialnych, lecz z podłości, taki już ma charakter. Dobierze się również do pana... przez ludzi, których pan kocha. Zniszczy życie pańskim synom. Proszę mi wierzyć: trzeba koniecznie znaleźć sposób, aby powstrzymać ją raz na zawsze.

- Co pani ma na myśli? - Na twarzy Huttona malował się lęk.

- Nie chodzi mi o użycie przemocy. Z pewnością zdołał się już pan zorientować, że nie jestem tego typu kobietą. -

Spojrzała na kasetę leżącą na biurku. - Kiedy pan wpadł na ten pomysł?

Podniósł rękę.

- Niech pani posłucha...

- Człowieku, traci pan tylko czas! Twierdzi pan, że nagrał całą moją rozmowę z pańską żoną. Skąd mam wiedzieć, że to prawda?

W odpowiedzi Hutton wziął kasetę, wsunął ją do magnetofonu stojącego na stoliku pod ścianą i włączył. Sam usłyszała swój głos: „Pani Hutton? Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć. Jestem Samanta Cole.”

Kiwnęła głową.

- Okay. To znaczy, że przygotował pan wszystko, zanim przyszedłem. Czy tak?

Hutton przytaknął, usiadł z powrotem na krześle.

- A ponieważ nie mógł pan wiedzieć, że to ja przyjadę, wynika stąd, że chciał pan nagrać głos każdego, kto zgłosiłby się do Rosy.

- Zgadza się. - Hutton westchnął głęboko. - Gdy tylko przeczytałem ten artykuł w „Heraldzie”, zacząłem się mieć na baczności. Ten, kto choć raz przeżył wielki skandal, nigdy już nie odzyska pełnego spokoju. Wiedziałem, że ktoś wziął nas na cel, że niebawem nastąpi kolejny krok, jakiś list lub telefon, może nawet wizyta. Zacząłem więc obmyślać plan obrony. Prowadzimy tu rodzinny interes. Elizabeth to moja najmłodsza siostra, a Sean, jej syn, obsługuje dział fotograficzny. Jest świetnym elektronikiem. Pogadaliśmy o tym i ułożyliśmy plan. W poniedziałek rano oświadczyłem, że zabieram dzieci do Devon, do mojej starszej siostry, i wracam za dwa dni. W rzeczywistości wsadziłem chłopców do pociągu w Basingstoke i cichcem wróciłem, a zatrzymałem się u Liz. Na zmianę obserwowaliśmy to miejsce i nie musieliśmy czekać długo. Już we wtorek odezwała się pani Myles, pytając, czy może się spotkać z Rosie. Liz pozwoliła jej wejść na górę. Sean zainstalował mikrofon w lampie i przeprowadził przewód na dół, do tego gabinetu. Mogliśmy więc nagrać wszystko, co mówiła pani Myles.

- Doskonale - zawołała Sam, znowu pełna werwy. - A więc możemy zacząć działać.

## *Rozdział 25*

W parku miejskim w pobliżu rynku w Market znajdowała się niewielka restauracja odwiedzana zazwyczaj w porze lunchu. Obecnie, o drugiej po południu, była całkowicie wyludniona.

Inspektor Hogg siedział na ławeczce pod dębami, rozkoszując się ciepłym powietrzem i widokiem dzieci, które bawiły się nie opodal na trawniku.

Z błógiego lenistwa wyrwał go odgłos nadjeżdżającego samochodu. Hogg wstał, przeciągnął się i wolnym krokiem podszedł do rovera, który właśnie zatrzymał się w cieniu. Nachylił się do okienka kierowcy i powiedział uprzejmym tonem:

- Dzień dobry, pani Myles. Cieszę się z naszego spotkania. Erica Myles otworzyła drzwi, wysiadła, zatrzasnęła je za sobą, przekręciła kluczyk w zamku, po czym spojrzała na Hogga.

- Nie mam wiele czasu - odparła. Hogg mierzył samochód okiem znawcy.

- Ładny - mruknął. - Bardzo ładny. To pani?

- Tak, mój. Miałam go w Londynie. Teraz, kiedy sprawy majątkowe zostały uregulowane...

- No tak. - Hogg wskazał ręką na ławeczkę. - Może usiądziemy tam? Będzie wygodniej porozmawiać. Ile pali ten rover?

Jasne oczy Eriki taksowały go czujnie.

- Inspektorze, jestem pewna, że nie spotkaliśmy się po to, aby omawiać zużycie paliwa w moim samochodzie!

- To prawda. - Usiadł na ławce i uśmiechnął się dobrotliwie. - Ale pieniądze... to bardzo interesująca kwestia, zwłaszcza dla ta-

kiego starego policjanta jak ja. Powiada się, że pieniądze są źródłem wszelkiego zła. Jestem skłonny zgodzić się z tym. Oszustwo... kradzież... morderstwo... u podłoża większości przestępstw leżą przecież pieniądze. A może pani jest innego zdania?

Erica spoglądała na niego w milczeniu spod zmarszczonych brwi, a Hogg uśmiechał się uprzejmie, a zarazem ironicznie.

- Zdażyłem się już przekonać - kontynuował lekkim tonem, jakby rozprawiali o pogodzie - że jedno przestępstwo prowadzi do drugiego. Na przykład morderstwo wyzwała żądzą zemsty, a co za tym idzie kolejne zabójstwo, nieraz też krzywoprzysięstwo lub szantaż. Nie uwierzy pani chyba, ile się zdarza wypadków wymuszania pieniędzy. W ten sposób kupują sobie spokój nie tylko ci, którzy są na bakier z prawem, lecz również porządni obywatele, którzy dzięki temu spodziewają się uchronić swych bliskich przed kłopotami lub wścibstwem prasy brukowej. Dobra opinia liczy się nadal dla wielu ludzi, nawet w tych bezbożnych czasach.

Erica poruszyła się niecierpliwie.

- Inspektorze, muszę zrobić zakupy. Jeśli jest coś, co pana interesuje, proszę pytać. W przeciwnym razie...

- Dobra opinia - powtórzył Hogg, jakby nie słyszał jej uwagi - może zależeć od tego, czy jakaś mroczna tajemnica rodzinna zostanie ujawniona, czy też nie. Rozumie pani, co mam na myśli? Są ludzie, którzy poświęcą cały swój majątek na ochronę własnej prywatności, nie brak też takich, co to potrafią skierować wodę na swój młyn. To szantażyści, szumowiny odnoszące korzyści z cierpienia innych. Na mój rozum takie typy powinny jak najszybciej wędrować za kratki, ale to nie takie proste. Ich ofiary nie chcą zeznawać, rozumie pani? Po prostu płacą i płacą, aż nie zostaje im nic. Pozwalają się zrujnować. Na szczęście to nie zawsze odbywa się w ten sposób. Czasem szantażysta trafia na kogoś, kto... nie zamierza się ugiąć. Taka osoba przychodzi wtedy do nas i opowiada wszystko, co nas interesuje.

Erica wzruszyła ramionami.

- Z pewnością jest tak, jak pan mówi, ale nie widzę tu związku z moją osobą.

Zamiast odpowiedzieć, Hogg sięgnął do kieszeni, wyciągnął kartkę papieru i podał ją Erice.

- Czy zna pani kogoś z tych ludzi, pani Myles? Erica przebiegła wzrokiem listę nazwisk.

- Nie pamiętam ich, ale mogłam z kilkoma zetknąć się w pracy. Dziennikarz musi rozmawiać z różnymi ludźmi.

- A oni pamiętają panią - odparł Hogg. Odebrał kartkę i wsunął ją z powrotem do kieszeni. - Pamiętają panią bardzo dobrze.

Niemal poderwała się z miejsca.

- Czyżby pan węszył w moim życiu prywatnym, inspektorze Hogg?

Spojrzał na nią tak, jakby poczuł się dotknięty.

- Nic podobnego, proszę pani. Musiałem po prostu popytać tu i tam o pani zmarłego męża. Zginął w wyniku wypadku, co wymagało przeprowadzenia dochodzenia, a przy okazji dowiedziałem się... o przyjaciółach pani męża. O jego stylu życia.

- A więc odkrył pan, że Martin był homoseksualistą? No to co? Nigdy nie robiłam z tego faktu tajemnicy.

- To prawda. Na przykład powiedziała pani o wszystkim jego ojcu. Nie wydaje mi się, aby był to dobry uczynek.

- Nie obchodzi mnie, co pan o tym sądzi. Randall Myles nigdy nie traktował mnie jak należy. Gdybym umierała z głodu, nie kiwnąłby nawet palcem, żeby mi pomóc.

- Możliwe. Ale wróćmy do tych ludzi z mojej kartki. Zastanawia mnie fakt, że nie może ich pani sobie przypomnieć. A przecież przez ostatnie trzy lata wszyscy oni istotnie przyczynili się do wzrostu pani wpływów. Interesuje mnie, dlaczego tak się stało...

- Więc niech pan ich zapyta! Śmiało! Wyjaśnią panu, że po prostu spłacali mi zaciągnięte pożyczki. Jako żona Martina byłam kobietą zamożną, miałam wielu przyjaciół, którzy pożyczali ode mnie pieniądze i oddawali je, kiedy mogli. To chyba nie jest przestępstwo, prawda?

- Nie. Ta sprawa zainteresowała mnie, to wszystko.

- Inspektorze, czyżby pan mi groził? Czy to właśnie chce mi pan dać do zrozumienia?

- Dobry Boże, cóż za pomysł! - Hogg wydawał się wstrząśnięty takim podejrzeniem. - Chciałem tylko pogawędzić z panią, nic więcej. - Westchnął. - Nie, to niezupełnie tak. Jest pewien problem. Wpłynęła do mnie skarga podpisana przez panią Hutton. Pamięta ją pani, jak sądzę?

Erica milczała. Z jej oczu emanowała złość.

- Odwiedziła pani Rosę Hutton w jej domu w Windlesford -ciągnął Hogg. - To było w ubiegłym tygodniu we wtorek. Czy pani to potwierdza?

Erica zawahała się, ale tylko przez chwilę.

- Tak. To była służbowa wizyta. Chciałam omówić z nią szczegóły pewnego artykułu, który właśnie piszę.

- Czy ten artykuł nie dotyczy przypadkiem zabójstwa Marshalla Robartsa?

- Możliwe. - Wytrzymała jego ostry wzrok. - No dobrze. Rzeczywiście, artykuł dotyczy tej właśnie sprawy. Zostałam do tego upoważniona przez wydawcę „Heralda”.

- Rozmawiałem już z panem Lawrence'em Kingiem. Zaprzeczył, jakoby udzielał pani jakiegokolwiek upoważnienia. Wygląda więc na to, że działa pani we własnym imieniu.

- Jestem dziennikarką. Muszę jakoś zarabiać na życie. Hogg sięgnął ponownie do kieszeni, ale tym razem wyciągnął z niej czarną kasetę.

- Proszę o uśmiech - zawołał. - Jest pani w „Ukrytej kamerze”!

- Co to ma znaczyć?

- Mam tu kasetę z nagraniem rozmowy, jaką przeprowadziła pani z Rosą Hutton.

Przez chwilę Erica gorączkowo rozważała sytuację, w końcu wrzuciła ramionami.

- I czego to dowodzi? Nie zrobiłam przecież nic złego.

- Ostrzegła ją pani, że jeśli nie zechce z panią współpracować, jej dzieci dowiedzą się, iż była kochanką Robartsa.

- Cóż, niech się dowiedzą. Takie jest życie. - Oczy Eriki płonęły złowieszczym blaskiem. - Nie groziłam jej. Nie żądałam też pieniędzy. Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

- O tym zadecyduje już prokurator.
- Co pan ma na myśli?
- Ze panu Huttonowi nie przypadło do gustu to, co powiedziała pani jego żonie, tak więc zawział się i chce wysunąć przeciw pani oskarżenie. - Hogg jakby od niechcienia bawił się kasetą.

Erica parsknęła wzgardliwie.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że taśma magnetofonowa nie może stanowić dowodu w sądzie.
- Sama taśma oczywiście nie. Ale łącząc ją z paroma innymi faktami, może być wystarczającym powodem, aby uczynić pani życie bardzo nieznośnym. Na przykład ci ludzie wymienieni na kartce. Mogą przecież zacząć mówić o tych „pożyczkach”, a wtedy kto wie, czy pani pracodawcy zechcą zatrudniać panią nadal. Nie sądzę też, aby w takiej sytuacji mogła pani liczyć na dalszą gościnę u panny Slevin. - Wolną ręką Hogg zakreślił w powietrzu znak zapytania. - Coś mi się wydaje, pani Myles, że pani przyszłość w Market nie przedstawia się zbyt różowo.
- Nie zdoła mnie pan nastraszyć! - zawołała z furią Erica. - Nie zrobiłam nic złego! Zostanę tutaj. I będę żyła tak, jak uznaję za stosowne!

Hogg wsunął kasetę do kieszeni. Jego zielone oczy lśniły jak u kota, który czatuje na wróbla.

- Jest jeszcze ta sprawa ze śmiercią pani męża - powiedział. - Podczas przesłuchania okazano pani wiele współczucia. Biedna dziewczyna pobita przez pijanego brutala. Niewinna ofiara. Wzruszająca wdowa. Ale pan Hutton mógłby ukazać panią w innym świetle. Grozić chorej kobiecie i jej dzieciom? Posuwać się do szantażu? Jak już mówiłem, ludziom mogłoby się to wszystko nie spodobać. Mogliby zupełnie inaczej na panią spojrzeć. Chyba się rozumiemy, prawda?

Podniósł się i spojrzał na nią z góry.

- Dam pani dobrą radę, pani Myles. A właściwie chcę panią ostrzec. Mądra kobieta natychmiast wyniosłaby się stąd gdzieś daleko. I proszę wziąć pod uwagę, że my, ludzie z prowincji,

mamy dobrą pamięć. Nie chcemy tu takich, co krzywdzą naszych ziomków. Będziemy nasłuchiwać wieści na pani temat, złych i dobrych, i wprowadzać je, że tak powiem, do odpowiedniej kartoteki. Nie chcemy tu dalszych problemów. Ujmę to wyraźniej: żadnych gróźb, nieprzyjemnych listów ani artykułów w prasie. Tym razem ujdzie pani to wszystko na sucho. Ale proszę nie liczyć już w przyszłości na podobną wspaniałomyślność. Moja w tym głowa. Świat jest wielki, dużo w nim miejsca. Niech pani wyjedzie gdzieś, gdzie pani jeszcze nie znają, i zacznie od nowa. Teraz się pożegnamy i mam nadzieję, że nie spotkamy się już nigdy więcej. Życzę przyjemnej podróży.

-Skinął głową, jakby odprawiał natręta.

Erica nie odezwała się nawet jednym słowem. Podeszła do samochodu, wsiadła i ruszyła w stronę bramy parku. Hogg przez kilka chwil odprowadzał ją wzrokiem, następnie zamaszystym krokiem pomaszerował po zalanym słońcem trawniku ku Market Square.



## *Rozdział 26*

Tego samego dnia po południu Samanta odwiedziła Pata Quinlana w jego biurze. Usiłował właśnie uporządkować papiery zalegające biurko i powitał ją bez entuzjazmu.

- Sam, mam teraz pełne ręce roboty. Co by pani powiedziała na wspólny lunch jutro?

- Ta sprawa nie może czekać - odparła Sam. Zamknęła za sobą drzwi, podeszła bliżej i usiadła naprzeciw niego. - Erica opuszcza Marksholm.

- Kto to pani powiedział?

- Inspektor Hogg. Wracam właśnie z posterunku policji. Hogg kazał jej się stąd wynieść. Quinlan zrobił wystraszoną minę.

- Dlaczego? Co się stało?

- Erica odwiedziła Rosę Pierce, obecnie Rosę Hutton, i usiłowała wydobyć od niej groźbami jakieś informacje. Pan Hutton nagrał ich rozmowę na taśmę i przekazał ją Hoggowi.

Quinlan zmrużył oczy.

- I Hogg powiedział pani o tym wszystkim?

- Znałam tę sprawę już wcześniej. Byłam wczoraj u Rosy Hutton, a ona poinformowała mnie, że Mary i Robarts... byli kochankami.

Quinlan zmusił się do uśmiechu.

- Moja droga, skoro wierzy pani tak zakłamanej istocie jak Rosa...

-Uwierzę panu, jeśli usłyszę teraz zapewnienie, że Rosa mnie oszukała.

Quinlan milczał długo, w końcu zrezygnowany wzruszył ramionami.

- Nie, nie oszukała. Oni naprawdę byli kochankami.

- Kiedy pan się o tym dowiedział? - zapytała Sam. - Zanim popełniono morderstwo?

Quinlan westchnął ciężko.

- Wiedzieć i przypuszczać to zupełnie coś innego. Myślę, że zacząłem ich podejrzewać w lecie. Mary bardzo się zmieniła. Od dawna byliśmy sobie bliscy. Miałem nadzieję, że któregoś dnia zostanie moją żoną, ale ona zaczęła mnie unikać. Zrobiła się kapryśna i tajemnicza, a przy tym niezwykle ożywiona. Zapytałem ją wprost, czy znalazła sobie kogoś, ale ona zaprzeczyła. Wyjaśniła, że jest po prostu zapracowana, że tego wymaga jej kariera zawodowa. Nie uwierzyłem. Byłem przekonany, że zakochała się w kimś nieodpowiednim, może w żonatym mężczyźnie, ale nawet nie przyszło mi na myśl, że mógłby to być Marshall. Przecież kiedyś Mary dała mu kosza, a ilekroć w rozmowie padało jego nazwisko, wyrażała się o nim zawsze z lekceważeniem. Znałem dobrze Marshalla i wiedziałem, że prowadzi rozwiązły tryb życia. Nie przypuszczałem, że Mary może okazać się na tyle nierozsądna, aby polecieć na takiego typu. Kiedy poznałem prawdę, byłem wstrząśnięty.

Przesunął dłonią po twarzy, jakby chciał uwolnić się od dokuczliwego bólu.

- To było w grudniu - szepnął. - Szóstego grudnia. Lidia otrzymała anonimowy list, który informował ją, że Marshall zamierza przeprowadzić rozwód, by zaraz potem poślubić swoją kochankę. Tak się zdarzyło, że owego wieczoru byłem w Marksholm. Dom Slevinów przypominał piekło: Lidia nie wiedziała w ogóle, co robić, Marshall wymyślał na poczekaniu jakieś mało przekonujące historyjki, a Mary... Mary wpadła w furję. Nigdy nie przypuszczałem, że może w niej być tyle gniewu, złości i nienawiści. Ciągle tylko powtarzała, że ten list daje Lidii podstawy do wystąpienia o rozwód. Od tej pory myśl, że Lidia musi się rozwieść, nie opuszczała jej nawet na chwilę. Uświadomiłem sobie wtedy, że wcale nie chodzi jej o Lidię... że kieruje

się przede wszystkim własnymi emocjami. Doszedłem do przekonania, że w pewnym sensie Mary utraciła zdolność jasnego myślenia... że poddała się uczuciu do Robartsa.

Quinlan przerwał na chwilę, jakby chciał zebrać myśli.

- Ten list rozpętał wojnę pomiędzy Mary i Robartsem. Każde z nich walczyło o Lidie - o utrzymanie wpływu na nią i o jej pieniądze. Nie zdawali sobie sprawy, że swoim postępowaniem niszczą ją zupełnie. Czternastego grudnia Lidia zażyła zbyt dużą dawkę tabletek nasennych. W rezultacie Mary odkryła, że Lidia uzależniła się od narkotyków i że Marshall faszeruje ją od dawna barbituranem i amfetaminą. To wystarczyło jej za pretekst do wyrzucenia go z domu. W mojej obecności oświadczyła mu, że to koniec. Że ich „przyjaźń” to już tylko historia. Zabroniła mu pokazywać się kiedykolwiek w przyszłości w Marksholm. Wtedy przeniósł się do swojego mieszkania w Cambridge.

- Do Rosy Pierce.

- Rosa mieszkała tam, ale nie odgrywała dużej roli w jego życiu. Myślę, że żadna kobieta nie była dla niego naprawdę ważna. Chciał pieniędzy. I wiedział zarazem, że aby je zdobyć, musi odzyskać Lidie. Był próżny i głupi, więc wyobrażał sobie, że Lidia zgodzi się na jego powrót. Tamtego wieczoru zadzwonił do niej, a ponieważ nie chciała słuchać jego skamlania, przyjechał do Marksholm. I wtedy Mary go zastrzeliła.

- Były dwie rozmowy telefoniczne - sprostowała Sam. - Najpierw zadzwonił rzeczywiście Marshall Robarts. Potem zatelefonowała Rosa. Powiedziała Lidii...

Quinlan, ignorując jej uwagę, mówił dalej.

- Na szczęście, nikt nie podejrzewał, że istnieje romans pomiędzy Mary i Robartsem. Dzięki temu udało mi się przekonać sąd, że Mary miała tylko jeden motyw działania - chciała chronić siostrę. I to wpłynęło na złagodzenie wymiaru kary.

- Pat, nie słyszał pan tego, co powiedziałam? Kiedy Rosa zadzwoniła do Lidii, Mary nie było w Marksholm! Gestem wykluczającym dalszą dyskusję Quinlan wzniósł obie ręce do góry.

- Fakty potwierdzone w trakcie dochodzenia są jednoznaczne - zawołał. - Mary przyjechała do domu, zobaczyła światło w stodole, chwyciła broń, pobiegła tam i zastrzeliła Marshalla. Uznano ją winną. Jeśli ma pani na ten temat inne zdanie, bardzo mi przykro. Powinna pani była zastosować się do mojej rady: nie wracać do tej sprawy. A teraz proszę mi wybaczyć, czeka mnie jeszcze dużo pracy.

Przyciągnął do siebie kolejną stertę dokumentów i zagłębił się w ich lekturze. Nie podniósł nawet wzroku, kiedy Sam skierowała się do wyjścia.

Zapadał już zmierzch, kiedy Sam dojechała do Marksholm. Powietrze było parne, przesycone intensywnym zapachem róż i rzecznoego mułu. Gdzieś nad wschodnią częścią moczarów niebo przeszła błyskawica.

Przed drzwiami domu wybiegła pani Gideon.

- I jak, moja droga? Udał się wypoczynek?

- Jeszcze jak! Czy Mary jest u siebie?

- Nie, na próbie chóru. Powinna niedługo wrócić. - Giddy obejrzała się za siebie, na okna domu. - Ta pani Myles... Wyjechała stąd.

- Ach tak? - Sam wyciągnęła walizkę z bagażnika. - Czy mówiła dlaczego?

- Nic nie powiedziała. Zjawiała się o wpół do czwartej w naprawdę podłym humorze i zaczęła pakować swoje rzeczy. Potem zażądała, żeby Torch odwiózł ją na dworzec w Market. Chciała zdążyć na pociąg o piątej. Nie pytałam o nic. Sam kiwnęła głową.

- Giddy, musimy porozmawiać, zanim wróci Mary.

- A więc wejdźmy do środka. Zaraz lunie deszcz.

Siedząc na miękkiej sofie w pokoju Giddy, Sam poczuła, jak ogarnia ją ponownie nastrój tego domu. To byłoby takie łatwe: nic nie mówić, nic nie robić, tylko korzystać z tego komfortu. To właśnie radził jej Quinlan: „Niech pani nie wraca do tamtej sprawy, zostawi to wszystko w spokoju”.

- Pojechałam do Edynburga - oświadczyła na głos. - I widziałam się z Aidanem Dermottem. Giddy nie była tym zaskoczona.
- Torch mówił, że pani to zrobi. - Usiadła, ustawiając stopy prostopadle do siebie, z dłońmi na kolanach. - Ale chciałabym wiedzieć, jaki pani miała w tym cel?
- Tylko jeden: poznać prawdę o Lidii.
- Przecież powiedzieliśmy pani prawdę, panienko.
- Nie. Właśnie w tym rzecz, że okłamałyście mnie obie -i ty, i Mary. - Widząc, że Giddy chce zaprotestować, Sam dodała spokojnym, lecz stanowczym tonem: - Zataiłaś przede mną, że byłaś przy Lidii, kiedy ona umarła. Giddy zmarszczyła brwi.
- Nie mówię o tym chętnie, nie są to przyjemne wspomnienia. Lidia miała zaledwie trzydzieści dwa lata, była za młoda, aby umrzeć i osierocić dwójkę dzieci.
- Sądzisz, że można ją było uratować?
- Tego nie powiedziałam. Miała najlepszą opiekę, dobrego lekarza. Robiliśmy dla niej, co tylko było możliwe. - Zmierzyła Samantę baczny wzrokiem. - Co pan Dermott pani naopowiadał?
- Ze lekarz chciał umieścić Lidię w szpitalu, ale ona nie zgodziła się na to. Została w domu pod opieką twoją, pana Dermotta i gosposi. Nie było przy niej żadnej wykwalifikowanej pielęgniarki.
- Miała wszystko, czego potrzebowała - powtórzyła z uporem Giddy. - Miała przy sobie ludzi, którzy ją kochali i nie odstępowali od niej nawet na jedną chwilę.
- Ale to nie przywróciło jej zdrowia, a leki najwidoczniej nie poskutkowały. Według słów pana Dermotta, Lidia umarła po trzech dniach choroby.
- A więc teraz wie pani wszystko.
- Jestem innego zdania, Giddy. Czy byłaś przy Lidii przez cały czas choroby? Kto cię wezwał do Edynburga - Lidia czy pan Dermott?
- Byłam tam już wcześniej. Zaprosili mnie na święta Boże-

go Narodzenia i gościli przez dwa tygodnie. Potem Lidia zachorowała.

- Jakie sprawiała wrażenie przez te dwa tygodnie? -Była... jakby przygnębiona... miała jeden z tych swoich gorszych momentów. Pan Dermott liczył na to, że uda mi się podnieść ją na duchu.

- Ale nic z tego nie wyszło, prawda?

Giddy w milczeniu pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego Lidia bała się szpitala? - zapytała Sam.

- Zawsze powtarzała, że nie cierpi takich miejsc. Ze nie znosi, kiedy ktoś ją obserwuje.

- To były jej słowa? A może pan Dermott nalegał, aby została w domu?

- Nie! Dlaczego miałoby mu na tym zależeć?

- Założmy, że lękał się, aby nie wyjawiała czegoś, mającąc w gorączce.

- Nie! - Głos pani Gideon był ostry jak brzytwa. - Nic podobnego!

- Albo też ty bałaś się, że Lidia powie coś na temat morderstwa... coś o Mary...

- Nie ma pani prawa wygadywać takich rzeczy!

- Pozostanie w domu Lidia przypłaciła życiem.

- To była jej decyzja. Przysięgam, że to prawda! Lidia odesłała lekarza, kiedy ten tylko wspomniał o szpitalu!

Chciała, abyśmy byli cały czas przy niej, aby byli przy niej ludzie, których zna.

- Ludzie, którymi mogła manipulować. Kto siedział przy niej w chwili śmierci?

- Ja. - Wyraz oczu Giddy nie pozwalał zaufać jej słowom. -Pan Dermott był zmęczony. Poradziłam mu, żeby położył się i zdrzemnął choć trochę. Od północy siedziałam przy Lidii sama. Wczesnym rankiem zmarła.

- A w nocy podawałaś jej jakieś leki?

- Tak. Dałam jej kapsułki, które przepisał jej lekarz.

- Ale ona ich nie połknęła, prawda, Giddy? Lidia nie chciała wyzdrowieć. Pragnęła śmierci. Tak to wyglądało, prawda?

Pani Gideon przycisnęła dłoń do ust i potrząsnęła głową.

- Czy po śmierci Lidii znalazłaś te kapsułki? - nalegała Samanta.

Giddy bezwładnie opuściła ręce.

- Znalazłam dwie ostatnie. Lidia ukryła je pod poduszką. Myślę, że w ogóle nie łykała lekarstw, które jej dawaliśmy. Nie mówiłam o tym panu Dermottowi. Byłby to dla niego okropny cios, gdyby poznał prawdę. Wsadziłam kapsułki do kieszeni, a potem wrzuciłam je do klozetu i spuściłam wodę. - Giddy westchnęła. - Lidia zawsze była uparta i stawiała na swoim. Żyła, jak chciała, i umarła, jak chciała. Niech spoczywa w spokoju!

## *Rozdział 27*

Kiedy dobiegł ją odgłos nadjeżdżającego samochodu, Samanta zeszła do holu, aby przywitać się z Mary. Zaczął już padać deszcz, ciężkie duże krople zapowiadały rychłą ulewę. Mary szła wolnym krokiem, niczym w letargu, jej twarz i włosy błyszczały od wilgoci. Na widok Samanty przystanęła.

- Wróciłaś... Nie spodziewałam się ciebie tak prędko. -Mary... - zaczęła Sam. - Erica wyjechała. Dziś po południu.
- Wiem. Torch mi powiedział.
- Dobrze się stało. - Sam podeszła do niej bliżej. - Nareszcie pozbyliśmy się tej kobiety.
- Czy rzeczywiście? - Mary odłożyła śpiewnik na stolik w holu. - Nie jestem tego taka pewna.
- Ona już nie wróci.
- Jesteś o tym przekonana? Może wiesz o czymś, o czym ja nie wiem.
- Czy możemy porozmawiać?

Mary wzruszyła lekko ramionami i przeszła do salonu. Zapaliła światło, usiadła na krześle i nieco lekceważącym gestem dłoni udzieliła Samancie głosu.

Sam usiadła.

- Ona chciała panią szantażować, Mary.
- Prawdopodobnie.
- Dlaczego więc gościła ją pani, skoro znała pani jej nieczne zamiary?



- Aby dać jej szansę, trochę czasu na opamiętanie.
- Ona nie wykorzystałaby tej szansy - odparła Sam. - Zrobiłaby wszystko, aby osiągnąć swój cel.
- Ode mnie nie uzyskałaby niczego.
- Ale gdyby zagroziła, że opowie o wszystkim dzieciom Lidii...
- To nie zmieniliby w niczym sytuacji. - Mary przeczesła sobie włosy dłonią. - Z szantażystą można poradzić sobie tylko w jeden sposób. Mam w tym pewne doświadczenie. Kobieta skazana za przestępstwo pierwszego stopnia musi się liczyć z próbami szantażu.
- Cudzołóstwo - odparła powoli Sam - nie jest jednak uważane za przestępstwo pierwszego stopnia. Mary nie odpowiedziała. Zdawała się kryć teraz za niewidzialną kurtynę.
- W tym tygodniu - mówiła dalej Sam - odwiedziłam mnóstwo ludzi. Rozmawiałam z inspektorem Hoggiem, Sidonią Myłę, Aidanem Dermottem i z Rosą Pierce. Wiem, że to Rosa zadzwoniła tu tamtego wieczoru. I poinformowała Lidię, że jest pani kochanką Marshalla.
- W takim razie musisz rozumieć, dlaczego musiałam go zabić. - Głos Mary brzmiał pewnie i kategorycznie. - Za to, jak mnie potraktował, zadając się z Rosą Pierce i usiłując wrócić do Lidii, zaczęłam nim gardzić i znenawidziłam go. I dlatego go zabiłam.
- Nie wierzę.
- Możesz sobie wierzyć lub nie, to twój problem. Jeśli wolisz widzieć we mnie świętą, proszę bardzo, ale prawda jest taka, że to ja zabiłam Marshalla. Opowiem dokładnie, jak do tego doszło. Wróciłam do domu. Lało jak z cebra, byłam cała mokra, poszłam więc do sypialni, aby się przebrać. Ale zanim zdążyłam zmienić ubranie, zauważyłam światło w dawnej stodole. Domyśliłam się, że to Marshall, ponieważ miał zapasowe klucze, ale na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że to włamywacz, wyjęłam z szafy pistolet.
- Pistolet Marshalla?

Mary wzruszyła niecierpliwie ramionami.

- Tak, pistolet Marshalla. Podeszłam do stodoły, otworzyłam drzwi... W moim biurze zastałam Marshalla. Usiłował otworzyć sejf. Zawołałam go, a on odwrócił się do mnie. Miał brudne, pomięte ubranie. Zapytałam go, co tu robi, a on wyjaśnił, że przyszedł po swoje obligacje. Dałam mu je, a potem kazałam mu wyjść. Odmówił. Oznajmił mi, że idzie do Lidii, że już wcześniej zadzwonił do niej, a ona zgodziła się na spotkanie. Brzmiało to dosłownie tak:

„Wracam do niej, Mary. Ona tego chce”.

Zabroniłam mu iść do Lidii. Mówiłam mu, że nie wolno jej teraz przeszkadzać, bo niedawno zasnęła, a poza tym nie pozwolę mu wkraczać ponownie w jej życie po tym, jak ją potraktował. Roześmiał mi się w twarz. Powiedział, że kieruje mną zazdrość, ale marnuję tylko czas, bo on nie jest mną zainteresowany. Zaczął się chełpić, że zabierze Lidię z Marksholm i ja nie będę w stanie temu przeszkodzić.

Ostrzegłam go, że jeśli zbliży się do Lidii choćby na krok, oskarżę go o nakłanianie jej do brania narkotyków i w rezultacie wyląduje w więzieniu. Nazwałam go przestępcą i mordercą. Obrzucił mnie wyzwiskami, a potem podbiegł i chciał mnie uderzyć. Cofnęłam się i kazałam mu wyjść, ale nie posłuchał. Wyciągnęłam pistolet z kieszeni płaszcza i strzeliłam na postrach. Pocisk utknął w sofie. Marshall nie dawał za wygraną. Chwycił mnie za ramiona i pchnął na ścianę, próbując wyrwać broń z ręki. Wystrzeliłam po raz drugi, trafiłam go w udo, a on upadł. Zaczął się czołgać, jakby chciał uciec, ale ja zapragnęłam jego śmierci. Chciałam widzieć go martwego. Poszłam za nim i wystrzeliłam ponownie. Trzeci pocisk ugodził go w pierś. Marshall runął za biurko. Kiedy podeszłam bliżej, osłonił się ręką i dlatego ostatni pocisk przeszedł przez przegub dłoni i głowę. Zmarł na miejscu.

Mary umilkła. Sam wydawało się, że nagle czas cofnął się o parę lat. Usłyszała deszcz bębniący w okna stodoły, ujrzała ciało leżące na podłodze. Wzdrygnęła się. - Mary - powiedziała głośno.

Mary uniosła głowę, jej oczy błyszczały. Na krótką chwilę przycisnęła dłoń do ust.

- Odrzuciłam pistolet na bok - opowiadała dalej. - Chciałam pojsc do Lidii chciałam powiedzieć jej, co się stało, ale kiedy doszłam do domu, zabrakło mi odwagi. Udałam sie do tego pokoju i nalałam sobie drinka. Siedziałam tak, usiłując zebrać myśli. Byłam zziębnięta i zmęczona. Wreszcie zadzwoniłam na policję w Market i powiedziałam im, że zastrzeliłam Marshalla. Wiedziałam, że upłynie trochę czasu, zanim tu dotra, poszłam wiec na gore do pokoju Lidii. Spala. Wyglądała tak słodko tak niewinnie, że nie zdobyłam się na to, aby ją zbudzić. Usiadłam na łóżku i nie ruszałam się z miejsca, do pok, me usłyszałam, ze wróciła Giddy. Wtedy zesłam na dół i opowiedziałam, co się tu wydarzyło. Poprosiłam, aby posiedziała przy Lidu. Po chwili zjawila się policja. Przyjechał też Pat On może potwierdzić, że mówię prawdę. Tak właśnie wyglądał przebieg wypadków.

- On juz to zrobil. – Sam podniosła sie, stanęła przed Mary. -Zrobili to dla pani oboje, Giddy i Pat: skłamali. Zrobili to o co pani ich prosila, ale ja wiem swoje.

Mary uniosła głowe powoli, ospale, jakby ogarnialo ja znuzenie.

- Zastrzelilam wtedy Marshalla – szepnela - A teraz proszę zostawić mnie w spokoju.

- W ten sposób nie osiągnie pani spokoju. - Sam pokręciła głową.-Am pam, ani nikt inny.

- Nie chcę już o tym mówić.

Sam spojrzala na nią skuloną na krześle, wyczerpaną, przywodzącą na myśl śmiertelnie ranne zwierzątko. *Kie*, mnno wszystko nie wolno kierować się teraz współczuciem

- A co pani zrobila z rękawiczkami? - zapytala. - Z tymi rękawiczkami, które nosila Lidia, kiedy zastrzelila Marshalla?

## *Rozdział 28*

Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

Mary, usiłując podnieść się z miejsca, zamachała rękami jakby płynęła, ale Sam chwyciła ją za ramiona i pchnęła z powrotem na krzesło.

- Proszę mnie nie okłamywać! Dostyc już tych kłamstw! Wiem, że to Lidia zastrzeliła Marshalla!

- Nie! Skądże znowu! Przecież ona spała! Giddy podała jej dwie tabletki nasenne...

- ...których Lidia wcale nie połknęła. Pottrzymała je w ustach, ale ich nie połknęła. Udała tylko, że zasypia, ponieważ chciała, aby Giddy wyszła z domu. Chciała być sama z Marshalllem. Może już wtedy zaplanowała sobie, że go zabije.

- To niemożliwe, ona spała. Proszę zapytać doktora Bella, on ją badał.

- Bell badał ją o ósmej trzydzieści, a Robarts został zastrzelony około siódmej. Dała pani Lidii tabletki nasenne i zaczekała, aż zaśnie. Stworzyła jej pani alibi i wzięła na siebie morderstwo, które popełniła.

- To ja go zabiłam! Ja go zastrzeliłam! Ja jestem winna! - Mary poczęła bić pięściami w opasujące ją ramiona Samanty, która cofnęła się o krok.

- Jest pani winna cudzołóstwa, nie morderstwa.

- Wyszło na to samo. Kiedy ona to odkryła... kiedy Rosa jej powiedziała... wpadła w szal. Marshall zginął przeze mnie, przez moją lekkomyślność...

- Wcale nie. Śmierć Marshalla była konsekwencją jego try-

bu życia i braku wewnętrznej równowagi Lidii. Nie może pani obarczać się ich winą. Czy pani nie rozumie, że ludzie muszą ponosić odpowiedzialność za swoje czyny? Również Lidia powinna była odpokutować swoją winę. Szkoda, że pani na to nie pozwoliła. Ona powinna była żyć jak dorosła kobieta, a nie iak rozpieszczone dziecko.

- Miałam dopuścić do tego, aby trafiła do więzienia? - Nowa fala gniewu dodała Mary sił. - Jak długo by wytrzymała w takiej celi? I ja miałabym na to pozwolić?

A jak wytrzymała ostatnie lata swego życia, przyszło Samancie do głowy. W jaki sposób zniosła brzemię wyrzutów sumienia cierpienia Mary, te nie kończące się kłamstwa i wreszcie dokuczliwą samotność?

Jakby czytając w jej myślach Mary dodała z desperacją w głosie: - Ja

- Dzięki temu mogła rozpocząć nowe życie! Miała dobrego męża i dzieci!

-Ale nawet na chwilę nie uwolniła się od poczucia winy. Dlatego pragnęła śmierci. Nie chciała już dłużej żyć, ponieważ życie utraciło dla niej wszelką wartość.

- Jesteś okrutna. Chciałam po prostu oszczędzić jej bólu Próbowałam... próbowałam... - Mary uniosła do góry zaciśnięte pięści. - Kochałam moją siostrę, bardzo ją kochałam

- A ona panią. Kiedy poznała prawdę o pani i Marshallu, zwróciła się przeciw niemu, nie przeciw pani. - Sam znowu usiadła. -Proszę opowiedzieć mi, co tu się naprawdę wydarzyło

- Co się naprawdę wydarzyło? - Mary pokręciła głową. - To chyba niemożliwe zgłębić psychikę drugiego człowieka, dociec, co chodzi mu po głowie. - Wydawało się, że odpływa myślami gdzieś daleko. <sup>y</sup>

Sam upomniała ją łagodnie:

- Proszę opowiedzieć o Marshallu. Kochała go pani -Nie. Nigdy. Miłość ani przez chwilę nie wchodziła w rachubę. Pożądanie - oto co nami kierowało. Lidia nie była odpowiednią żoną dla Marshalla. Przeważnie leżała chora, a w 1977 roku przedawkowała pigułki nasenne. Kiedy wyzdrowiała, od-

mówiła poddania się kuracji. Tamtej zimy zabrałam ją na Wyspy Bahama. Czuli się już o wiele lepiej, ale w dalszym ciągu nie wpuszczali Marshalla do swego łóżka. W czerwcu zostałam jego kochanką. Romans okazał się nieudany, nie dawał szczęścia żadnemu z nas, ciągnął się jednak przez półtora roku. Lidia niczego nie podejrzewała. Nigdy nie zwracała uwagi na innych. Taka już była. Żyła we własnym świecie. Kiedyś próbowałam opuścić Marksholm, wysłałam swoją ofertę do pewnej firmy londyńskiej, ale kiedy wyjawiałam te zamiary Lidii, wpadła w panikę. Jak sobie sama poradzi? Jak miałyby prowadzić dom? Uległam więc i zostałam.

W lipcu 1979 zachorowała ponownie. Znajdowała się w opłakanym stanie psychicznym, miewała tak zmienne nastroje, że z krańcowego przygnębienia nagle przechodziła w euforię. Zaczęłam podejrzewać, że zażywa narkotyki. Przeszukałam cały dom, ale nie znalazłam nigdzie niczego takiego. Porozmawiałam o Lidii z Trevorem Soamesem, ale on stwierdził, że to tylko nerwowość i brak odporności psychicznej, po czym przepisał pigułki nasenne o wzmocnionym działaniu.

W październiku Lidia skończyła dwadzieścia pięć lat i przejęła swoją część spadku. Marshall zaś począł przebąkiwać o wyjeździe na stałe do Londynu. Nie ukrywał, że chodzi mu o zerwanie z Marksholm i ze mną. Moje rozstanie z nim nie miało akurat znaczenia, jednak straszliwie martwiłam się o Lidie. Wiedziałam, że z Marshalllem nie jest bezpieczna. Domyślałam się również, dlaczego tak bardzo zależy mu na odseparowaniu jej ode mnie: chciał przejąć kontrolę nad majątkiem Lidii.

Szóstego grudnia siostra otrzymała anonimowy list, którego nadawca informował, że Marshall ma kochankę. Był to dla niej prawdziwy wstrząs. Pat Cjuinlan uważał, że powinnam powiadomić policję, aby znalazła autora anonimu, ja jednak nie mogłam pozwolić na wszczęcie tego rodzaju dochodzenia, ponieważ mogłoby to doprowadzić do ujawnienia mojego związku z Marshalllem. Zachowałam bierną postawę. Może gdybym posłuchała rady Quinlana, zdołałabym zapobiec śmierci Marshalla, ja jednak bałam się cokolwiek przedsięwziąć w tej sprawie.

Czternastego grudnia Lidia ponownie zażyła zbyt dużą dawkę środków nasennych. W rezultacie spędziła w szpitalu sześć dni i wtedy stwierdzono u niej uzależnienie od narkotyków. Lekarz, który się nią zajmował, powiedział mi, że Lidia zażywa od dłuższego czasu duże dawki amfetaminy i barbituranu. Wtedy przyszło mi do głowy, że to Marshall dostarcza jej tych środków. Przez cały ten czas, kiedy kręcił się koło mnie, systematycznie truię Lidie.

O tym, że wyrzuciłam go z domu, już wiesz. Zakazałam mu kiedykolwiek w przyszłości zbliżać się do nas. Wtedy przeniósł się do Cambridge, do Rosy Pierce.

Lidia wróciła ze szpitala dwudziestego grudnia. Była w okropnym stanie. Przechodziła właśnie koszmar kuracji odwykowej i cierpiała z powodu zdrady męża. Doktor Bell chciał odesłać ją natychmiast do kliniki, ale ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, Lidia poprosiła, abyśmy zgodzili się, by spędziła święta w domu. Uzgodniiliśmy, że zostanie w Marksholm do Nowego Roku. Wynajęłam doświadczoną pielęgniarkę. Choroba zaczęła ustępować i wszystko zapewne potoczyłoby się dobrze, gdyby nie przybór wód na moczach. Ucierpiał wprawdzie wszystkie okoliczne farmy, a dwudziestego dziewiątego grudnia powódź dotarła do Steeple Tye. Wszyscy mieszkańcy, którzy czuli się na siłach, pracowali przy umacnianiu grobli oraz ratowaniu powodzian.

Wieczorem zadzwoniła pielęgniarka, że nie uda jej się dojechać do Steeple Tye. Musiałyśmy się więc zaopiekować Lidią we dwie, Giddy i ja. Powiedziałam, że w takim razie zostanę w domu, ale Lidia nalegała, abym udała się do wioski i pomogła ofiarom powodzi. Pomyślałam sobie, że nic się nie stanie, jeśli zostawię ją na parę godzin.

Objęłam ją za to nocny dyżur przy niej. Giddy obiecała, że zadzwoni do ratusza, gdyby coś się wydarzyło. Tuż po trzeciej opuściłam Marksholm.

O czwartej zatelefonował do Lidii Marshall. Giddy podsłuchiwała część ich rozmowy... Usłyszała, jak Lidia krzyczy, że nie chce dłużej rozmawiać, i rzuciła słuchawkę. Kiedy Giddy podeszła do łóżka, Lidia powiedziała jej, że Marshall chciał przyje-

chać do Marksholm: „Prosił, abym przyjęła go z powrotem, ale ja nigdy się na to nie zgodzę.” Cały czas pomstowała na Marshalla, powtarzała, że on chce doprowadzić ją do śmierci, aby móc potem przejąć jej majątek. Pytała też o mnie.

Była tak roztrzęsiona, że Giddy zeszła do telefonu, aby wezwać doktora Bella albo Soamesa. Oni jednak w tym czasie byli zajęci przy powodzianach. Nagle usłyszała, że telefon w pokoju Lidii dzwoni po raz drugi. Pobiegła na górę i znalazła się pod drzwiami sypialni w tej samej chwili, kiedy Lidia krzyknęła: „Niech pani nie waży się nigdy dzwonić do mnie! Nie chcę rozmawiać z taką kłamczuchą, z osobą, która stara się skłócić mnie z Mary!”

- To była Rosa Pierce - zauważyła Sam.

- Zgadza się. Lidia wpadła w histerię. Krzyczała i wpadła w taką furję, jakby dostała ataku szału. Giddy nie mogła jej uspokoić. Wreszcie dodzwoniła się do doktora Bella, który polecił dać Lidii dwie tabletki nasenne. Giddy zrobiła to, a Lidia wzięła tabletki do ust i wkrótce usnęła. Giddy posiedziała przy niej trochę, potem poszła do wioski. Chciała mnie odnaleźć, ale nikt nie wiedział dokładnie, gdzie jestem. Giddy szukała mnie tu i tam, wreszcie poszła nad rzekę, gdzie co chwila przybijały łodzie z uciekinierami. Ja tymczasem wracałam już do Marksholm.

Mary umilkła, jakby porządkując myśli.

- Kiedy weszłam do domu, zaczęłam wołać Giddy. Ponieważ nie odpowiadała, pobiegłam do pokoju Lidii. Nie było w nim nikogo, znalazłam jedynie karteczkę od Giddy z informacją, że idzie po mnie do wioski. Pobiegłam do mojego pokoju. Miałam nadzieję, że zastanę tam Lidie. W tym momencie usłyszałam odgłosy wystrzałów.

Początkowo myślałam, że to huk wezbranej rzeki. Podeszłam do okna i wtedy ujrzałam światło w stodole. Ponieważ mógł to być włamywacz, czym prędzej otworzyłam szafę, aby wyjąć stamtąd pistolet Marshalla i naboje, ale nie było ich na miejscu.

Pobiegłam do stodoły i tam zastałam ich oboje, Lidie i Marshalla. On już nie żył, a ona klęczała przy nim na podłodze.



W rękę nadal ściskała pistolet Marshalla. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Chciał odebrać mi broń, Mary. Próbował mnie zabić, ale ja go ubiegłam.”

Wtedy... wtedy wzięłam od niej pistolet i pomogłam jej wrócić do domu. Wyglądała tak, jakby nie bardzo rozumiała, co się stało. Była taka... taka spokojna. Znowu zamknęła się w swoim własnym świecie. Nie stawiała oporu, kiedy rozebrałam ją i położyłam do łóżka. Zapytałam ją, czy brała coś... jakieś leki... a ona uśmiechnęła się tylko i pokazała dwie tabletki. Była uradowana jak małe dziecko, ponieważ udało jej się przechytryć Giddy.

Dopilnowałam, aby tym razem połknęła tabletki, czekałam, aż zaśnie, następnie wzięłam jej mokry płaszcz z kapturem i wysuszyłam w wirówce, a buty wrzuciłam do szafki. Zostały jeszcze rękawiczki.

- Miała już pani ustalony plan działania, prawda? - zapytała Sam.

Mary kiwnęła głową.

- Tak. Wiedziałam, że po oddaniu strzału z pistoletu na dłoni pozostają ślady prochu. Pomyślałam sobie, że takie ślady mogą być również w rękawiczkach. Wrzuciłam je więc do rzeki.

- A potem?

-Wróciłam do stodoły. Musiałam... zaaranżować wszystko jak należy. W kieszeni Marshalla znalazłam pudełko narkotyków i postanowiłam je tam zostawić. Wyjęłam z sejfu obligacje i wsunęłam mu je do kieszeni płaszcza. Umyłam linoleum w holu, na wypadek gdyby Lidia zostawiła jakieś ślady. W gabinecie nie dostrzegłam nigdzie błota, a ewentualne odciski palców nie miałyby znaczenia, gdyż Lidia często bywała w stodole. Oczyszczyłam pistolet, wytarłam go starannie, wyjęłam magazynek, oczyściłam go, a potem wprowadziłam z powrotem na miejsce i wystrzeliłam w poduszkę na sofie, aby mieć na dłoni ślady prochu.

Zostawiłam zapalone światło, zamknęłam główne drzwi i wróciłam do domu. Padał ulewny deszcz, nie obawiałam się więc, że na ścieżce będą ślady stóp Lidii. Zadzwoiłam na policję, a po-

tem do doktora Bella i Pata, następnie usiadłam przy Lidii. Spała jak kamień. Wyglądała tak słodko, tak niewinnie jak dawniej, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Gdy zjawiała się Giddy, zesłam na dół i powiedziałam jej, że zastrzeliłam Marshalla.

- Uwierzyła pani?

Mary podniosła wzrok, spojrzała Samancie w oczy.

- Wiedziała, że inaczej nie da się rozwiązać tego problemu. Stała po mojej stronie, tak samo zresztą, jak później Pat. -Mary westchnęła. - Nie spodziewam się, żebyś mogła to zrozumieć.

- Rozumiem - odparła Sam. - Ale nie pochwalam pani decyzji.

- To już i tak historia.

- Istnieje jeszcze dla pani teraźniejszość. I przyszłość.

- Muszę myśleć o jej dzieciach.

- Otóż to.

- Co zamierzasz uczynić w tej sprawie?

Sam milczała dłuższą chwilę. Następnie odparła:

- Chyba nic.

Z zadumy wyrwał je ostry dźwięk dzwonka u drzwi i Sam wzdrygnęła się przerażona: czyżby znowu Erica?

Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła w progu Pata Quinlana. Wszedł do sieni i umieścił w stojaku ociekający wodą parasol.

- Gdzie Mary?

Sam wskazała na salon, a on bez słowa ruszył w tamtą stronę. Patrzyła za nim, kiedy podbiegł do krzesła, na którym siedziała Mary, ukląkł przy niej i ujął oburącz jej dłonie.

Nie będę im teraz przeszkadzać, postanowiła Sam, i wolnym krokiem weszła na górę. Giddy zrobiła już swój wieczorny obchód i pozapalała światła. Portret Lidii zdawał się promieniować niezwykle blaskiem, usta dziewczyny uśmiechały się miękko, oczy wpatrywały w odległy świat dzieciństwa, którego nigdy nie opuściła.

Sam weszła do swojego apartamentu, zamknęła drzwi i stanęła przy oknie wychodzącym na północ. Burza cichła, jeszcze tylko na horyzoncie pojawiały się z rzadka nieśmiałe, srebrzy-

ste błyski. Samanta nie ruszała się z miejsca. Próbowwała uporządkować swoje myśli i uczucia. Pomogła domownikom pozbyć się Eriki Myles i to stanowiło jej niewątpliwą zasługę. Odkryła prawdę o śmierci Marshalla Robartsa, co miało duże znaczenie, jeśli nie dla innych, to przynajmniej dla niej samej. Nie sądziła, aby udało jej się wywrzeć jakikolwiek wpływ na dalsze życie mieszkańców Marksholm. Mary z całą pewnością się nie zmieni. Obrała już własną drogę życia - być może tragiczną, ale na swój sposób szlachetną. Jutro, pomyślała Sam, zaczniemy łączyć poszczególne nici i wkrótce tkanina będzie gładka i cała. W ostatecznym rozrachunku wina i niewinność nie są kwestią prawa lub sądu, lecz ludzkiego sumienia. Zasunęła kotarę i podeszła do biurka. Wzięła arkusz papieru, pióro i zaczęła pisać list do Jamesa. Nie wspomniała nawet słowem o wydarzeniach ostatnich dni. Pisała za to o drobnych, codziennych sprawach, które mogły go zainteresować, oraz o chwili, kiedy wreszcie będzie mógł opuścić tę skutą lodami pustynię na południu i wrócić do niej, do ich domu.